

33

# „AN EKS”

kwartalnik polityczny

---

## Wojna i pokój

P. HASSNER – E. P. THOMPSON – V. RACEK

BISKUPI FRANCUSCY

RAYMOND ARON

Ostatnie słowa

ADAM MICHNIK

„Ginąc odświętnie”

---

„AN  
EKS”  
LONDYN



WYDAWNICTWO  
KRAG  
WARSZAWA  
1984

# "ANIEKS"

kwartalnik polityczny

33/1984



WYDAWNICTWO  
KRAK  
WARSZAWA  
1984

## *spis treści*

### WOJNA I POKÓJ

<b>Jacques Rupnik:</b> Wstęp .....	3
<b>Pierre Hassner:</b> Pacyfizm i terror .....	8
<b>Edward P. Thompson:</b> „Normalizacja” Europy .....	21
<b>Václav Ráček:</b> List do Edwarda Thompsona .....	35
<b>Biskupi francuscy</b> i zagrożenie nuklearne .....	40

### KSIAŻKI

<b>Adam Michnik:</b> „Ginąc odświętnie” .....	46
---	----

### RAYMOND ARON: 1905-1983

<b>Raymond Aron:</b> Ostatnie słowa .....	76
<b>Franciszek M. Draus:</b> Raymonda Arona krytyka ideologii ..	94

## WOKÓŁ „SOLIDARNOŚCI”

- Leszek Nowak:** Antyewolucja ani rewolucja ..... 104  
**Andrzej Zwaniacki:** Kto wywołał tę wojnę ..... 115



## SYSTEM SOWIECKI

- Jan Pakulski:** Uwagi o uprawomocnieniu władzy  
w systemie sowieckim ..... 124



## POLSKA GOSPODARKA

- Jacek Rostowski:** Ponowna reorientacja na Zachód? ..... 136



## POLEMIKI

- Jerzy Bonlecki:** O zaangażowaniu i dystansie ..... 141  
**Stanisław Barańczak:** Odpowiedź Bonleckiemu ..... 145



- Niezależna Fundacja Popierania Kultury Polskiej ..... 146  
O autorach ..... 149  
«ANEKS» 1973 – 1983: indeks autorów ..... 151

# wojna i pokój

Jacques Rupnik

## WSTĘP

„Rakiety są na Wschodzie, a pacyfiści na Zachodzie” – formuła François Mitteranda ma tę zaletę, że uwydławia rażąco brak równowagi, jaki charakteryzuje sytuację europejską ostatnich lat: kiedy w wielkich miastach zachodnich setki tysięcy osób manifestowało przeciwko amerykańskim rakietom, które nie zostały jeszcze rozmieszczone, ZSRR spokojnie rozłokowało swoje SS20 wymierzone w Europę Zachodnią. Jak wszystkie lapidarne formuły jest ona jednak pewnym skrótem myślowym, a wydarzenia ostatniego roku zmuszają nas do bardziej zniuansowanej oceny. Bowiem choć nadal nie ma w Europie Wschodniej „ruchów” pokojowych porównywalnych z tymi, które mobilizują Zachód, to przecież w roku 1983 poszczególne jednostki i grupy opozycyjne na Wschodzie zabrały głos w dyskusji na temat zależności między rozbrojeniem a wolnością.

Zjawisko to najśliszniej występuje w Niemczech Wschodnich, a to pod wpływem ruchu pacyfistycznego w Republice Federalnej i dzięki poparciu Kościoła luterańskiego w NRD. Również na Węgrzech powstały „grupy na rzecz pokoju i dialogu”, zaś w Pradze Karta 77 wystąpiła z szeregiem inicjatyw z okazji Kongresu na Rzecz Pokoju i Życia” (sic), zorganizowanego przez władze czeskosłowackie w przeddzień 15 rocznicy okupacji kraju przez wojska sowieckie. Wreszcie w Związku Radzieckim

ukonstytuowała się Grupa na Rzecz Odbudowy Zaufania między ZSRR a Stanami Zjednoczonymi. Przedwcześnie byłoby jednak sądzić, iż w krajach komunistycznych zrodził się niezależny ruch pokojowy. Tam, gdzie jest on najsilniejszy, w NRD, trudno nie dostrzec wpływu pacyfistycznego i ekologicznego ruchu w RFN, zwłaszcza gdy, pośrednio lub czasem nawet wprost, stawia on kwestię ewentualnego zjednoczenia Niemiec w ramach neutralnej i bezatomowej Europy. Idee, że można „odejść od Jałty” drogą neutralności, Pierre Hassner uważa – w zamieszczonym poniżej artykule – za niebezpieczną iluzję: „Nie wydaje się, aby groźba wojny, a tym mniej obecność ZSRR w Europie Wschodniej i USA w Europie Zachodniej, spowodowane były bronią jądrową. Europa pozbawiona broni nuklearnej byłaby Europą zdominowaną przez Związek Radziecki, ale przez to wcale nie bardziej pokojową czy wyzwoloną”.

Aby zrozumieć doniosłość ruchu pacyfistycznego należy skupić się na dwu zasadniczych problemach, dotyczących zarówno natury tego ruchu, jak i międzynarodowego kontekstu, na który ma on ambicję wywierać wpływ.

Trzeba zdnać sobie sprawę, iż tocząca się przez Europę pacyfistyczna fala nie jest „nową ideą europejską”. Początki ruchu pokojowego sięgają końca lat czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych. W okresie monopolu, a później bezdyskusyjnej wyższości militarnej Stanów Zjednoczonych, partie komunistyczne w bloku sowieckim i na Zachodzie „przywłaszczyły” sobie walkę o pokój. Nie ma rozstrzygającego znaczenia fakt, iż ZSRR z jego ponad trzystu już rozmieszczonymi SS20 ma obecnie w Europie przewagę, ani nawet to, że komuniści nie są głównymi inspiratorami manifestacji pacyfistycznych, ale tylko oni głównie z nich korzystają. Właśnie ta zdolność komunistów do wykorzystywania dawnych i nowych ruchów pokojowych, które prowadzą kampanię przeciwko amerykańskiemu imperializmowi, a godzą się z wszelkimi policyjnymi operacjami Armii Czerwonej w Pradze czy Kabulu, ilumaczy sceptycyzm mieszkańców Pragi lub Warszawy wobec zjawiska pacyfizmu oraz rezerwę i ostrożność wschodnioeuropejskich środowisk opozycyjnych wobec prób nawiązania dialogu z pacyfistami zachodnimi.

Tak jak na Wschodzie należy rozróżnić oficjalne i nieoficjalne (choćby załączkowe) ruchy pokojowe, tak i na Zachodzie wypada rozróżnić dwa nurty ruchu pacyfistycznego. Pierwszy, mający za sobą większość w Wielkiej Brytanii i RFN, opowiada się za jednostronnym rozbrojeniem, nie troszcząc się zbytnio o swobody na Wschodzie. Drugi, który nas tu interesuje, otwarcie stawia problem zależności między rozbrojeniem a prawami człowieka. Nurt ten reprezentuje najlepiej Europejski Ruch na Rzecz Rozbrojenia Nulearnego („European Nuclear Disarmament”), kierowany przez znanego historyka E. P. Thompsona. Tezę Thompsona można streścić następująco: w obliczu narastającego wyścigu zbrojeń jedynie presja społeczeństw – zarówno na Wschodzie, jak na Zachodzie – może zmusić państwa i kompleksy militarno-przemysłowe obu bloków do rozbrojenia, które by nie było pozornym pokojem, a jednocześnie przygotować grunt dla nowo odkrytej jedności europejskiej.

Koncepcja ta, jakkolwiek nęcąca na pierwszy rzut oka, zakłada, iż interwencja dysydentów w procesie stosunków Wschód-Zachód (w oparciu o model ruchu praw człowieka i układy helsińskie) jest możliwa, oraz że opozycja na Wschodzie jest w stanie wpłynąć na politykę militarną państw członkowskich Układu Warszawskiego, tak jak mogą oczekiwać tego ruchy pokojowe na Zachodzie w odniesieniu do państw-członków NATO. Otóż oba te założenia, jeśli im się przyjrzeć bliżej, wydają się nader wątpliwe.

Koniec odprężenia i pojawienie się tego, co Thompson nazywa „nową zimną wojną”, stawiają w centrum stosunków Wschód-Zachód kwestię pocisków średniego zasięgu w Europie. W tej nowej fazie znacznie zmniejszyła się przestrzeń, jaką układy helsińskie, i ogólniej polityka odprężenia, otworzyły przed ruchami o prawa człowieka na Wschodzie. Natomiast sprawa rozbrojenia stała się dla dysydentów platformą dla autonomicznej wobec władzy, a jednocześnie tolerowanej przez nią, wypowiedzi. Jak niegdyś ruchy obrony praw człowieka w Europie Wschodniej mogły się powoływać na pewne fragmenty Aktu Końcowego konferencji w Helsinkach w 1975 roku, tak dziś temat pokoju i rozbrojenia zdaje się im służyć za „parawan” i „prawomocny” temat wystąpień. Uprawomocniają ten temat nie tylko oficjalne

wypowiedzi o pokoju, lecz również takie teksty jak rezolucja Drugiej Sesji Specjalnej ONZ poświęconej rozbrojeniu, domagająca się wolności słowa i zrzeczenia dla wszystkich ruchów pokojowych, a więc również i tych, które wymykają się spod kontroli państwowej na Wschodzie. Przyjęty przez ONZ 13 grudnia 1982 dokument głosi: 1) wszyscy obywatele mają prawo „uczestniczyć w swobodnej dyskusji” na temat kontroli zbrojeń; 2) władze zobowiązane są „ułatwiać obieg informacji na temat rozbrojenia, pochodzących ze źródeł rządowych i nie rządowych”; 3) rządy winny zachęcać obywateli do „swobodnego i publicznego wyrażania opinii na temat rozbrojenia oraz do publicznych zgromadzeń w tym celu”. Jasno widać, jaki użytek z tych tekstów, za którymi głosowały wszystkie państwa bloku sowieckiego, mogą zrobić niezależni pacyfiści na Wschodzie. Problematyka praw człowieka nie jest przebrzmiała, ale w nowym kontekście tryptyk „odprężenie-Helsinki-ruch praw człowieka” ustąpił miejsca refleksji nad „pokojem i wolnością”. Dylematy opozycji w środkowo-wschodniej Europie można by ująć następująco:

1. Czy w obecnej fazie niezależna opinia publiczna zdolna jest wprowadzić w stosunki Wschód-Zachód problematykę „nie ma prawdziwego pokoju bez wolności”?

2. Temat praw człowieka, jeden z trzech konstytutywnych elementów procesu helsińskiego, z natury rzeczy nie mógł być wykorzystany przez Związek Radziecki. Natomiast ruć pokojową, choćby i o najlepszych intencjach, może być i jest manipulowany przez Moskwę i wykorzystywany zgodnie z interesami sowieckiej polityki zagranicznej.

3. Czy akceptując dyskusję z przedstawicielami zachodnich ruchów pacyfistycznych dysydenci nie ryzykują, że przyczynią się do stworzenia iluzji symetrii między pacyfizmem zachodnim a demokratyczną opozycją na Wschodzie, uprawomocniając tym samym *de facto* pacyfizm zachodni, dla którego jest kłopotliwe poparcie ze strony komunistycznych reżymów?

Pytań tych nie można obejść, jeśli nie chce się ograniczać do manifestowania uczucia grozy, jaką budzi wyścig zbrojeń, lub do wątpliwego moralizmu w stylu „raczej czerwoni niż martwi”. Pewne elementy odpowiedzi na nie przynosi list otwarty do

Edwarda P. Thompsona czeskiego historyka podpisującego się nazwiskiem Václav Růček oraz uowa książka francuskiego filozofa André Glucksmanna \*

Dla Růčka pacyfiści zachodni niesłusznie dopatrują się w Stanach Zjednoczonych głównego winowajcy wyćwiegu zbrojeń, a „w najgorszym wypadku” dystansują się jednako wobec obu wielkich mocarstw. Też Thompson o jedność i jednoczesność walki dysydentów na Wschodzie i na Zachodzie (pacyfiści mają być bowiem dysydentami Zachodu) pomija sprawę najważniejszą, mianowicie totalitarny charakter reżymów komunistycznych. Nie ma żadnych szans na to, by na Wschodzie rozwinął się jakikolwiek autentyczny ruch, który by można porównać z wolnością i skutecznością ruchów pokojowych na Zachodzie. Ci, co pragną przefliznąć się po tym „szczegółie” twierdząc, iż wprawdzie trzeba uniknąć apokalipsy jądrowej, zwrócić pokój, a później zobaczyć się co z wolnością, są albo naiwni, albo ich cele polityczne nie dążą się pogodzić z prowadzoną na Wschodzie walką o prawa człowieka.

O ile ruch pokojowy na Zachodzie koncentruje się na kwestii rozmieszczenia rakiet amerykańskich w Europie, o tyle uwaga dysydentów wschodnich skupia się na problemie zależności między rozbrojeniem a wolnością oraz na sprawie wycofania wojsk okupacyjnych. Czyżby więc istniały dwa ruchy pokojowe w Europie? – pyta André Glucksmann. Jeden, demaskujący niebezpieczeństwa wojny i manifestujący groźbę przed bronią nuklearną oraz drugi, sięgający do źródeł konfliktów, czyli do natury systemu? Jak pokładnie zaufanie w pokojowe intencje władzy, która prowadzi wojnę z własnym społeczeństwem? W tym sensie jedynym autentycznym ruchem na rzecz pokoju w Europie Wschodniej była „Solidarność”. Margines wolności zdobytej przez polski ruch społeczny daje nam dokładną miarę przestrzeni dzielącej walczące strony. Odprężenie zostało zlikwidowane wraz z wolnością polskich robotników, ustępując miejsca „stanowi wojennemu”.

Jacques Rupnik

\* Fragment jej ukazał się w *Aneksie* nr 32, 1983.



**Pierre Hnasner**

## **PACYFIZM I TERROR**

*Pamięci Artura Koestlera*

Przedziwny sojusz zielonych yogi i czerwonych komisarzy wewnątrz ruchów pokojowych oraz niedawna śmierć Artura Koestlera podsuwają naszym rozważaniom pewien trop. Świat totalitarny i koncentracyjny, który inteligencja francuska ponownie odkryła dzięki Solżenicynowi w połowie lat siedemdziesiątych, był już przedmiotem dyskusji, pod wieloma względami diametralnie od obecnej różnej, pod koniec lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych. W sferze faktów wywołały ją sprawy Krawczyki i Rousseta, a na płaszczyźnie teoretycznej książki Koestlera *Ciemność w południe* oraz *Yogi i komisarz*. W *Humanizmie i terrorze* Maurice Merleau-Ponty w zasadzie zgadzał się z koestlerowską interpretacją procesów moskiewskich, ale odrzucał płynące z niej potępienie komunizmu. Francuski filozof rozważał problem celów i środków – lub humanizmu i terroru – na dwóch poziomach. Proponował, by nie porównywać terroru stalinowskiego z pokojowymi społeczeństwami liberalnymi, lecz z historyczną i zinstytucjonalizowaną przemocą, która je umożliwiła; wymuszonym zeznaniom moskiewskich podsądnych chciał przeciwstawić nie uniwersalne i abstrakcyjne pojęcia prawdy i kłamstwa, winy i niewinności, lecz pojęcia winy i prawdy historycznej. Bucharin, wybrawszy przyznanie się do niepopelnionych zbrodni, uznawał się winnym wobec partii, która,

nawet jeśli się myliła, pozostawiała nosicielką jedynej nadziei dającej sens dziejom ludzkości.

Czyż ruchy pokojowe nie odwołują się dziś do podobnej dialektyki? Czyż nie znajdujemy tu pewnego pokrewieństwa z rozumowaniem Merleau-Ponty'ego w *Humanizmie i terrorze*? Po pierwsze, zgodnie z powszechnie przyjętą przez niemiecką lewicę formułą, wojna jądrowa budzi większy strach niż Związek Radziecki. Wrogiem jest sama broń nuklearna. Po drugie, wrogiem przestał być przeciwnik, którego pociski są wynierzone w Europę Zachodnią, a nawet przestała nim być sama bezosobowa groźba tych pocisków – wrogiem są ci, co usiłują przywrócić równowagę warunkującą skuteczność strategii atomowego odstraszania i którzy musieliby działać, gdyby strategia ta zawiodła. Oznacza to w gruncie rzeczy przyznanie, choć nie wprost, że zagrożenie pochodzi od ZSRR i jego SS 20, ale potępienie tych, którzy nie akceptując istniejącej sytuacji, chcą ją zmienić w drodze negocjacji (co uważane jest za nierealistyczne), bądź poprzez przywrócenie równowagi (co – na mocy logiki wyrażonej przez Clausewitza, dla którego napastnik zawsze jest pokojowy, gdyż o wojnie lub pokoju decyduje napadnięty, stawiając opór lub kapitulując – czyni ich odpowiedzialnymi za nowy wyścig zbrojeń). Od jądrowej apokalipsy, do której wyścig zbrojeń musi nieuchronnie prowadzić, lepsze jest jednostronne rozbrojenie i uznanie, że sowiecka przewaga jest nieodwracalna i w końcu korzystniejsza. Po prostu sowiecka wyższość żywi się nie tyle ideologicznym prestiżem humanizmu, co trwożną fascynacją pacyfizmu.

Jednak w obu przypadkach w ukryciu pozostaje specyficzny charakter ustroju totalitarnego opartego na państwowym terrorze oraz fakt, że kapitulacja przed nim oznaczałaby akceptację – w Europie i na całej planecie – terroru, który powinien budzić taki sam bezwarunkowy protest co zagłada nuklearna. W czasach Merleau-Ponty'ego błędem było przyznawanie Związkowi Radzieckiemu historycznego i metafizycznego przywileju; błędem było przekonanie, iż stosowana przezeń przemoc różni się od innych, bowiem sens jej nadaje historia. Dziś natomiast wszyscy zwolennicy jednostronnego rozbrojenia – od Willy Brandta do jego syna Petera, „lewicowego nacjonalisty”, od

Egona Bahra do Rudolfa. Bahro – popełniają błąd przeciwny, traktując politykę sowiecką – jako z gruntu banalną i defensywną, a nawet przypisując amerykańskiemu zagrożeniu odpowiedzialność za dominację sowiecką w Europie Wschodniej. ZSRR wydaje się potężniejszy, a zarazem bardziej pokojowy, zaś Stany Zjednoczone – słabsze i bardziej wojownicze. Ale pomijając te odczucia, prawdziwym problemem – jak dowodzi spór wokół listu pasterskiego biskupów amerykańskich – jest stosunek między walką o pokój a walką o wolność; czy należy przeciwstawiać się niebezpieczeństwu jądrowej apokalipsy czy groźbie totalitarnej dominacji, czy dokonać historycznego i metafizycznego wyboru tezy, która powiada, że aby uniknąć pierwszego niebezpieczeństwa trzeba ulec drugiemu, czy też tezy, wedle której jedynie zaakceptowanie życia w świadomej, jednoczniej opozycji wobec obu alternatyw (jakiegokolwiek byłyby chwilowe priorytety) daje ludzkości, a w każdym razie Europie Zachodniej, poważną szansę uniknięcia zarówno atomowej apokalipsy, jak i totalitarnej dominacji.

Europejski kryzys zaufania dotyczy zarówno stosunków politycznych Wschód-Zachód, równowagi militarnej, tendencji wyścigu zbrojeń i ewolucji technologicznej, jak i samej idei pokoju opartego na równowadze strachu. Ujarzmianie strachu przez równowagę, paradoks, na mocy którego „wojna zabija wojnę”, jak prorokował Pasteur, uznawano w epoce, w której, słowami Churchilla, „pokój miał być krzepkim dzieckiem terroru, a przeżycie – bliźniakiem unicestwienia”; dziś, po czterdziestu latach sukcesów, wydaje się coraz mniej akceptowane przez opinię publiczną. W formule „równowaga strachu” strach zaczyna górować nad równowagą. Na początku lat pięćdziesiątych formuła owa oznaczała, w przekonaniu jej autorów, równowagę siły odstraszenia, tzn. wzajemnego strachu mocarstw atomowych, prowadzącą do pokoju, czyli do bezpieczeństwa i wyzbycia się strachu. Obecnie natomiast wydaje się, że zamiast równowagi oblaśkawiającej strach i lęku agresora przed jądrowymi represjami zapewniającego ludności poczucie bezpieczeństwa, sama równowaga staje się źródłem niepokoju i budzi strach u tych, których ma chronić. Czyżbyśmy przeszli od równowagi strachu do strachu przed równowagą?

Jeśli strategia odstraszenia nie zapewnia już poczucia bezpieczeństwa to dlatego, że dawała je w naturze. Niemieccy i skandynawscy specjaliści od „studiów nad pokojem”, mobilizujący się dziś przeciwko wojnie atomowej, zaledwie dziesięć lat temu twierdzili, że rzekoma groźba wojny między Wschodem i Zachodem to tylko alibi dla sił konserwatywnych, a poszukiwanie pokoju winno koncentrować się na mobilizacji – choćby i drogą przemocy – eksploatowanego Południa przeciwko Północy, do której zaliczali Związek Radziecki. Odstraszenie okazało się tak skuteczne, że wręcz zapomniano o istnieniu broni jądrowej, którą Europa, a zwłaszcza Niemcy, były naszpikowane. Teraz, gdy nowa zimna wojna oraz sowiecka kampania propagandowa stawiają ją znowu na porządku dnia, broń ta postrzegana jest jako nowa i przerażająca przez tych, którym właśnie przez samą swoją obecność pozwoliła o sobie zapomnieć.

Więcej. Jak przypominał angielski historyk Michael Howard: „Wystarczy, że pokój utrzymuje się przez życie jednego pokolenia, by wśród tych, co nie znają jego mechanizmów, odrodziła się idea, że jest on stanem naturalnym, zagrożonym jedynie przez tych, którzy z racji swego zawodu skazani są na przygotowanie wojny. Wojskowi stają się wówczas naturalnym celem ataków idealistycznej młodzieży, której wrogość może tylko rosnąć, jeśli ci wojskowi są cudzoziemcami, jeśli wojna lub pokój zależą od odległej i nie dającej się kontrolować grupy, której wartości i interesy niekoniecznie są zbieżne z jej własnymi i jeśli wojna łączy się z ryzykiem rozpętania apokaliptycznej masakry. Czyż to nie Amerykanie faktycznie prowokują dziś wojnę? W dzisiejszej Europie pacyfizm, zawsze tkwiący w społeczeństwach, które powierzają swą obronę specjalistom, połączył się z antyamerykanizmem”<sup>\*</sup>.

Podwójna uchwała NATO z grudnia 1979 roku w sprawie rozmieszczenia rakiet średniego zasięgu w Europie zachodniej i jednoczesnego podjęcia rozmów ze Związkiem Radzieckim była próbą odpowiedzi na europejskie niepokoje poprzez związanie

\* Michael Howard „La défense occidentale dans les années 80: les conditions d'un consensus”, *Politique étrangère*, nr 4, Paryż 1982.

bezpieczeństwa obu części Europy z bezpieczeństwem wielkich mocarstw, co miało uczynić bardziej nieprawdopodobną wojnę ograniczoną do pierwszych i oszczędzającą drugich; natomiast ruch pacyfistyczny widzi w niej środek umożliwiający Amerykanom rozpoczęcie takiej właśnie ograniczonej wojny, jakiej chcieliby uniknąć.

Jak to się nieomal zawsze dzieje, nieporozumienia – irracjonalne lub manipulowane – przesłaniają rzeczywisty problem. Ci, którzy naszym zdaniem słusznie usiłują powiązać wiarygodność strategii odstraszenia z ograniczeniem ewentualnej wojny, opierają się na podwójnym założeniu, że mianowicie możliwe jest uniknięcie wojny totalnej, a niemożliwe – osiągnięcie absolutnego i definitywnego pokoju. Zdawać by się mogło, że nie ma nic rozsądniejszego niż to podwójne odrzucenie fatalizmu i utopii (zarówno utopii totalnego pokoju dzięki strategii odstraszenia przywołującej groźbę wojny totalnej, jak utopii totalnego pokoju opartego na powszechnym rozbrojeniu w wyniku rewolty przeciwko tej groźbie). Ale owa realistyczna hipoteza, którą piszący te słowa przyjmuje, opiera się z kolei na szeregu założeń i postulatów, uważanych przez wielu za utopijne.

W kategoriach filozoficznych i ideologicznych należy przyjąć założenie, bądź że skuteczne jest jednostronne umiarkowanie wobec nieumiarkowanego przeciwnika, bądź też, że możliwe jest porozumienie lub przynajmniej znalezienie wspólnego języka między stronami, które różnią się wprawdzie pod względem celów, wyznawanych wartości i sposobów myślenia, ale których zachowanie jest jednak w pewnym przynajmniej stopniu przewidywalne. Naciski, negocjacje, a nawet wzajemne odstraszenie (chyba żeby opierało się na całkowitej niepewności) zakładają minimum komunikacji.

W kategoriach socjologicznych powyższa strategia wymaga założenia zdolności kontroli – w sensie zarówno moralnym i intelektualnym (samokontroli i powściągliwości), jak i społecznym (dyscypliny) – w obliczu bliźniaczego niebezpieczeństwa namiętności i paniki, szczególnie silnie występującym w nowoczesnej demokracji w przypadku kryzysu nuklearnego.

W kategoriach techniki wojskowej zarówno różnica między skutkami wojny ograniczonej i totalnej, jak i prawdopodobień-

stwo równoczesnego zachowania kontroli i elastyczności koniecznych do ograniczenia wojny zależą od tego, co zakłada się z góry odnośnie kontroli i łączności, czasu alertu, wyścigu z czasem między atakiem a obroną, a ogólniej – związku między dwiema współczesnymi rewolucjami: wzrostem zdolności niszczenia reprezentowanej przez broń jądrową, oraz postępną precyzji wynikającym między innymi z miniaturyzacji.

Uderzające jest, do jakiego stopnia sądy moralne wypowiediane w sposób absolutny opierają się w rzeczywistości na założeniach dotyczących stanu techniki. Amerykańscy biskupi oświadczają na przykład, że wojna jądrowa ograniczona do obiektów wojskowych a oszczędzająca ludność cywilną jest moralnie bardziej do przyjęcia niż groźba represji wobec ludności traktowanej jako zakładnicy; jednocześnie biskupi stwierdzają, iż pierwszy wariant ma tak niewielkie szanse na zastosowanie w praktyce, że niebezpiecznie jest się doń przygotowywać. Ten sąd może być prawdziwy albo fałszywy, ale opiera się na diagnozie technicznej, podzielanej przez jednych ekspertów, a odrzucanej przez innych.

O ile Desmond Ball\* i większość ekspertów europejskich sądzi, iż nie da się kontrolować wojny nuklearnej, o tyle Albert Wohlstetter, najwybitniejszy strateg amerykański, cieszący się autorytetem trzydziestu lat trafnych przepowiedni w dziedzinie technologii, występuje przeciw niedocenianiu możliwości różnicowania obiektów, jakie oferuje rewolucja precyzji\*\*. Daje ona, jego zdaniem, szansę uwiarygodnienia strategii odstraszania i uniknięcia zagłady, oraz w wypadku wybuchu wojny pozwala przynajmniej na ograniczenie roli broni jądrowej na rzecz nowej broni konwencjonalnej. Natomiast inni eksperci są szczególnie wyczuleni na niebezpieczeństwa „pogorszenia się sytuacji strategicznej” w wyniku zaskoczenia, czyli pierwszego uderzenia, oraz na trudności weryfikacyjne wynikające z rozwoju nowych technologii.

\* Desmond Ball „Can Nuclear War be controlled?”, *Adelphi Paper* 169, Jesień 1981.

\*\* Albert Wohlstetter „Statesmen, bishops and other strategists on bombing innocents”, *Commentary*, Nowy Jork, czerwiec 1983.

Laik wyciągnie z tego dwa wnioski: po pierwsze, nie należy mylić aktualnego stanu techniki z tym, czego na podstawie istniejących już tendencji można się rozsądnie spodziewać po przyszłości. Obecnie, podstawą strategii odstraszenia jest traktowanie ludności przeciwnika jako zakładników i niewielkie są szanse na to, by rozpętana dziś wojnę nuklearną dało się kontrolować w sposób pewny. Nie znaczy to jednak, że należy negować czy uniemożliwiać postęp w rozróżnianiu (*discrimination*), a „zapewnione wzajemne unicestwienie”, dziś nieuniknione, uważać za pożądany model lub strategiczną rzeczywistość jutra.

Po drugie, wydaje się, iż istnieje obecnie pewna opozycja między tendencjami ewolucji technologicznej a tendencjami opinii publicznej. Technika zmierza do uprawdopodobnienia wojny ograniczonej terytorialnie, która dla opinii publicznej jest coraz bardziej nie do przyjęcia, w każdym razie jeśli idzie o wojnę nuklearną. Wydaje się, że właśnie teraz, gdy rozwój techniki zaciera coraz bardziej różnicę między bronią jądrową a nie-jądrową, redukując siłę tej pierwszej i zwiększając, dzięki większej precyzji, skuteczność drugiej, broń nuklearna budzi większą niż niegdyś grozę. Być może opinia publiczna reaguje na to, co postrzega niejasno jako niebezpieczne techniczne złudzenia, które uprawdopodobniają wojnę przez to, że pozabawiają ją tabu związanego z absolutnym złem. Być może pacyfizm jest mniej rozpowszechniony we Francji niż w innych państwach zachodnich częściowo dlatego, że jest coś wspólnego między francuskimi zwolennikami zmasowanej reakcji a niemieckimi czy brytyjskimi zwolennikami jednostronnego rozbrojenia: i jedni, i drudzy odrzucają ideę ograniczonej lub kontrolowanej wojny jądrowej. Być może różnica między strategią „nie wojny” opartą na odstraszeniu a postawą „nie wojny” opartą na jednostronnym rozbrojeniu nie jest większa od tej, która zdaniem Hermana Kahna dzieli kapitulację w sytuacji próby sił od kapitulacji przewencyjnej, czyli poddania się w obawie przed próbą sił.

Sklonni jesteśmy uznać, iż „w dobie parytetu strategicznego i nowoczesnej broni jądrowej stopień społecznej akceptowalności strategii odstraszenia jest odwrotnie proporcjonalny do

stopnia jej wiarygodności operacyjnej”\*. A w każdym razie – jeśli przyjmiemy część prawdy zawarta w tym paradoksie, a nie ukryty w nim defetyzm – należy przyznać, iż istnieją strukturalne sprzeczności między trzema celami postawy obronnej: odstraszeniem potencjalnego napastnika, „uspokojeniem” własnej ludności i sojuszników w czasie pokoju czy też walką, gdyby strategia odstraszenia zawiodła. W tym ostatnim przypadku wolno sądzić, że pojęcie zwycięstwa jest pozbawione sensu i że niebezpiecznie byłoby się go doszukiwać. Jednak trudno zaprzeczyć, iż ograniczenie ofiar i szkód byłoby pożądane. A jednak uprawniona, a nawet moralnie niezbędna, troska o ograniczenie strat w czasie wojny, w czasie pokoju wydaje się niepokoić ludność, zamiast ją uspokajać.

Najtrudniej odpowiedzieć na pytanie, dotyczące strategii odstraszenia lub psychologicznego oddziaływania na ewentualnego przeciwnika. Czy bardziej jest on wrażliwy na prawdopodobieństwo riposty, czy też na stopień jej powagi? Na groźbę konkretnego odwetu czy na niebezpieczeństwo eskalacji prowadzącej do wspólnego samobójstwa? Na szczęście nie można o tym rozstrzygnąć, póki strategia odstraszenia jest skuteczna. W sytuacji „rozszerzonej strategii odstraszenia” główny problem nie polega na tym, co zrobią Stany Zjednoczone, jeśli strategia odstraszenia zawiedzie, ani nawet na tym, czego Rosjanie spodziewają się w takim wypadku po Amerykanach, lecz na tym, jak Niemcy oczekują od Rosjan w stosunku do Amerykanów.

Toteż prawdziwym zagrożeniem dla Europy jest nie tyle wojna ograniczona czy totalna, lecz polityczne wykorzystywanie przez Związek Radziecki jego militarnej wyższości w celu pozbawienia Sojuszu Atlantyckiego sensownych wyborów w przypadku konfliktu oraz pogłębienia istniejącej przepaści między percepcją amerykańską a europejską w czasie pokoju. Można w tym widzieć szczególną sowiecką strategię nuklearną, zmierzającą do osiągnięcia korzyści politycznych (w postaci postępującej „finlandyzacji” Europy, a zwłaszcza RFN) przez wykorzystywa-

\* P. Lellouche „La contestation pacifiste et l'avenir de la sécurité de l'Europe”, w: *Pacifisme et dissuasion*, IFRI, Paryż 1983.



nie napięć, jakie budzi jego potęga militarna. Celem byłoby zwycięstwo bez wojny – przez wyobrażone rozegranie hipotetycznych scenariuszy wojny ograniczonej i totalnej.

Ta strategia ma pewne szanse z uwagi na szczególne trudności rozszerzonej strategii odstraszenia w sytuacji globalnej równowagi i lokalnej słabości. Dylematy odstraszenia i użycia siły stają się niemal nierozwiązywalne, gdy rozdźwięki i brak symetrii między opiekunem a protegowanym przestają być tolerowane z uwagi na przewagę protektora nad ewentualnym napastnikiem; globalna lub częściowa przewaga tego ostatniego uwydatnia je coraz bardziej. Dualizm strategii odstraszenia i „uspokajania” staje się o wiele bardziej kłopotliwy, gdy przemienia się w relację trójkątną (uspokajania ludności amerykańskiej, europejskiej, odstraszenie ZSRR): perspektywa automatycznej eskalacji może uspokajać Europejczyków, a niepokoić Amerykanów, możliwość ograniczenia wojny – uspokajać Amerykanów, a niepokoić Europejczyków, zaś każda strona może zasadnie utrzymywać, że to, co ją uspokaja, odstrasza Związek Radziecki.

Różnice między Amerykanami a Europejczykami, czyli między protektorami i protegowanymi, nie są różnicami poglądów ani interesów. Po obu stronach Atlantyku cel jest ten sam: nie dopuścić do politycznej hegemonii ZSRR na kontynencie, uniknąć wszelkiej wojny – klasycznej czy jądrowej, ograniczonej czy totalnej – próbować ratować, co się da w przypadku otwartego konfliktu. Nawet w ocenie sytuacji i strategii, jaką należy przyjąć, nadal dominuje pewien *consensus* odnośnie sowieckiego zagrożenia: uznaje się za konieczne przywrócenie zachwianej równowagi i zarazem podjęcie poważnych kroków w sprawie kontroli zbrojeń, ntrzymanie na razie wojsk amerykańskich w Europie przy jednoczesnym budowaniu niezależnej obrony europejskiej oraz tymczasowe utrzymanie broni nuklearnej przy jednoczesnym zwiększeniu udziału wojsk klasycznych.

A jednak istnieją rzeczywiste różnice między Amerykanami a Europejczykami. Czu En Lai powiedziałby, że generałowie i stratedzy amerykańscy, opiewający zalety nowej broni konwencjonalnej i powstrzymanie się od zaatakowania przeciwnika bronią jądrową, śpią w tym samym konwencjonalnym łóżku co europejski ruch pokojowy, lecz nie śnią im się te same sny.

Dziela ich różnice postaw wynikające z odmiennych zagrożeń. I Amerykanie i Europejczycy, narażeni na sowieckie rakiety, wystawiani są na pokusę – czy raczej miraż – uchronienia własnego terytorium w przypadku agresji sowieckiej na partnera, podczas gdy w ich wspólnym, obiektywnym interesie (zarówno dla politycznego „uspokojenia”, jak dla odstraszenia i obrony) jest dokonanie przeciwnego wyboru, mianowicie wyboru strategii „sprzężającej”, ukazującej, że jadą na tym samym wozie.

Mimo wszystko jednak Europa jest zagrożona bardziej bezpośrednio i totalnie. Nieuniknione jest więc, że dominująca postawa Amerykanów polega na podkreślaniu różnic między wojną konwencjonalną, nuklearną lokalną i nuklearną totalną, oraz możliwości stopniowania riposty i kontrolowania eskalacji. Jest również nieuniknione, że rozróżnienia między rozmaitego typu wojnami, z których każda niesie ze sobą straszliwe zniszczenia, są dla Europejczyków o wiele mniej oczywiste. Silniej natomiast czują różnicę między strategią odstraszenia a obroną oraz konieczność uzupełnienia obu politycznym „zabezpieczeniem” w wyniku odprężenia i rokowań. Skłonni są też nie dostrzegać środka między całkowitym odrzuceniem wojny (wynikającym z wiary w odprężenie, bądź w masowe represje, bądź automatyczną eskalację) a totalną katastrofą.

Więcej. Ci sami Europejczycy, będący bardziej narażeni niż Stany Zjednoczone – a tym bardziej wyczuleni na swą słabość, że już jej nie kompensuje amerykańska siła – są jednocześnie wrażliwsi od Amerykanów na zdobycze odprężenia (np. w sprawie bezpieczeństwa Berlina). Jest więc naturalne, że spadek poczucia bezpieczeństwa militarnego, jakie dawała atlantycka siła odstraszenia, skłonni są kompensować wzrostem bezpieczeństwa politycznego, jakie daje odprężenie ze Związkiem Radzieckim.

Z którym z tych dwóch typów bezpieczeństwa łączy się ruch pacyfistyczny? Podobnie jak odprężenie i jak finlandyzacja (polegająca często na głoszeniu tym bardziej pokrępiącej interpretacji sowieckich intencji, im bardziej jest się w głębi, świadomie lub nieświadomie, niepewnym) ma on swą wersję optymistyczną, negującą niebezpieczeństwo wojny, oraz wersję pesymistyczną, która uważa ją za nieuniknioną.

Jeden nurt pacyfistyczny obnaża mit rzekomej wyższości Rosjan, jakoby zręcznie sączony przez Pentagon we wszystkich dokumentach na użytek europejski, a to, oczywiście, w celu usprawiedliwienia amerykańskich zbrojeń i uzyskania zgody na rozmieszczenie raket średniego zasięgu w Europie. Inny nurt przeciwnie – bardzo poważnie traktuje sowiecką przewagę militarną, ale wyciąga z niej równie pacyfistyczne wnioski. Najlepszym jego wyrazicielem jest profesor von Weizsäcker, który łączy, jak sam powiada, „analizę jastrzębia” z „konkluzjami gołębia”: wyższość Układu Warszawskiego jest realna i niebezpieczna, ale stało się, obudziliśmy się tak późno i w tym kontekście amerykańskie próby odzyskania utraconej pozycji są tym niebezpieczniejsze. Pozostaje jedynie polityka obłaskawiania ZSRR przez wymianę handlową i kontrolę zbrojeń.

Nie będąc ani Bogiem, ani psychoanalitykiem, nie możemy orzec, czy wzięcie w nawias sowieckiego zagrożenia jest u pacyfistów szczerze, czy przeciwnie – świadczy o nieświadomym i nie wyznanym niepokoiu. Ale ta psychologiczna dwuznaczność cechuje nie tylko dzisiejszy ruch protestu, lecz nową fazę stosunków międzynarodowych w ogóle. Obecny stan stosunków Wschód-Zachód, nie będący ani całkowicie odprężeniem, ani zimną wojną, który można określić mianem „gorącego pokoju”, spowodował w społeczeństwach zachodnich złamanie *consensusu* politycznego. Buntują się szczególnie młode pokolenia, wyrosłe w bezpiecznym cieniu epoki, w której wewnętrzna kontestacja i odległe rewolucje do tego stopnia przesłaniały zagrożenie militarne, iż wydawało się ono pojęciem przebrzmiałym. Otóż od czasów Tocqueville'a wiemy, że najtrudniej jest zaakceptować ograniczenia, które – jak się zdawało – zostały przezwyżnione. Wyciąganie z lamusa tak „niemodnych” pojęć jak konflikt, zagrożenie sowieckie, rzeczywista a nie retoryczna równowaga wojskowa, wydaje się dziś wielu ludziom potwornie wsteczną i niebezpieczną ekshumacją. Stąd też chętnie dopatrują się w tym mistyfikacji i szukają winnych wśród tych, co biją na alarm i których wiarygodność jest i tak nadszarpnięta: w Stanach Zjednoczonych. Oto dodatkowe wytłumaczenie sygnalizowanego już faktu, iż sowiecki przeciwnik mniej niepokoi niż amerykański sojusznik.



Na koniec trzy uwagi.

Sądźmy po pierwsze, że idea „odejścia od Jałty” przez neutralizację Europy środkowej i utworzenie w niej strefy bezatomowej jest niebezpieczną iluzją tak długo, jak długo nie będą spełnione warunki innej równowagi militarnej i innego typu stosunków politycznych na Wschodzie i na Zachodzie oraz między nimi. Nie wydaje się, aby groźba wojny, a tym inniej obecność ZSRR w Europie Wschodniej i USA w Europie Zachodniej, spowodowane były bronią jądrową. Europa pozbawiona broni nuklearnej byłaby Europą zdominowaną przez Związek Radziecki, ale przez to wcale nie bardziej pokojową czy wywołoną; narażona byłaby natomiast na takie same niebezpieczeństwa wojny jak wszystkie inne rejony świata, a których oszczędziła jej dotąd broń jądrowa. Finlandyzacja Europy Zachodniej sama przez się nie zmniejszyłaby niewoli Europy Wschodniej. Priorytetem jest więc przywrócenie równowagi, co w początkowym okresie musi polegać na wzajemnym uzależnieniu obrony Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych, a na dalszą metę – na niezależnej obronie europejskiej.

Po drugie, faktem jest jednak, że wyścig zbrojeń jądrowych, a może też chemicznych i bakteriologicznych, w środku Europy zagraża pokojowi, natomiast odprężenie stwarza szanse na pewne otwarcie i autonomię społeczeństw na Wschodzie. Rokowania w sprawie kontroli zbrojeń, kontaktów gospodarczych, społecznych, kulturalnych i ludzkich między dwiema częściami Niemiec, dwiema częściami Europy, między Wschodem i Zachodem służą zarówno sprawie pokoju, jak i praw człowieka.

Po trzecie wreszcie, ani rokowania, ani kontakty, ani wymiana nie gwarantują automatycznie pokoju i poszanowania praw człowieka. Nie może być prawdziwej zgody w sprawie ograniczenia zbrojeń, ani prawdziwej współpracy gospodarczej, a tym mniej prawdziwego „odejścia od Jałty”, bez poważnego ograniczenia tajnych i arbitralnych decyzji, bez poważnych postępów na drodze do otwarcia społeczeństw i ich demokratyzacji. Wspomnieliśmy na początku, że pacyfizmowi grozi ryzyko popadnięcia w fałszywy dylemat między sprzeciwem wobec wojny jądrowej a

oporem wobec totalitarnej ekspansji. Powtórzmy na zakończenie naszą wiarę w nierozdzielną jedność utrzymania równowagi militarnej, rokowań dyplomatycznych w sprawie kontroli zbrojeń i solidarności europejskiej w walce politycznej o demokrację na Wschodzie i na Zachodzie.

Tłumaczyła Maria Li

Pierre Hassner

**KWARTALNIK  
POLITYCZNY**

**krytyka**

**WYDAWANY POZA CENZURĄ W POLSCE**

**W nr. 13-14 (podwójny) m.in.:** *POLSKA STANU WOJENNEGO — ANALIZY, OCENY STANOWISKA:* A. Michnik: O oporze; W. Lamentowicz: Legitymizacja władzy politycznej w powojennej Polsce; J. Powiórski: Polacy 81: opinia publiczna w przededniu stanu wojennego; A. Romaniuk: Uwagi o stanie wojennym; F. D. Stanisławski: Służyć prawdzie czy propagandzie. *HISTORIA NAJNOWSZA:* A. Michnik: Rozmowa w Cytadeli; Ł. Socha: Skazani na śmierć i ich sędziowie (1944-1946). *KULTURA I POLITYKA:* J. Andrzejewski: Miłosz '51; Cz. Miłosz: Nie; Z. Zaremba: Wobec nowego uchodźcy; J. Mieroszewski: Sprawa Miłosza; S. Piasecki: Były poputek Miłosz; A. Słonimski: Odprawa; Cz. Miłosz: Do A. Słonimskiego; M. Kundera: Stracone listy. *POLEMIKI:* Jakand: „Junta” — czyli kto rządzi w Polsce. *NAD KSIĄŻKAMI — X:* Najnowsza historia Polski; W. Mart: Powojenne spory o system ustrojowy; H. Pobóg: Chrzęścijaństwo a marksistowski socjalizm. *DOKUMENTY CHWILI — LISTY DO REDAKCJI.*

**Wkrótce następane numery**

**Dostępne są wszystkie dotychczas wydane numery w cenie:**

nr 1-2, 13-14 (podwójny)	— £ 4,00; \$ 10,00
nr 3, 4, 9	— £ 2,00; \$ 5,00
nr 5, 6, 7, 8, 12	— £ 3,00; \$ 7,50

Zamówienia wraz z wpłatą należy przesyłać na adres:  
«Aneka», 61 Dorset Road, London W5 4HX, England  
załączając czek lub przekazy pieniężne wystawione na Aneka.

**Edward P. Thompson**

## **„NORMALIZACJA” EUROPY**

...To wielki zaszczyt dla mnie, iż mogę się spotkać tutaj z wami i przedyskutować nasze wspólne problemy – jest to też moim obowiązkiem. Nasz kontynent przedziela sztuczna, ideologiczna przepaść, którą nie zawsze są w stanie przebyć głosy z drugiej strony. Proszę was byście przyjęli moją zupełną szczerość. Nie będę marnował waszego czasu na banały. Uważam za możliwy wybuch wojny nuklearnej w przeciągu następných dwudziestu lat, która doszczętnie zdewastuje, tak wasz, jak i mój kraj. Wojna ta położy kres europejskiej cywilizacji.

Jednakże danie wyrazu przerażeniu czy też dobrej woli samo w sobie nie zapobieże katastrofie. Dobra wola może nawet stanowić maskę, za którą kryją się inne motywy oraz interesy. Musimy wskazać na nie palcem, i nie jako zwolennicy jednej czy drugiej „strony”, lecz razem. Musimy też znaleźć sposoby wspólnego działania. Przede wszystkim należy pozbyć się naszych masek i być gotowym do trudnej, niewygodnej wymiany zdań. Jak Gulia Illyes napisał w *Odzie do Bartoka*:

---

Skrót wykładu wygłoszonego w prywatnym mieszkaniu w Budapeszcie 23 września 1982 r., ogłoszony w *END Special Report: The New Hungarian Peace Movement*, END, Londyn 1983.

Niech się stanie harmonia!  
 Ład, lecz ład prawdziwy, żeby świat nie zginął  
 O, jeśli świat ma nie zginąć  
 ludzie swobodę muszą mieć  
 mówienia, majestatycznie!

Zacznę od krótkiego wyjaśnienia mojego osobistego stanowiska. Nie jestem absolutnym pacyfistą. Istnieją sytuacje, w których należy wziąć broń do ręki w celu samoobrony. Jeśli jednak chodzi o broń nuklearną, to jestem pacyfistą absolutnym. Cywilizacja, która bazuje na stałym, codziennym zagrożeniu, na możliwości wzajemnej zagłady – jest barbarzyństwem. Na Zachodzie większość członków ruchu pokojowego nie walczy z jakąś szczególną bronią – pociskami typu Cruise, MX, Trident czy SS20 – ale przeciwko im wszystkim. I zwracamy się do obu stron o podobną walkę. Nie istnieje coś takiego, jak dobra demokratyczna bomba zachodnia i szatańska komunistyczna, czy dobra bomba proletariacka i zła zachodniego imperializmu. Jaki sens ma dyskusja o „równowadze” czy parytecie dwóch odmian absolutnego zła?

Również bez sensu jest mowa o „równowadze” z punktu widzenia militarnego, albowiem nie istnieje obronna broń nuklearna. Jest to broń straszliwa i groźna, a zarazem samobójcza. Nuklearne „odstraszenie” przypomina pistolet o dwóch lufach – przystawiony do głowy antagonisty jednocześnie mierzy w naszą własną. „Nie ruszaj się albo obaj zostaniemy zastrzeleni!” Taka broń nie stanowi wiarygodnej ochrony, nawet jeśli miałaby w końcu wystrzelić. Tymczasem groźba wojny nuklearnej ma raczej mały wpływ na rzeczywiste zachowanie państw posiadających broń jądrową.

A oto drugi, mój osobisty, argument: nie mam zaufania do żadnego z krajów, prowadzących politykę zbrojeń, ze względów wykraczających poza problem uzbrojenia. William Blake napisał, kiedy rewolucja francuska wkroczyła w imperialną epokę Napoleona:

Najsilniejsza trucizna jaką w dziejach znano  
 To laurowego wieńca Cezara jest wiano.

Trucizna nie objawia się wyłącznie w formie plutonu. Jak powszechnie wiadomo z historii – z wyjątkiem obronnej walki o nie-

zawisłość – wojna, lub spotęgowana gotowość zbrojna, wpływa rozkładająco na polityczne i społeczne życie narodu. Wojskowa wizja rzeczywistości nakłada się na wszystkie ludzkie intencje, potrzeby i prawa. Bez wątpienia – mogę tu mówić tylko na podstawie doświadczeń zachodnich – przeciągający się stan zimnej wojny spowodował chorobliwe reakcje w dziedzinie polityki: pierwszeństwo przemysłu zbrojeniowego przed świadczeniami (oświatą, opieką zdrowotną i socjalną), wzmocnienie służb bezpieczeństwa i policji, narzucenie ideologicznego uniformizmu i politycznej głupoty, nacisk na dochowywanie „tajemnicy służbowej” – co w Wielkiej Brytanii oznacza trzymanie w tajemnicy przed własnym społeczeństwem faktów dobrze znanych wywiadowi państw Układu Warszawskiego – i tym podobne. Miałem zwyczaj żartowania na zebraniach ruchu pokojowego, że jedyną gałąź przemysłu brytyjskiego, która się rozwija, to podsłuch telefoniczny. Teraz, po wojnie falklandzkiej, nastąpił rozwój przemysłu stoczniowego – trzeba zastąpić zatopione okręty bojowe nowymi.

Jeśli obecna zimna wojna, lub wroga postawa dwóch bloków przeciągnie się o dalsze dwadzieścia lat, to nie oznacza, iż nieuchronnie doprowadzi do ostatecznego zniszczenia, ale niemniej jest ono wysoce prawdopodobne; natomiast na pewno doprowadzi po obu stronach do poważnych problemów ekonomicznych i zniszczeń kulturalnych, do dwóch wrogich wobec siebie społeczeństw, rządzonych przez nietolerancyjnych przywódców opartych obsesją bezpieczeństwa, a więc do ograniczenia wolności i praw obywatelskich jako sprzecznych z wymogami zbrojących się państw.

Jest to ponura wizja, ale musimy mieć pełną jasność sytuacji. Nie wolno nam zamykać oczu. Powinniśmy wykorzystać obecny wzrost zrozumienia sprawy pokoju, zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie, gdyż obecna szansa jest być może ostatnią zanim wspólnie znajdziemy się w potrzasku. Wybaczcie mi, jeśli słowa te brzmią obraźliwie. Nie mówię o i n t e n c j a c h przywódców po waszej czy mojej stronie. Zawodne jest przepowiadanie biegu historii na podstawie chęci poszczególnych przywódców. Wskazują na głębszy proces, daleko wykraczający poza intencje indywidualnych ludzi, na proces, w wyniku którego pęczniejącej sek-



tor militarny jednej strony nieustannie karmi i rozdyma swego odpowiednika po drugiej stronie harykady.

Dziwny pojedynek propagandowy miał miejsce na świecie przez ostatni rok. Caspar Weinberger, minister obrony USA, donośnie roztrząbił treść książki pod tytułem *Sowiecka potęga militarna* przygotowanej przez Pentagon. Opisuje się w niej nie mający precedensu, napawający strachem wzrost potęgi wojskowej ZSRR w ostatnich latach, mierzonej technologicznym zaawansowaniem i liczbą czołgów, rakiet, samolotów bojowych, okrętów. Rozmiar oraz sprawność wojsk sowieckich i armii innych krajów Układu Warszawskiego pokazane zostały na wykresach, tabelach i alarmujących fotografiach.

Gulasz ten nie był wyłącznie z kłamstw sporządzony, choć niemało było w nim obrzydliwych fałszerstw. Uniknięto przede wszystkim przedstawienia jakiegokolwiek porównania, czyli odpowiednich informacji umożliwiających zestawienie z mocą NATO. To przeczczenie zostało szybko naprawione przez Wojskowy Dom Wydawniczy Ministerstwa Obrony ZSRR, który wydał własną luksusową publikację pod tytułem *Skąd płynie zagrożenie dla pokoju?* Zdjęcia w tej książce w każdym razie są lepsze niż w amerykańskiej, co zrozumiałe, bo łatwiej są dostępne ze źródeł zachodnich niż wschodnich – i dlatego bardziej niepokojące. Widać na nich przerażającą w ostatnich latach rozbudowę potęgi militarnej USA i NATO.

W czasie rewolucji francuskiej głównym jej zwolennikiem w Anglii był Tomasz Paine, który napisał *Prawa człowieka*, a czołowym krytykiem Edmund Burke – autor *Rozmyślań o rewolucji francuskiej* (*Reflections on French Revolution*). Jeden z brytyjskich reformatorów zażądał oprawienia obu książek w jeden tom, gdyż czytane razem – powiedział – stanowią bardzo dobrą całość. Podobnie trzeba zrobić z opracowaniem amerykańskim *Sowiecka potęga militarna* i sowieckim *Skąd płynie zagrożenie dla pokoju?*, ale nie będzie to dobra książka. Razem tworzą tak przerażającą całość, że i rozum, i zmysły bronią się przed nią. Jest to najbardziej barbarzyński katalog przemysłnych narzędzi mordu kiedykolwiek znany człowiekowi. Jest to inwentarz dwóch bliźniaczo podobnych kwintesencji zła, jest to bilans, w którym każda pozycja oznacza stratę. Ta książka jest przyznaniem się ludzkości do absolutnej klęski.

(...) Zbrojenia są obecnie głównym sektorem gospodarki po obu stronach globu i w wyniku wzajemnej stymulacji oraz przyznania pierwszeństwa potrzebom militarnym nad wszystkimi innymi możemy zauważyć – według słów Zdenka Mlynarza – utworzenie się „nowego modelu rozwoju”.

Przeciwko temu modelowi właśnie, który zmierza ku powszechnej śmierci i który narzuca swą chorobliwą formę uboższym krajom „Południa” poprzez stale wzrastającą sprzedaż broni, zarówno przez kraje NATO, jak i Układu Warszawskiego, powstał i stale rośnie ruch pokojowy na Zachodzie. Jego rozwój ma charakter epidemii, przekracza łatwo granice jak niegroźna infekcja: teraz Holandia czy Wielka Brytania, następnie Skandynawia, Niemcy, Włochy, i dalej przez Atlantyk. Ruch ten powstał jako protest, gdyż zgodnie z deklaracją Erharda Epplera: „łańcuch zbrojeń musi być przecięty”. Ale ruch jest czymś więcej niż po prostu wyrazem odmowy. Jak mi powiedziano, istnieją pewne nieporozumienia po tej stronie na temat stanowiska zachodniego ruchu pacyfistycznego, czy raczej powinienem powiedzieć, na temat tej części ruchu, do której należę. Myślę, że mogę stwierdzić, iż nasz odłam reprezentuje większościową tendencję w ruchu pokojowym Europy Zachodniej i USA, chociaż są i inne, na przykład absolutni pacyfiści czy, w niektórych krajach, sympatycy prosowieccy. Stanowisko, które za chwilę przedstawię, jest bardzo szeroko reprezentowane w Kampanii na Rzecz Rozbrojenia Nuklearnego, obejmującej masowy ruch pokojowy w Wielkiej Brytanii. RRN jest szeroko popierany w Irlandii, Islandii i w Norwegii. Stanowisko to zostało wypracowane przez doświadczoną holoenderską Międzykościelną Radę Pokoju, przez wpływową część ruchu pokojowego w Austrii; jest silnie reprezentowane wśród Zielonych w czasie toczących się debat w Niemczech Zachodnich. Podobne argumenty przytaczane są też na południu Europy, szczególnie w eurokomunistycznej Włoskiej Partii Komunistycznej, jak też podnoszone są przez niezależne grupy ekologiczne, feministyczne i lewicowe.

(...) Zachodni ruch pokojowy jest silny, ale nie na tyle, by narzucić swoją wolę rządów czy militarnym paktom. W tej chwili osiąga pewną ideologiczną i polityczną barierę. Jak brzmi pytanie, które najczęściej zadają nam w naszych krajach przeciwnicy

w czasie dyskusji? „Zgadza się – mówią – że rozbrojenie jest pożądane, ale gdzie jest ruch pokojowy po drugiej stronie?” Jeśli w odpowiedzi przywołuje się fakt, że Radziecka Rada Pokoju i inne pokojowe komitety czy rady na Wschodzie organizują demonstracje i piszą petycje, to słyszymy: „Tak, ale te akcje skierowane są przeciwko broni Sojuszu Atlantyckiego, a nie przeciwko własnym zbrojeniom i militarystyce własnych państw”. Uczestniczyłem w wielkiej demonstracji w Bonn w październiku ubiegłego roku, gdzie zachodniemiecki ruch wykazał swą dojrzałość; całe popołudnie krążył nad głowami samolot ciągnący za sobą transparent z napisem: „Wer demonstriert in Moskau?” (Kto demonstruje w Moskwie?)

Zachodni ruch pacyfistyczny, by przekroczyć tę barierę, musi połączyć się z niezaangażowanym politycznie, kompletnie niezależnym od państwa ruchem po waszej stronie. To, co jest epidemią, musi stać się powszechne.

Nasze stanowisko pozostaje przy tym absolutystyczne. Niezależnie od tego, czy ruch pokojowy w waszej części Europy nabierze na sile, czy nie, my nadal trwać będziemy przy bezwarunkowej odmowie. Nie jesteśmy politykami angażującymi się w sprytne rokowania handlowe. Nasze stanowisko jest błędnie odczytywane nie tylko przez wrogich nam krytyków na Zachodzie, ale również przez niektórych obserwatorów na Wschodzie. Sądzą oni, iż nasza postawa dyktowana jest strachem czy defetyzmem lub może przez prosowieckie czy antyamerykańskie emocje – a może jest wynikiem sowieckiej militarnej i dyplomatycznej presji na znerwicowanych zachodnich inteligentów i „drobnomieszczan”? Nie! Oczywiście można znaleźć tu i ówdzie drobne elementy tego typu. Większość jednak opowiada się za ruchem nie tylko z powodu absolutnych moralnych przesłanek, ale również w wyniku politycznej logiki, która nakazuje negocjacje – negocjacje przez akcję, dzięki której narody Europy, Wschodniej i Zachodniej, ponownie odegrają samodzielną rolę. Przez dwa dziesięć lat supermocarstwa narzucały swoją hegemonię narodowi Europy; wszystkie rokowania wzięły w swoje ręce – a zbrojenia przez cały czas rosły i rosły. Dzisiaj znowu rokowania toczą się za zamkniętymi drzwiami w Genewie na temat, który jak mało co dotyczy bezpośrednio wszystkich Europejczyków – pociski

średniego zasięgu, typy broni służące do prowadzenia „ograniczonej wojny nuklearnej”, a mimo to przy nepociągającym stole nie ma miejsca dla przedstawicieli Europy. Odnowa rozmieszczenia tej broni gdziekolwiek na naszym terytorium, brak zgody na bazy lotnicze, na wysunięte pozycje rakietowe, z których mogą być one wystrelone – to jedyna, jaka nam pozostała, opcja na rzecz autonomii Waszego czy mojego narodu – na rzecz prawa do przeżycia.

Mówię o „negocjacjach poprzez akcję”. Ruch pokojowy w Wielkiej Brytanii, podobnie jak w Holandii, popiera jednostronne rozbrojenie. Jeśli Holandia czy Wielka Brytania odnowią przyjęcia jakiegokolwiek broni na swoje terytorium – a zarówno brytyjska, jak i holenderska Partia Pracy zobowiązują się do tego – to nie oznacza, że wszystko zostanie załatwione. Będzie to niemniej pierwszy krok w kierunku bezpośrednich negocjacji. Wtedy, mamy nadzieję, możemy zwrócić się do was – może do ZSRR, może do Węgier czy Polski – i powiedzieć jako lepsi sąsiedzi: „Myślny wyrzekli się danego typu broni i usunęliśmy amerykańskie bazy wojskowe z naszych ziem. Teraz więc, jakiego typu uzbrojenia wy się wyzbędziecie w zamian? Jakie bazy sowieckich sił zbrojnych zechcecie uprzecznie zlikwidować?”

Zmęczeni jesteśmy pozostawianiem naszego losu w rękach polityków supermocarstw, z których większość zamarła w bezruchu, nie wychodząc wyobraźnią poza *status quo*. Nasze działanie w żaden sposób nie narusza uprawnionej obronności naszych narodów. Jak już mówiłem, nie jest to broń obronna; a bazy wojskowe tylko zapraszają do ataku. Poza tym jest jeszcze jeden problem. Obecne ilości broni nuklearnej dalece przekroczyły jakiegokolwiek „potrzeby” nawet najbardziej szaleńczego strategicznego scenariusza. To nie jest tylko pogląd jakiegoś utopijnego „pacyfisty”, jest to ocena czołowych dowódców i doradców po obu stronach, chociaż mówią o tym dopiero po przejściu na emeryturę, gdy mogą wypowiadać się swobodnie.

(...) Jest to zaledwie pierwsza część naszej wizji. Druga – może być przyjęta lub odrzucona tylko przez was po tej stronie. Wasze uprzejme zaproszenie oraz umożliwienie mi mówienia otwarcie dzisiaj, być może pomimo niezadowolienia źle poinformowanych osób na wpływowych stanowiskach, porusza mnie do głębi. My

również, na Zachodzie, organizujemy, dyskutujemy i działamy wbrew niechęci i niezrozumieniu czynników oficjalnych i mimo wielu rzeczywistych oraz ważnych swobód, wolności prasy i opinii, w moim własnym kraju często mamy trudności z umieszczeniem w telewizji czy w gazetach pełnych oświadczeń wyrażających nasze stanowisko. Wasze zaproszenie umacnia mnie w przekonaniu, że nasze stanowisko jest właściwe. Wierzmy, że jeśli będziemy dalej działać, nawet jeśli tylko jednostronnie, i że jeśli zmusimy jeden czy więcej rządów zachodnich do jednostronnego rozbrojenia, to spotkamy się z waszej strony z podobnym odzewem, podobną presją społeczną i działaniem.

Powiem więcej, przypuszczenie, że większość zachodniego ruchu pacyfistycznego motywowana jest strachem czy prosowieckimi przesłankami ideologicznymi, jest wielkim błędem, który może być tragiczną pomyłką. Takie postawienie sprawy może spowodować brak poparcia z waszej strony, które jest pilnie potrzebne i wręcz niezbędne dla uzupełnienia logiki działania ruchu pokojowego przeciwko polityce zbrojenia się państw na świecie. Sowietcy przywódcy muszą zrozumieć, że na Zachodzie znajdują się miliony ludzi, których przekonania i idee oni by określili jako „antysowieckie”, to znaczy, którzy ostro krytykują rzeczywistość sowiecką, którzy opowiadają się za swobodami intelektualnymi i obywatelskimi, którzy popierają jako sprawę zasad prawo do odmowy odbywania służby wojskowej, i którzy – jak większość związków zawodowych i ruchu robotniczego na Zachodzie – są sympatykami „Solidarności” i polskiej odnowy; i że są miliony takich ludzi, którzy jednocześnie opowiadają się za ruchem pokojowym, właśnie dlatego, że sądzą, iż w warunkach militarystycznego, stanu gotowości do wojny na wierzch wychodzą najgorsze strony obu przeciwstawnych sobie systemów politycznych i społecznych.

Ci ludzie chcą z wami rozmawiać bezpośrednio, tak jak ja mam zaszczyt mówić w tej chwili. Nie określają oni s p o s o b u rozmowy, ani nie stawiają ż a d n y c h warunków. Chcą nawiązać z wami ludzki, sąsiedzki kontakt na zagrożonym kontynencie, i to w taki sposób, by nie mogło to być wykorzystane ani nie dostarczało propagandowych argumentów żadnej ze stron. Chcą z wami rozmawiać szczerze i bezpośrednio p o n a d granicami zbrojących się państw, i głowami ich ideologicznych stróż.

(...) Nie sądzimy, by cele państwa sowieckiego były z natury swojej agresywne czy ekspansywne, chociaż zdawało się, że „ze względu na rację stanu” czy jego „obronę”, agresja i ekspansja miały miejsce. Ale nie możemy zaakceptować sytuacji, w której, protestując stale i z całą mocą przeciwko polityce zbrojeń oraz ideologii naszych krajów, mówi się nam, że jedyny dozwolony kanał porozumiewania się ze zwolennikami ruchu pokojowego po waszej stronie stanowią komitety czy rady, które na ogół popierają ideologię i politykę zbrojeń swoich własnych państw. Tak pojęte stosunki między ruchami, jak i ludźmi są złe, nierównoprawne, nawet oszukańcze.

(...) To najważniejsze, co chciałem wam powiedzieć o nowym ruchu pokojowym na Zachodzie i Wschodzie. Są to ruchy, które może zrodziły się z obaw, ale które teraz są ruchami nadziei. Protestują one nie tylko przeciw poszczególnym typom rakiet – Cruise czy SS20, lecz również zaangażowały się w odrodzenie internacjonalizmu poprzez wymianę i kontakty między setkami aktywistów pokojowych. Ruchy pokojowe mierzą dalej – od protestu przeciw rakietom przechodzą do sprzeciwu wobec istnienia systemu bloków, z których antagonizmu wyrastają rywalizujące militarysty; nakreślają sobie zdumiewający cel: zniszczenie zimnej wojny, nie w jakiejś odległej, nieokreślonej przyszłości, ale w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Praktycznym celem naszej działalności winno być teraz rozwiązanie obu bloków militarnych, poprzedzone ustanowieniem regionalnych stref bezatomowych – Balkany, Bałtyk, środkowa Europa, w powiązaniu z postępującą demilitaryzacją, wycofaniem wrogich sił zbrojnych z całego kontynentu; celem jest więc „normalizacja” Europy.

Przyjaciele! Nasze dzisiejsze położenie nie jest tylko niebezpieczne, ale jest również nienormalne i absurdalne. Znajdujemy się od siebie w odległości paru godzin jazdy pociągiem, samochodem czy samolotem, mamy wiele wspólnych elementów w historii i kulturze, nie ma żadnej geologicznej przepaści, która by nas dzieliła. Ludzie – a szczególnie młodzież po obu stronach – mają podobne zainteresowania, ubrania, lubią tę samą muzykę, wyrażają zainteresowanie sprawami ochrony środowiska i problemami Trzeciego Świata. Dzieli nas nie granica przebiega-

jąca na ziemi, lecz podział istniejący w naszych umysłach. Ten nienaturalny stan rzeczy jest dziedzictwem pewnej chwili, pewnego układu sił istniejącego pod koniec II wojny światowej, którego konsekwencje odczuwamy do dzisiaj, mimo że powody, dla których układ taki powstał, dawno zniknęły. Dla nowych pokoleń po obu stronach, w Bonn czy w Budapeszcie, ten sztuczny podział, ten *apartheid* narzucony przez zgrzybiałą ideologię jest czymś plugawym.

Za każdym razem, kiedy godzimy się w naszych umysłach na ten sztuczny zimnowojenny podział, jesteśmy winni zdrady wobec samych siebie. Zezwalamy zbrojącym się państwom – biernie odtwarzającym przeszłość – na ustawienie nas zgodnie z militarnymi, a nie ludzkimi wyznacznikami rzeczywistości. Pozwalamy starczym ideologiom na twierdzenie, że każdy, kto na Zachodzie działa na rzecz jednostronnego rozbrojenia, jest pro sowiecki, jest świadomym czy nieświadomym agentem komunistycznego mocarstwa. Zezwalamy również na to, iż każdy na Wschodzie, kto krytykuje militarizm we własnym kraju lub domaga się praw do swobodnego przepływu idei czy wyrażania poglądów, jest piętnowany jako świadomy czy nieświadomy agent zachodniego imperializmu. W ten sposób trzyma się nas osobno i przeciwstawia sobie nawzajem. Nienormalność naszej rozdartej cywilizacji uprawomocnia się i przenosi się w przyszłość; w której ten stan rozszczępienia zniszczy nas wszystkich.

Gdybyśmy tylko mogli znaleźć sposób na połączenie naszych sił – w dziedzinie kultury i polityki – mimo trudności i ryzyka, to mogliśmy narzucić naszą wolę blokom militarnym. Jak to osiągnąć? O tym właśnie zachodni ruch pokojowy chce z wami rozmawiać i naradzić się. Pewni jesteśmy tylko paru rzeczy. Po pierwsze, zimna wojna nie może zakończyć się wskutek zwycięstwa jednej strony nad drugą – takie zwycięstwo jest niemożliwe bez starcia zbrojnego. Zimna wojna może się zakończyć tylko wskutek „*détente* narodów” – odprężenia ponad głowami państw, w wyniku oddolnej inicjatywy, przede wszystkim ludzi młodych. Po drugie, żaden ruch pokojowy nie ma szans sukcesu, jeśli służy interesom jednej tylko strony; ruch pacyfistyczny musi być w pełni niezależny i niezaangażowany (w sensie bloków wojskowych). Po trzecie, ruch pokojowy nie powinien zaj-



omawiać nie skomplikowanymi problemami życia politycznego państwa drugiej strony. Zachodni ruch pokojowy nie powinien ingerować w wasze sprawy; ponieważ jednak jesteśmy ruchem „indywidualistów” a nie zdyscyplinowaną organizacją, nie możemy przyrzec, że nikt nie będzie próbował. Niezależny ruch pacyfistyczny na Wschodzie nie istnieje po to tylko, by dawać okazję do małych dramatycznych wzmianek w prasie zachodniej, ani też dlatego, by uzasadniać swoim istnieniem działalność niezależnego ruchu pokojowego na Zachodzie; ruch pokojowy na Wschodzie musi nieustannie pracować zgodnie z warunkami i potrzebami własnego kraju, występując z propozycjami, których jedynym celem winien być sukces naszych wspólnych wysiłków.

Jak już powiedziałem gdzieś indziej, zachodni ruch pokojowy i siły dążące do demokracji na Wschodzie są naturalnymi sprzymierzeńcami, to znaczy, że sprawa pokoju i wolności jest nierozdzielna. Wierzę, że jest to prawda, mająca swoje głębokie podłoże historyczne — stąd wypływa siła, która połączy nasze wysiłki. Powiedzmy sobie tutaj, że oba nasze ruchy powinny „uznać się” wzajemnie. Ale ruch pokojowy na Zachodzie nie jest firmą eksportową na Wschód, która by wraz z ideą pokoju eksportowała cały pakiet innych idei i dążeń, z których część odpowiadałaby warunkom życia waszego narodu, a inne nie. Mam nadzieję, że i wasz ruch pokojowy wykaże podobną wstrzeźliwość. Powiem więcej, sądzę, że ruchy pokojowe — połączone razem — winny być siłą stabilizującą, a nie służyć do wywoływania dramatycznych i nagłych syriacji. Możemy życzyć sobie „destabilizacji” militarnych struktur po obu stronach, ale nie oznacza to, iż pragniemy anarchizacji życia politycznego.

Podam wam przykład dotyczący delikatnej sytuacji. Postęp odnowy w Polsce i zniesienie stanu wojennego będzie z radością przyjęte przez zachodni ruch pokojowy. W końcu większość z nas to zwyczajowcy. W każdym razie, jeśli proces odnowy wywałczyłby więcej autonomii dla Polski, to zadaniem zachodniego ruchu pacyfistycznego byłoby użycie wszystkich sił do powstrzymania tych militarystycznych elementów w USA czy NATO, które by chciały wypełnić powstałą próżnię i w ten sposób zapewnić korzyści dla NATO w sytuacji, gdy mogłoby



się wydawać, że Układ Warszawski jest osłabiony. To jest przykład tego, co nazywam „siłą stabilizującą”. Właściwą odpowiedzią zachodniego ruchu pokojowego na sytuację w Polsce winna być walka o zmniejszenie napięcia militarnego w Europie Środkowej, co umożliwiłoby Polakom rozwiązanie własnych i sąsiedzkich problemów bez interwencji z zewnątrz. W jaki to sposób rakiety Pershing II rozmieszczone na terenie RFN mogą przynieść wolność czy odnowę komukolwiek?

Będę szczerzy, zachodni ruch pacyfistyczny nie jest jeszcze wystarczająco silny, by twierdzić, że jest zdolny do powstrzymania awanturników z NATO. Ciągłe jeszcze – jako ruch – jesteśmy zbyt młodzi. Musimy się wzmocnić. Osiągnęliśmy taki oto punkt, od którego wzrost w siłę może się tylko odbywać w ramach niezależnego ruchu ogarniającego cały kontynent. Nie będę ukrywał, jaki to cel uznaję za pożądany. Już najwyższy czas, trzydzieści siedem lat po II wojnie światowej, by został podpisany normalny pokój z Niemcami. Przyniesie to nam, nie jako prowokacja, ale jako normalne zjawisko, całkowite wycofanie obcych sił zbrojnych, likwidację baz wojskowych – wpraw w Europie Środkowej, włączając w to RFN, a następnie na terenie całego naszego kontynentu, to znaczy wycofanie sowieckich wojsk z Europy Wschodniej i amerykańskich z Zachodu. Powinniśmy wyprosić ich kurtuazyjnie – podziękować za wyzwolenie, pożegnać kwiatami. Trzydzieści siedem lat to długi okres, wystarczająco długi.

Wybaczcie anegdotę, którą opowiem. Dla jednej z amerykańskich radiostacji przeprowadził ze mną wywiad były sekretarz prasowy prezydenta Cartera, Jody Powell. Chciał się dowiedzieć, dlaczego nasz ruch protestuje przeciwko nuklearnym raketom typu Cruise, które Stany Zjednoczone wspaniałomyślnie przysyłają dla naszej obrony. W pewnym momencie oburzył się na moją odpowiedź – byłem na tyle niegrzeczny, iż przypomniałem, że niegdyś to naród amerykański uchwalił Deklarację Niepodległości. Powell ostrzegł mnie wtedy, że jeśli Europejczycy będą tacy arogancy, to naród amerykański może się obrazić, wpaść ponownie w izolacjonizm i wycofać wszystkie swoje wojska z Europy. Odpowiedziałem – bardzo grzecznie – że dobrze by to świadczyło o Amerykanach, gdyż trzymanie sił

militarnych w Europie obciąża bardzo ich podatki, a ponadto, że gdy Amerykanie są mile widziani jako turyści czy w jakiegokolwiek innej cywilnej roli, wielu z nas byłoby szczęśliwymi, gdyby wycofali swe wojska. Oburzony Powell opowiedział historię o tym jak generał de Gaulle postanowił zerwać umowę i wycofać Francję ze struktur wojskowych NATO. Zaprosił więc amerykańskiego ambasadora do siebie, i zażądał wycofania wszystkich wojsk amerykańskich z terytorium Francji w wyznaczonym czasie. Zgodnie z relacją, ambasador cierpliwie wysłuchał żądania i skierował się ku wyjściu, ale przy drzwiach odwrócił się: „Rozumiem, generale, ale czy mam powiedzieć mojemu prezydentowi, że mamy zabrać ze sobą również wszystkie groby amerykańskich żołnierzy poległych przy wyzwoleniu Francji?”

Jody Powell sądził, iż tą opowieścią powalił mnie. W tym momencie nastąpiła przerwa na reklamy deodorantów, ciastek i papierowych chusteczek do nosa, a do tego nieco muzyki młodzieżowej – jak to jest w zwyczaju radia amerykańskiego – więc miałem trochę czasu do namysłu. Kiedy wróciliśmy na antenę, powiedziałem: jakby wspaniałomyślnym nie był akt wyzwolenia, nie oznacza on prawa do wiecznej okupacji. Tak się zdarzyło, że ja sam brałem udział w wyzwoleniu Włoch i znajduje się tam wiele grobów moich kolegów. Nie walczyłem jednak wówczas z myślą o okupacji Włoch dzisiaj. Wolę mieszkać w Worcester w Anglii. Mógłbym jeszcze dodać – ale tego nie zrobiłem – że mego brata pochowano w Bułgarii wraz z poległymi partyzantami, i też nie sądzę, iż z tego powodu Bułgaria dziś powinna być okupowana przez Anglików.

Oczywiście, obce wojska stacjonujące obecnie w Europie to nie są siły okupacyjne. Ale ich obecność nieustannie przypomina o nienormalnej sytuacji i o nie rozwiązanych problemach, jak również stanowią one olbrzymie obciążenie materialne dla obu supermocarstw. W bezpośrednim interesie obu stron leży położenie kresu temu stanowi rzeczy, a w naszym interesie – interesie ogóinoeuropejskiego ruchu pokojowego – leży stworzenie takich stosunków, w których kosztem najmniejszego ryzyka, czy najmniejszej korzyści dla którejkolwiek ze stron, może nastąpić wycofanie wszystkich wojsk.

Kończąc chcę wyrazić nadzieję, że nie nadużyłem waszej

uprzejmości i nie wystąpiłem zbyt prowokująco. Istnieje tylko jeden rodzaj interwencji, za który nigdy nie będę się czuł winny: ja i inni członkowie ruchu pokojowego na Zachodzie czy na Wschodzie mamy oczywisty obowiązek popierania inicjatyw ludzi działających na rzecz pokoju w każdym miejscu Europy, gdy napotkają na przeszkody czy ingerencję z zewnątrz. Osobiście, wraz z Europejskim Ruchem na Rzecz Rozbrojenia Nuklearnego oraz Kampanią na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego energicznie popieramy członków Tureckiego Stowarzyszenia Pokojowego postawionych obecnie przed sądem w Ankarze; popieramy Sergiusza Batowrina i jego małą niezależną grupę na rzecz pokoju utworzoną niedawno w Moskwie – protestujemy przeciw prześladowaniom ze strony władz bezpieczeństwa. Z naciskiem stwierdzamy, że nie odniesiony sukces – co też oznacza, iż nasza wspólna przyszłość wystawiona będzie na niebezpieczeństwo – jeśli nie będzie maksymalnie swobodnego przepływu informacji i idei między tymi, którzy działają na rzecz pokoju – na Zachodzie i na Wschodzie; upieramy się przy obronie prawa różnych niezależnych grup do spotkań, publikacji, organizowania się, dyskusowania i działania w każdym miejscu naszego kontynentu, niezależnie od tego, czy władze popierają je, czy nie.

Nie możemy osłabnąć naszego celu dopóty, dopóki w Europie nie pojawią się „ludzie pokoju” nowego typu, wierni nade wszystko idei naprawy stanu rzeczy na naszym kontynencie, którzy odrzucają zimną wojnę w swoich sercach i umysłach, którzy spieszą sobie nawzajem z pomocą, którzy nie zgadzają się z zakazami ustanowionymi w imię obronności i ideologii, którzy dziś zachowują się jak wolni obywatele pokojowego kontynentu – nowej Europy, która potępia wszelkie sięganie po broń jako barbarzyństwo, i w której społeczne i ideologiczne kontrowersje rozstrzygane będą politycznymi i kulturalnymi środkami. Poczytuję sobie za zaszczyt dzisiejsze spotkanie, bowiem wasza Grupa na Rzecz Pokoju i Dialogu podziela tę samą wizję ogónoeuropejskiego ruchu.

Przyjaciele! Wy już należycie od tego szczególnego rodzaju ludzi pokoju, wolnych obywateli przyszłej Europy. Dziękuję naszym gospodarzom, chylę czoła przed wami. Obyśmy odnieśli sukces!

Václav Racek

## LIST DO EDWARDA THOMPSONA

Drogi Panie!

Dowiedziałem się o Pańskiej wizycie w Pradze i o nieoczekiwanym obrocie, jaki przybrała dla Pana. Jestem przekonany o Pana szczerej chęci współpracy z ruchem obywatelskim w naszym kraju i dlatego postanowiłem wytłumaczyć przyczyny przyjęcia, jakiego Pan doznał tutaj.

Z zadowoleniem przyjmuję Pańskie pragnienie zapoznania się z argumentami, które zaprzeczają Pańskiej analizie i ukazują jej fałszywość (a ona właśnie leży u źródeł Pana oczekiwań dotyczących możliwości współpracy z podobnym ruchem w Czechosłowacji). Pańska analiza „deterministycznego potęgowania się procesu eksterminizmu” \* zakłada identyczny udział obu supermocarstw w tym procesie. Nie mogę zgodzić się z tą tezą, ani też z ogólnym kierunkiem Pana rozumowania.

Postrzega Pan wzajemne stosunki supermocarstw, tak jak przejawiają się one w zbrojeniach, jako: „sytuację zarówno anta-

---

*New Statesman*, Londyn 24 kwietnia 1981.

\* E. P. Thompson, parafrazując Marksa, powiada, iż o ile żarna były u źródeł feudalizmu, kotły parowe pociągnęły za sobą powstanie kapitalizmu, to dzisiejszy etap rozwoju należy nazwać *eksterminizmem* ze względu na dynamikę i logikę rozwoju prowadzącego do mnożenia środków zagłady ludzkości (przyp. red.).

gonizmu, jak i wzajemności, ponieważ dokonuje się powiększanie arsenału broni po obu stronach, częściowo na mocy logiki wzajemności, i jest nawet regulowane uzgodnionymi, kompleksowymi ustaleniami”.

Nie można jednak uznać za nieistotne, że mimo to stroniczo analizuje Pan sowieckie supermocarswo. Twierdzi Pan, iż „zwiększenie zbrojeń w Związku Radzieckim nie ma charakteru agresywnego i nie ma na celu podbojów, lecz jest natury ideologicznej i biurokratycznej” oraz jest „przede wszystkim obronne”. Nie dokonuje Pan jednak głębszej analizy możliwych związków między ideologią i biurokracją z jednej strony a agresją i podbojem, z drugiej. W konsekwencji umożliwia to Panu nazywanie niepodważalnych faktów agresji i inwazji jedynie „niebezpiecznymi, inercyjnymi posunięciami wynikającymi z agresywnych imperatywów ideologii i strategii”.

Tymczasem rzeczywista analiza takich wzajemnych związków w systemie totalitarnym pokazuje, że relacje między ideologią i biurokracją oraz agresją i inwazją są nieuchronne. Źródłem tych współzależności jest doktryna eksterminizmu oparta o ideologię i terror, to znaczy, że ideologia jest czymś innym, niż li tylko wyrazem potrójnej funkcji wspomnianej przez Pana.

Nie ma potrzeby rozwijania tego rozumowania, gdyż jest ono łatwo dostępne. Pisała o tym Hannah Arendt w *The Origins of Totalitarianism*. Pomimo pewnych zmian w charakterze systemu totalitarnego krajów bloku wschodniego (ciągle odwracalnych), nawet bez zbrodni stalinizmu – co przyznaje i wyjaśnia Arendt – w Czechosłowacji, Niemczech Wschodnich, Rumunii, Wietnamie czy na Kubie często dochodzi do ogólnego wzmocnienia się ideologicznej eksterminacji przy użyciu władzy w każdym możliwym aspekcie życia.

Oznacza to – mówiąc słowami Václava Havela – przebywającego obecnie więzieniu \* – codzienne, ciche i nie rzucające się w oczy poniżanie milionów ludzi. Gdybym miał Panu wyjaśnić sytuację tak, jak ona jest postrzegana „po drugiej stronie”, powie-

\* Václav Havel został warunkowo zwolniony z więzienia w 1983 r. – przyp. red.

działabym, iż mamy do czynienia z realizacją orwellowskiego 1984, z tym wyjątkiem, że dominacja systemu nie rozciąga się na cały świat.

Ten „wyjątek” w sposób istotny określa rzeczywistość, gdyż odgrywa zasadniczą rolę w powstrzymaniu systemu totalitarnego przed dokręceniem śruby, a to już bezpośrednio wyznacza warunki Pańskiej publicznej działalności. System społeczny na Wschodzie zasadniczo bowiem różni się od systemu, w którym Pan żyje i krytykuje. Jestem przekonany, że fakt publicznej krytyki brytyjskiego systemu politycznego (gdzie stwierdza Pan na przykład: „konserwatyści wszystkich partii (...) doprowadzili nas w pół drogi do społeczeństwa odgórnie kierowanego, w którym panem jest pieniądz, a policja kierownikiem produkcji”), stanowi sam w sobie dowód na demokrację w Wielkiej Brytanii, niezależnie od tego, jak dziwnym wydać by się Panu mogło takie stwierdzenie. Możliwość krytyki pokazuje, że mimo poszerzającej się władzy wykonawczej rządu, jego wpływu na sądownictwo i proces ustawodawczy, ciągle jeszcze istnieje system polityczny respektujący opinię publiczną.

Przypisywanie obu blokom „doktryny eksterminacyjnej” jest nie do przyjęcia, wynika z niebezpiecznej naiwności, dość powszechnej – dodajmy – na Zachodzie. Pański ruch pokojowy, który powstał na bazie tej naiwności, nieświadomie nawołuje do *appeasementu* lat trzydziestych. Takie porównanie może wydać się Panu nieusprawiedliwione, ale jako historyk wie Pan zapewne, że prawda często pojawia się za naszymi plecami...

Jeśli sądzi Pan, że jakieś ruchy pacyfistyczne, podobne do Ruchu na Rzecz Rozbrojenia Nuklearnego, mogą powstać na Wschodzie, to jest to kolejna naiwność, podkreślona przez Roja Miedwiediewa. W Polsce na przykład istnieje prawdziwie niezależny ruch masowy, ale – charakterystyczne – nie jest to ruch na rzecz rozbrojenia, ale ruch broniący i walczący o prawa człowieka, to jest walczący właśnie o te zasady, których zgniecenie jest warunkiem wstępnym totalitaryzmu.

Każdy ruch rozbrojeniowy ma sens i jest źródłem nadziei, ale tylko pod warunkiem działania na rzecz praw człowieka. Pańskie wyobrażenie o wręcz przeciwnej drodze, która ma być uwieńczona sukcesem dzięki „logice procesu prowadzącego do

rozwiązania obu bloków (...), w wyniku czego narady Europy Wschodniej i Zachodniej odzyskają autonomię i polityczną niezależność", jest bardzo podobne do mechanicznego rozumienia *détente*. Polega ono w pierwszym rzędzie na dążeniu do ograniczenia zbrojeń i rozwoju współpracy gospodarczej, co dla zwolenników na Wschodzie oznacza skupienie się głównie na ekonomicznym aspekcie problemu. Niektórzy przedstawiciele Zachodu oczekują przy tym, że wojskowe i gospodarcze odprężenie wpłynie też i na *détente* w kwestii praw człowieka i obywatela. Punktem wyjścia dla takiego rozumowania jest pogląd, iż zwiększenie tempa zbrojeń powoduje ograniczanie praw człowieka. Może tak to wyglądać na Zachodzie, ale w systemach totalitarnych sytuacja jest odwrotna. Tutaj ograniczanie praw człowieka wyraża się r ó w n i e ż we wzroście zbrojeń, r ó w n i e ż w militaryzmie.

Jeśli widzi Pan sytuację zupełnie inaczej, to jest to, moim zdaniem wynikiem uproszczenia lub złudzenia optycznego, które powodują, iż ocenia Pan sytuację w państwie totalitarnym na podstawie własnych zachodnich doświadczeń. Jeśli więc twierdzi Pan, że wystarczy „przestawić blok na tory niekolizyjne, a same zaczną się zmieniać; zwolennicy zbrojeń i policja zaczną tracić autorytet (...); pojawią się nowe możliwości dla polityki”, to stanowi to jasny dowód na Pańskie „przygotowanie polityczne”, ale w innym sensie, niż Pan sądzi.

Rozumiem, że coraz większa liczba obywateli zachodnich demokracji z niepokojem obserwuje obecny wzrost zbrojeń, gdyż może to mieć bezpośredni wpływ na los ich krajów w razie konfliktu. Niemniej, jeśli ruch na rzecz rozbrojenia będzie tworzył swoje zręby i działał na podstawie założeń wyrażonych w Pańskich pracach teoretycznych, to w konsekwencji, chcąc nie chcąc, stanie się bardzo wpływową siłą nieświadomie działającą w interesie totalitarnego systemu, którego celem jest dominacja nad światem w oparciu o likwidację praw człowieka.

Chamberlain po Monachium wykrzyknął: „Zostałem oszukany!"; był to wyraz konsternacji człowieka, który dążył do pokoju, ale w swej naiwności przyczynił się wybuchu wojny. W *Osiemnastym Brumaire'a* Marks pisał, że historia nigdy się nie powtarza.

chyba że jako farsa. W obecnym przypadku byłoby to farsą do kwadratu, gdyż już Monachium było farsą samą w sobie.

Sądzę, że rdzeń Pańskich przekonań wypływa z założeń, które dzielą siły polityczne na prawicowe i lewicowe. W tym kontekście uznaje Pan podział tylko na konserwatystów i reakcjonistów oraz na ich przeciwników: jedni określają drugich. Jednak z powodu zasadniczego znaczenia totalitarnych tendencji, ruchów i systemów panujących, podział ten stał się anachronizmem. Niebezpieczeństwo tego anachronizmu wynika z faktu, że linia podziału wydaje się przebiegać pomiędzy totalitarnymi i demokratycznymi prądami wewnątrz zarówno lewicowego, jak i prawicowego przedziału spektrum politycznego.

Nie oczekuję, że po przeczytaniu tego listu otwartego zaklasyfikuje mnie Pan do „konstruktywnych elementów w świecie komunistycznym”. Z drugiej strony, nie mogę zaakceptować sposobu stawiania problemu, który nakreślił Pan w swoich „Notes on Exterminism” i próbowałem wyjaśnić dlaczego.

Celem mojego listu jest chęć wytłumaczenia Panu przyczyn ciszy, z jaką spotkał się Pan w czasie pobytu w Pradze. Jeśli moje, być może nieprzyjemne, ale wyróżzające szczerze intencje, słowa mogą przyczynić się do rewizji przesłanek Ruchu na Rzecz Rozbrojenia Nuklearnego, to poczyniony wówczas zostanie pierwszy krok wiodący ku możliwej współpracy.

Szczerze oddany,

Praga, 12 grudnia 1980 r.  
Tlum. F. G.

Václav Racek



## BISKUPI FRANCUSCY I ZAGROŻENIE NUKLEARNE

### *Między wojną a szantażem*

Groźba konfliktu nuklearnego nie jest urojona. Samobójczy charakter takiego konfliktu czyni go mniej prawdopodobnym, ale go nie wyklucza. Eksperti wątpią, by dał się on kontrolować i ograniczyć w przypadku wybuchu. Wojny jądrowej nie wygrałby nikt. Byłoby to samobójstwo ludzkości: oba supermocarstwa mają dość środków, by siedmiokrotnie unicestwić się wzajemnie. (...)

Nic nie może usprawiedliwić takiego kataklizmu, bowiem chodzi o przetrwanie ludzkości. To samo dotyczy innych form wojny samobójczej, o których mniej słychać, choć się je przygotowuje: wojny bakteriologicznej i chemicznej. Koncentrując zażytno uwagę na wojnie nuklearnej, łatwo zbagatelizować nowocześnie wojny „konwencjonalne” (...) Każdy wie, że przy bezpośrednim starciu wojsk konwencjonalnych dwu mocarstw jądrowych stron klasyczna może się okazać detonatorem taktycznych pocisków nuklearnych. (...)

---

Fragmenty oświadczenia Episkopatu Francji wydanego na zgromadzeniu plenarnym w Lourdes 8 listopada 1983 roku.

Prawdę mówiąc, nikt nie chce wojny, a specjaliści, lepiej znający ryzyko, mniej niż ktokolwiek. „Zwycięzca” (?) sam byłby zrujnowany, a korzyść z panowania nad przeciwnikiem obróconym w popiół nie jest oczywista. Jednak niektóre kraje chcą ciągnąć korzyści z wojny, nie płacąc za jej rozpętanie: grożąc nią, uprawiają permanentny szantaż. (...)

W obrębie obozu wschodniego trzymane są siłą stare kraje demokratyczne, zaś demokracje zachodnie poddaje się bezustannej presji w celu ich zneutralizowania i wciągnięcia w sferę wpływów ideologii marksistowsko-leninowskiej, która przekonana, że posiada sekret pełnego wyzwolenia ludzi i narodów, czuje się upoważniona do narzucania wszystkim tego, co uważa dla siebie za najlepsze.

Nie idzie tu o manichejską wizję świata: całe dobro po jednej stronie, całe zło po drugiej! Zachód też jest chory. Materializm – czy to teoretyczny, jak na Wschodzie, czy praktyczny, jak na Zachodzie – jest śmiertelną chorobą ludzkości, a państwa marksistowsko-leninowskie nie mają monopolu na imperializm. Często uczą się od systemów zupełnie im przeciwnych. Nieśluszne byłoby jednak przymykanie oczu na agresywny i żądny panowania charakter ideologii marksistowskiej. Wszystko, nawet dążenie ludów do pokoju, chce ona wykorzystać do podboju świata.

Czy w tych warunkach absolutne potępienie wszelkiej wojny nie pozostawia pokojowych narodów na łasce tych, którzy kierują się ideologią dominacji? Unikając wojny, narody te ryzykują, że staną się ofiarami innych form przemocy i niesprawiedliwości: kolonizacji, alienacji, pozbawienia wolności i tożsamości. Pokój za wszelką cenę prowadzi naród do różnego rodzaju kapiitulacji. Jednostronne rozbrojenie może nawet spowodować agresywność sąsiadów, budząc pokusę łatwego łupu. (...)

(...) Chrystusowe niestawianie oporu i głoszone przezeń wybaczenie są tym jedynym, co może wybawić ziemię od zepsucia i przemocy. Rezygnacja z przemocy pozostaje wezwaniem dla każdego człowieka, a nawet dla ludzkich społeczności. Ale czy zasadę nieużywania siły można przenosić na państwa? Kościół zawsze przyznawał władzy politycznej prawo odtrącania gwałtu siłą. (...) Nieużywanie siły jest ryzykiem, jakie mogą podjąć

poszczególne osoby. Czy takie ryzyko mogą jednak podjąć państwa, których zadaniem jest bronić pokoju?

W świecie niesprawiedliwości i przemocy, a w takim świecie żyjemy, obowiązkiem polityków jest ratowanie wspólnego dobra zbiorowości, nad którą mają pieczę. (...) Tym dobrem jest pokój, a także – nierozdzielnie – sprawiedliwość, solidarność i wolność. Aby je uchronić, muszą dysponować środkami pozwalającymi możliwie najskuteczniej odstraszyć ewentualnego napastnika.

Państwo ma monopol siły na swym terytorium. Lepiej tę siłę okazać, niż być zmuszonym do jej użycia. Jednak w razie konieczności państwo może się do niej odwołać. Uzasadnione i umiarkowane użycie siły służy pokojowi i wspólnemu dobru, gdyż odwołuje obywateli od samowolnego wymierzania sprawiedliwości: wiadomo, do jakich niesprawiedliwości i nieporządków dochodzi, gdy siła prawa następuje miejsca prawu silniejszego.(...)

Niestety, w stosunkach międzynarodowych żadna instytucja nie jest dostatecznie potężna i skuteczna, by ową siłę prawa narzucić. Toteż żadnemu krajowi nie można odmówić prawa do uzasadnionej obrony przed zagrożeniem zewnętrznym i niebezpieczeństwami grożącymi od wewnątrz (...).

### *Strategia odstraszania nuklearnego*

Nie będziemy wdawać się w dyskusję specjalistów nad wiarygodnością naszej obrony.(...) W tych nader technicznych kwestiach, mających wszakże aspekty etyczne, trzeba wystrzegać się dwu nadużyć:

1. eliminowania sądu moralnego, jak gdyby sprawy równie ważne dla ludzkości można było pozostawiać wyłącznie logice technicznej;
2. wydawania kategoriycznych a lekceważących technik sądów opartych na dedukcji.

Zasadnicze pytanie brzmi następująco: czy w obecnym kontekście geopolitycznym kraj, którego życie, wolność lub tożsamość są zagrożone, ma moralne prawo odpowiedzieć na to istotne zagrożenie skuteczną groźbą, nawet nuklearną?

Jak dotąd, Kościół katolicki, cały czas podkreślając ostateczny charakter takiej obrony i ogromne ryzyko, jakie z sobą niesie, nie sądził, iż powinien ją potępić.

Jest to oczywiście logika rozpaczy i nie można nie dostrzec jej wrodzonej słabości. Żeby nie być zmuszonym do prowadzenia wojny, trzeba pokazać, że jest się do niej zdolnym. Zniechęcanie przeciwnika przez budzenie w nim lęku zmuszającego do rozważenia – służy pokojowi. Groźba jest podstawą strategii odstraszenia, o czym często się zapomina, przydając jej tę samą ocenę moralną co użyciu siły.

Jednak od razu widać, jak niebezpieczna jest logika odstraszenia. By nie pozostawić przeciwnikowi złudzeń co do winygodności naszej obrony, trzeba okazać się gotowym do czynu, gdyby strategia odstraszenia zawiodła.

Moralne uzasadnianie takiego przejścia do czynu jest więcej niż problematyczne. Tym bardziej, że we Francji, nasze odstraszenie „silniejszego przez słabszego”, w braku wysocce wyspecjalizowanego uzbrojenia, nadal opiera się na strategii wymierzonej przeciw miastom (...) jasno i bezapelacyjnie potępionej przez Sobór (...)

Ale groźba nie jest zastosowaniem. Czy niemoralność zastosowania czyni niemoralną groźbę? Nie jest to oczywiste. Bo nie możemy „abstrahować od złożoności rzeczy i kicich, jakie są” – mówił Sobór. W panującej dziś na świecie sytuacji przemocy i grzechu obowiązkiem polityków i wojskowych jest uniemożliwienie szantaży zagrażających narodowi (...).

Kiedy stoiśmy wobec wyboru między dwoma postaciami zła, którym zapobiec prawie nie można, kapitulacją lub kontr-zagrożeniem (...), wybieramy mniejsze zło, nie twierdząc, iż jest ono dobreml (...)

### ***Budowanie pokoju***

Kościół nie popiera przesadnego pacyfizmu. Nigdy nie głosił jednostronnego rozbrojenia, gdyż dobrze wie, że mogłoby to sprzyjać agresywnemu kompleksowi militarnemu, politycznemu i ideologicznemu. Ale w apelach o nieuczynianie przemocy Koś-

ciół rozpoznaje ewangeliczne przesłanie: są one profetycznym przypomnieniem o niszczącym charakterze przemocy (...).

Uznając obecną konieczność zbrojnej obrony, Kościół jednocześnie stale zachęca do jej przewycięzania.

Wysiłki na rzecz rozbrojenia nie są sprawą wyłącznie polityków i ekspertów, lecz wszystkich obywateli, gdyż to oni „płacą” – raz, jako podatnicy, dwa, jako ewentualne ofiary!

Naród nie może żyć długo z oczyma utkwionymi w radarowe ekrany wojsk ochrony kraju, czy też w tablice statystyczne ekonomistów. Wszystko to jest ważne, ale pozostaje na poziomie środków. Ponad środkami życia stoi kwestia racji życia – dla ludzi, a także dla narodów i dla całej ludzkości. A to jest sprawa kultury, czyli sprawa duchowa.

nakładem «aneksu»

### **Tadeusz Mazowiecki** **INTERNOWANIE**

DZIENNIK wybitnego intelektualisty katolickiego, działacza ruchu ZNAK, redaktora naczelnego *Więzi*, a następnie *Tygodnika Solidarność*, czołowego doradcy kierownictwa „Solidarności”.

INTERNOWANIE jest nie tyle fotografią zdarzeń – chociaż miejscami daje ich bardzo wyrazisty rysunek – ile raczej zapisem myśli i odczuć człowieka z drugiej strony muru czy drutów.

Str. 67

CENA: £ 2.50; US\$ 6,00

### **Waldemar Kuczyński** **OBÓZ**

INTERNOWANIE oczyma uczestnika demokratycznej opozycji, eksperta MKS-u w Gdańsku w sierpniu 1980 r. i zastępcy redaktora naczelnego *Tygodnika Solidarność*.

Str. 120

CENA: £ 2.75; US\$ 6,50

**Nakładem «Aneksu»**

**Leszek Kołakowski**  
**CZY DIABEŁ MOŻE BYĆ ZBAWIONY**  
**I 27 INNYCH KAZAŃ**

**poświęconych kulturze, chrześcijaństwu,  
socjalizmowi i Polsce**

**WTOMIE M.IN.:** Szukanie barbarzyńcy, Mała etyka, Fabula mundi i nos Kleopatry, Intelktualiści, O tak zwanym kryzysie chrześcijaństwa, Odwet sacrum w kulturze świeckiej, Diabeł, Samozatrucie otwartego społeczeństwa, Wolność i wolności, Marksistowskie korzenie stalinizmu, Ludobójstwo i ideologia, Tezy o nadziei i beznadziejności, Sprawa polska. O nas samych I INNE ESEJE.

**STR. 320**

**CENA £6.50 (\$14.00)**

**Jerzy Surdykowski**  
**NOTATKI GDAŃSKIE**

Reportaże literackie znanego dziennikarza polskiego prezentują ludzi Sierpnia, m.in. Lecha Wałęsę, Bogdaną Borusewicza, Joannę i Andrzeja Gwiżdów, Annę Walentyńowicz i wielu innych mniej znanych bohaterów tego okresu. *„Pisałem to w czasach nadziei na Polskę odnowioną i demokratyczną, na ugodę pomiędzy «Solidarnością» a partią komunistyczną. Gdy (...) maszynopis tej książki jechał po 13 grudnia 1981 roku do krajów, gdzie nie dociera cenzorski zakaz (...), pod pomnikiem poległych stoczniovców padały kolejne ofiary”.*

**STR. 190**

**CENA £4.00 (\$10.00)**

**CZARNA KSIĘGA CENZURY PRL**

**Tajne dokumenty Głównego Urzędu Kontroli Prasy,  
Publikacji i Widowisk**

*.....Z lektury całości zbioru wylania się obraz przerażający (...) Nie wahamy się powiedzieć, że mamy do czynienia z jedną z największych demaskacji całego okresu powojennego, z aktem, który porównać można jedynie z odległymi już w czasie rewelacjami Światły (...) Działalność cenzury w PRL musi zostać jak najszybciej ujawniona...”*

**z oświadczenia Komitetu Samoobrony Społecznej «KOR»**

**TOM 1 — STR. 248**

**CENA £3.50, \$ 8.50**

**TOM 2 — STR. 470**

**CENA £7.50, \$17.00**

# książki

Adam Michnik

## „GINAĆ ODŚWIĘTNIĘ”

Ta książka przeszła właściwie nie zauważona. Moment historyczny, który umożliwił jej publikację tym się cechował, że ludzie czytali raczej ulotki niż książki. Był to bowiem sam rozkwit konfliktów (1981 rok), kiedy w drugim numerze nowo powstałego miesięcznika *Meritum* ukazał się obszerny fragment („dwie trzecie całości”) książki Igora Newerlego \*. Tekst powieści zajmuje cały numer, a uzupełnia go krótka wypowiedź autora. Od niej zaczniemy.

„Książka ta zrodziła się z nastroju pustki i frustracji, chęci ucieczki od tego, co się działo dookoła. Chyba zacząłem o niej myśleć już w 1964 roku, kiedy to grupa pisarzy wystąpiła z memoriałem w sprawie sytuacji i stanu polskiej literatury. Jako prezes Oddziału Warszawskiego ZLP byłem jednym z inicjatorów i sygnatariuszy tego dokumentu. Memorial został przez władze, bez żadnej dyskusji, w całości odrzucony. Ogarnęło mnie zniechęcenie, poczucie bezsensu jakiegokolwiek pracy społecznej, aktywnego uczestniczenia w biegu spraw. Potem jeszcze doszły wydarzenia lat 67-68 w kraju i za granicą...

---

\* Igor Newerly: „Zostało z uczy bogów”, *Meritum*, Warszawa 1981.

Ażyl znalazłem w mazurskim domku nad jeziorem i pograżyłem się w rozpamiętywaniu młodych lat, odtwarzaniu tego wszystkiego, co mnie, co nam się nigdy śniło”.

Opublikowana w 1981 roku książka przeleżała w szufladzie ponad 10 lat; jest zapisem życia zrodzonym z wstrząsu, jakim były dla inteligencji polskiej wydarzenia 1967-68 roku: kampania antyinteligenccka i antysemicka, udział wojsk polskich w agresji na Czechosłowację. Ślady tego wstrząsu widać na kartach powieści.

Wszelako nim o niej będąc pisał, pragnąłbym najpierw oddać sprawiedliwość wydawcy. Książka Newerlego do dziś nie ukazała się w „Czytelniku” i pewno nieprędko się tam ukaże. Tym większe uznanie należy się redaktorowi *Meritum* Andrzejowi Mencwelowi, który wykorzystał krótki moment luzu cenzuralnego, by wepchnąć tę książkę na szlaki oficjalnego obiegu.

Dziwne to wszystko i po polsku powikłane. Redaktorzy *Meritum* przyznawali się do marksizmu, byli na ogół członkami PZPR, ich mecenasem było partyjne wydawnictwo, a wydrukowali książkę będącą przenikliwym obnażeniem korzeni systemu bolszewickiego i precyzyjnym uzasadnieniem powodów, dla których z tym systemem należałoby wziąć rozbrat. Kiedy czytam dziś stopkę redakcyjną miesięcznika, zdumiewa mnie jej materii pomieszanie; czy ten koncert personalny mógł stworzyć jakąś sensowną propozycję ideową? To okaże się teraz, kiedy mecenas zamknał pismo, a ludzie pozostali zdani sami na siebie. Sprawdzianem wartości zespołu ideowego nie są chwile sukcesu, lecz momenty porażki. Niektórzy z redaktorów zdołali już załapać się na kolejny etap i napisać kolejną porcję lajdactw; inni milczą.

Formuła *Meritum* – partyjno-liberalna – wydawała mi się anachronizmem. Nie wierzyłem ani przez moment, by ta partia była zdolna do reformy demokratycznej. Kolejne reinterpretacje myśli Marksa i „leninowskich norm życia wewnątrzpartyjnego” czynione na użytek bieżącej polityki uważałem za stratę czasu. Nie ufałem wreszcie tym ludziom, bo pamiętałem, ile zakrętów historycznych umieli płynnie sforsować i w ilu świąństwach uczestniczyli. Ze szczególną zaś nieufnością przyglądałem się poczynaniom redaktora naczelnego, Andrzeja Mencwela, kiedyś mojego kolegi, z którym przed piętnastu laty rozstałem się zdecy-



dowanie i raptownie w okolicznościach dla nas obu dramatycznych. Nie żywiłem tedy do *Meritum* i jego redaktorów żadnej sympatii; raczej już niechęć pomieszaną z nieufnością.

Wszelako dziś, po przeczytaniu książki Newerlego, zastanawiam się, czy nie przemawiał przeze mnie – tyleż wytłumaczalny, co pożałowania godny – resentyment. Zapytuję sam siebie: jeśli Andrzejewski, Jastrun, Ważyk – ha! sam Newerly – mogli ewoluować, to czemu nie wierzyć w ewolucję innych? I odpowiadam sam sobie: ewolucja Andrzejewskiego, Jastruna czy Ważyka zaświadczona została długimi latami życia w opozycji i „niełasce”, a nie krótkim okresem „innej koniunktury”. Dlatego miarą rzetelności ówczesnych, przedgrudniowych deklaracji tak zwanych liberalnych członków PZPR jest ich postawa w dniu dzisiejszym i jutrzejszym. Po tym należy ich sądzić.

Piszę to wszystko po to, by z czystym sumieniem wyrazić Mencwelowi słowo uznania i podziękowania za publikację książki Newerlego. Oddał tym cenną przysługę polskiej świadomości kulturalnej.

Mencwel słusznie zauważył w swoim krótkim wstępie, że książka Newerlego przynosi jakby archetyp tych procesów duchowych, które stały się udziałem znacznej części polskich intelektualistów w latach pięćdziesiątych. Sądzę, że z tego punktu widzenia jest to relacja bezcenna. Aliści czytelnika wciąż ogarnia zdumienie, jak człowiek, który przeżył to wszystko, co teraz opisał, mógł napisać później *Pamiętkę z Celulozy*, i jak mógł w epoce stalinizmu partycypować w tym świecie kłamstwa i bezprawia... Nie był ani tchórzem, ani karierowiczem. ani fanatycznym doktrynerem. Więc dlaczego?

Na tę pytania nie umiem znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi. Równie interesujące są pytania o mechanizm ponownej „utrąty wiary”. Igor Newerly był jednym z sygnatariuszy protestu partyjnych pisarzy – obok Brandysa, Bocheńskiego, Konwickiego, Strykowskiego, Woroszyńskiego i innych – przeciw usunięciu z PZPR Leszka Kołakowskiego w 1966 roku. Kiedy jedyną odpowiedzią kierownictwa partii na protest były represje – oddał legitymację partyjną. Ten gest niezgody odsunął go od udziału w życiu publicznym i skłonił do pogłębionej autorefleksji pisarskiej. Zawdzięczamy jej książkę *Zostało z uczy bogów*.

## 2

Ta książka – utwór z pogranicza pamiętnika, powieści-gawędy i esaju – jest rzeczywiście dość niezwykłym wydarzeniem w polskim piśmiennictwie. To chyba pierwsza tego typu książka o rewolucji bolszewickiej.

*Zostało z uczy bogów* to opowieść o dojrzewaniu młodego chłopca, Polaka rzuconego w żywioł rosyjski w pierwszych latach władzy sowieckiej. Obraz został naszkicowany delikatną kreską; nie ma tu żadnej propagandy, ani też natrętnej dydaktyki. To raczej zaduma nad własnym życiem i próba zrekonstruowania konturów własnej młodości.

Takie książki są zawsze ciekawe, tak jak ciekawe jest poznawanie drugiego człowieka, który otwiera się, ofiarowuje swą wiedzę, doświadczenie i przyjaźń. Lektura ma w sobie coś z rozmowy z kimś bardzo mądrym, kto próbuje opowiedzieć nam i wyjaśnić fenomen biografii uwikłanej w rosyjski komunizm, kto na własnym przykładzie annlizuje spotkanie twarzą w twarz z tym ustrojem fascynującym rozmachem i siłą, a zarazem ociekającym krwią. Jest tedy ta książka próbą odpowiedzi na pytania wciąż zadawane, a choć wiele z tych pytań podyktowanych jest złośliwością i próbą dyskredytacji ludzi kiedyś w komunizmie zaangażowanych, to co najmniej drugie tyle inspirowane jest autentyczną ciekawością i niewiedzą. Pytania o doświadczenie komunizmu są – tak myślę – z naszego życia umysłowego nieusuwalne, bowiem dotyczą istotnego fragmentu narodowej przeszłości. Żadna z odpowiedzi nie będzie wystarczająca i ostateczna, gdyż każda jest indywidualna i odmienna. Odpowiedź Nowerlego – powiedzmy to od razu – należy do najbardziej interesujących.

Nie wyniósł sympatii bolszewickich z rodzinnego domu. Środowisko, w którym obracał się, było od tych idei nader odległe. Polacy nie chcieli słyszeć o bolszewizmie – interesowała ich Polska. Rosjanie, którzy wywierali nań wpływ, byli konstytucyjnymi demokratami. Jeden z nich, inżynier, Jewgienij Pietrowicz Kazarkin w lutym 1917 roku nasmiewał się z obiegowych plotek, że źródłem rosyjskich nieszczęść jest niemieckie pochodzenie carskiej dynastii. „Owszem – dowodził – od stu pięćdziesięciu

lat rodzina carska nie ma w sobie kropli krwi rosyjskiej, to nie jest jeszcze czymś wyjątkowym ani najgorszym, podobną migrację dynastyczną znają również inne kraje, w Anglii na przykład panuje taka dynastia pochodzenia niemieckiego, nawet Jerzy Piąty i Mikołaj Drugi, kuzynowie, są tak podobni do siebie, że nie odróżnisz.

Ale w Anglii królowie obcego pochodzenia, bo z Hanoweru, zasymilowali się w końcu, podporządkowali tradycji angielskiej i władzy parlamemu, tymczasem carowie rządili samowładnie i wzory pruskiej państwowości przenosili ślepo z azjatycką mentalnością, powstał organizm wyizolowany, zamknięty sam w sobie i dziwaczny, jakieś prusko-azjatyckie monstrum, które żyło własnym życiem, ponad narodem, ponad wszystkimi jego warstwami, nie licząc się z nikim, nie respektując niczego poza siłą, aż w tej izolacji, egoizmie i przemocy ndusiło się na dobre". Kłeska caryzmu torowała drogę marzeniom. W wizji Kazarkina, Rosja zwycięska i republikańska wkroczy w epokę skoku rozwojowego, stanie się krajem bogatym i po europejsku cywilizowanym.

„Najpoważniejsi ludzie, jakich znałem podówczas – napisze Newerly – Gorki i Kazarkin, zwalczali Lenina, każdy z innych pobudek, w imię innych założeń i celów, ale obaj byli jednomyślni w nieprzejednanej postawie antyleninowskiej i ostrzegali mnie, nie słuchaj, chłopcze, tego głosu i nie idź za jego pokuszeniem... Sam Gorki jednak uległ niebawem Leninowi i znalazł się w niewoli u Stalina, w pojmaniu, jak się mówi u nas na Mazurach, Kazarkin budował wielki przemysł sowiecki za Uralcem w trzydziestych latach, potem pracował w handlu zagranicznym i został w Belgii przy własnym handlu chemikaliami, a ja, wbrew wszystkim ostrzeżeniom i uprzedzeniom, wstąpiłem do Komso-molu – dlaczego?” Dlaczego? Dlatego, że pierwsi bolszewicy, jakich spotkał młodzieńki Igor, byli sympatyczni i wzbudzały zaufanie. Nawet czekista, który go przesłuchiwał w związku z jakąś złodziejską aferą, też „zrobił dobre wrażenie”. Dotykamy tu sprawy istotnej. Kontakt z ludźmi bywa najistotniejszy, bowiem to oni właśnie, żywi ludzie, nie zaś papierowe programy, są prawdziwą legitymacją ruchu. Co zaś się tyczy programu, to – napisze Newerly – „walka bolszewików, ich odwaga i radykalizm budziły podziw, program partii bolszewickiej rozwiązywał

wszystko i dawał wszystko, żadna inna partia nie mogła swym programem przemówić tak mocno do wyobraźni i uczuć, nie mogła tworzyć podobnej wiary o charakterze psychozy zbiorowej, co ogarniając masy zdolna była prowadzić do najwyższych poświęceń i stanu ukojonej, raz na zawsze zasilonej świadomości, bezmierna potęga emocjonalna o dość ograniczonym ładunku intelektualnym, wszelkie bowiem wierzenia, religijne czy polityczne, jak najprościej i najściślej chyba zdefiniował Bertrand Russell, są to w gruncie rzeczy, «dogmatyczne poglądy na sprawy, o których nie wiemy nic pewnego», przy czym zależny stosunek zdaje się tu układać w odwrotnych proporcjach – im mniej wiedzy tym więcej pewności. Nigdy potem nie odczuwałem tej cudownej, absolutnej pewności w rozeznaniu, co dobre, a co złe, nigdy nie widziałem tak jasno wszystkiego, co jest i co będzie, jak w szesnastym i siedemnastym roku życia, kiedy byłem członkiem Związku Młodzieży Komunistycznej, jakkolwiek najmniej wówczas wiedziałem o komunizmie”. A kariery w tym związku były błyskawiczne. „Po wstąpieniu stwierdziłem ze zdumieniem, że nadążam, że wiem mniej więcej tyle co i moi rówieśnicy w Komsomole spośród gimnazjalistów, wkrótce musiałem dzielić się swą wiedzą z młodzieżą przedmieścia, a po pewnym czasie, przeczytawszy co mi dano, prowadziłem pogadanki z żołnierzami w zastępstwie politruka batalionu do czasu, gdy ich skompletowano i wysłano na front.

Tylko bardzo nieliczni i najstarsi przyszli z solidniejszym bagażem ideologicznym, z przekonaniami w wyniku dobrego czytania, dyskusji, poniekąd i na skutek osobistych doświadczeń, ale to byli najmocniejsi, o temperamencie przywódców. My, szara masa sztubaków, wskoczyliśmy w rewolucję bez obciążenia, wskoczyliśmy jak na tratwę, bo inni skakali, bo nurt wzbierał i rwał, bo już się działy rzeczy zadziwiające i heroiczne, nie można było nie uwierzyć na słowo, trzymajcie się kursu, chłopaki, a staniecie na nieznanym lądzie!”

Działając w szkolnej organizacji komsomolskiej miasta Symbirka – tam rzuciły go wojenne losy – młody Igor wciąż tropił w sobie pozostałości „kompleksu inteligenckiego”, przywiązania do tradycyjnych reguł moralnych i potocznych zasad uczciwości. Z ust Josifa Warajkisa, wybitnego działacza partii bolszewickiej

zwanego „nadwołżańskim Maratem”, usłyszał, że „idealisci to dobrzy ludzie, tylko niekiedy robią rzeczy równe zbrodni”. Uwaga ta dotyczyła skrupułów moralnych Róży Luksemburg i Karola Liebknechta, którzy nie zdecydowali się w porę na narzucenie przemocą dyktatury związku „Spartakusa” społeczeństwu niemieckiemu. „Tę sentencję – odnotuje autor – o niebezpiecznych idealistach nadużywano potem dziesiątki lat tak nagminnie i bezczelnie, że brzmi już jak sygnał ostrzegawczy, uwaga, ktoś tu manipuluje wytrychem... Ale ja miałem szesnaście lat i pierwszy raz słyszałem to, wracając z zebrania nie mogłem wyzbyć się obawy, że istotnie w walce rewolucyjnej naiwna szlachetność może wyrządzić niepowetowane szkody. Obawa ta kontaktowała z pogardą Lenina dla pięknoduchów, dla owych niezdołnych do czynu, pogrążonych w pryncypiach, mędrkowaniu i biadoleńiu inteligenckich «chalupników», a to ohiegowe, uskrzydłone przezeń wyzwiisko miało swą podbudowę w dziełach literatury rosyjskiej, w obrazach, kształtujących wyobraźnię mas, jakże wiele tam odrażających portretów inteligentów, ludzi nijakich, bez woli i bez sensu istnienia, z lektury szkolnej wyniosło się przecież odrazę do Oblomowa i wielkiej oblomowszczyzny. Wydaje mi się, że na pierwszej generacji komsomołców pochodzenia inteligenckiego zaciążył w jakiejś mierze kompleks niższości. Syn robotnika, syn chłopca pracował w komsomole na swoim, walczył dla swej klasy, a myśmy się zdzierali w komsomolskiej robocie, by nas, inteligenckie dzieci, te klasy adoptowały. Doprawdy nie wiem, o co bardziej nam wówczas chodziło, o komunizm czy rehabilitację godności własnej, żeśmy nie mazgaje, ani kreatury od gadania tylko i czytania – pragnęliśmy czynów i wielkiej, dobrze nabitej idei, i niczego żeśmy się tak nie obawiali jak powinowactwa z chlupikiem-hamletykiem”.

Ilustracją tej postawy jest osoba kolegi autora z Komsomolu, Wasiokina, który przegrał na rzecz Igora w wyborach do jakichś władz komsomolskiej organizacji. „Spodziewał się tego wyboru i pragnął, nie myślę jednak, żeby dla samego awansu, nie był karierowiczem, gdyby nim był, nie zrezygnowałby w późniejszych latach z świetnie zapowiadającej się kariery, żeniąc się z córką skazanego bucharinowca i przystępując do Piatakowa w beznadsziejnym dla tej grupy czasie. To był z gruntu porządny i szczery

chłopak dręczony podówczas, w dziewiętnastym roku, tym samym kompleksem pochodzenia inteligenckiego, cośmy wtedy obaj przeżywali na podobieństwo młodzieży pochodzenia żydowskiego z jej samopoczuciem i sytuacją u nas obecnie. Ja, bardziej obciążony, syn carskiego oficera i wnuk nadwornego oberjegiermajstra, z natury raczej nieśmiały, pisujący skrycie rzewne wiersze i niedorzeczne historie, słabego, jak mi się zdawało, charakteru, przejęty powszechną pogardą, jaka zewsząd biła z wyzwick inteligent-mięczak, inteligent-chłupik, chciałbym się otrząsnąć z tego wszystkiego, marzyła mi się rehabilitacja moralna, ja, człowiek silny i piękny, bojownik z awangardy proletariatu! – on natomiast, aktywniejszy i rzutki, bez powiązań monarchistycznych, gnębiony jedynie przez własność kapitalistyczną w postaci apteki ojca, pragnął czynami i zastugą dowieść swej wartości i owa ryza z mandatu wyborczego pod pachą miała dlań wartość aktu adopcji przez komunistyczny ruch młodzieży robotniczej i chłopskiej”.

W tamtych latach Komsomol dysponował sporym zakresem realnej autonomii i samorządności. Dawał szansę aktywności i złudzenie dorosłości, obiecywał świetlaną przyszłość i gwarantował wielką przygodę, którą nazywał „udziałem w walce klas”. Reformując teraźniejszość, zmieniał również przeszłość.

Grubo po II wojnie Nowerły zwiedzał Nowoczerkask. Ktoś z gospodarzy, pokazując gościom z Polski pomnik zdobywcy Syberii Jermaka, wspominał, że bezpośrednio po rewolucji bolszewicy chcieli zastąpić Jermaka Stieńką Razinem lub Engelsem. „Takie sekciarskie, lewackie odchylenie” – skomentował oprowadzający. Nowerły przypomina, że nie tylko Jermaka wtedy detronizowano. Na „śmietnik Historii” powędrowali również Suworow i Kutuzow, ba! – nawet puşkinowskiego Eugeniusza Oniegina chciano zredukować do wątków postępowych. Tradycja państwowości carów odrzucana była w całości.

„W dziewiętnastym roku – pisze autor – socjaliści wszelkich odcieni nie wyłączając mieńszewików-internacjonalistów mogli się jednak czuć Rosjanami, a bolszewicy nie mogli. Nie dlatego, żeby w ogniu wojny domowej uczucia narodowe im się do cna wypaliły, po prostu skoro przeciwnik szedł pod trójarwnym sztandarem Rosji używając i nadużywając do całkowitej depre-

cji hasła miłości ojczyzny, musieli apelować do zgola innych, świeższych i mocniejszych podnieć, szczerze zresztą uważali patriotyzm za uczucie niższego rzędu aniżeli solidarność klasowa, aniżeli oddanie sprawie komunizmu, uniesienia patriotyczne szacowano bardziej przyziemnie, nie bez obawy, że jak im dać upust, potrafią osłabić, rozmazgać to, co stanowi o wielkości i sile bolszewizmu, jego proletariackość, jego radykalizm, nienawiść niemalże biologiczną do burżujów, klechów, generalów i braterstwo z walką wyzwolenczą ujarzmionych klas i narodów. W braterstwie widziano rękojmię zwycięstwa. Myśmy tylko pierwi zaczęli, myślno, ale sami jedni długo nie wytrzymamy, co do tego nie było dwóch zdań, towarzysze wierzyli, bój się zaczął ostatni, albo kapitaliści nas albo my kapitalistów, razem obok siebie istnieć nie możemy, gdyby ktoś wówczas zaczął mówić o pokojowym współistnieniu, to by takiego ugodowca wyrzucono z partii. Wszyscy, starzy i młodzi, byli maksymalistami, żadnych półśrodków, bić i niszczyć parazytów, gdzie się da, nie czekać, odsiecz nadejdzie, już – już nadchodzi rewolucja, może jeszcze nieczipielnie światowa, nie szkodzi, niech bodaj w skali europejskiej, wystarczy, by umocnić i wyzwolić z obłączenia nasz bastion, pierwszy kraj komunizmu”.

Komunizm hyl tuż tuż, na wyłgnięcie ręki, „dla nas było to oczywiste, pobijemy białogwardzistów, przepędzimy interwencji, wyda się odpowiednie dekrety i na wyzwolonej ziemi narodzi się nowe życie w sposób nieodwracalny i zwyczajny, od poniedziałku, powiedzmy, nastanie komunizm. Niektórzy ze starych i dalekowzrocznych bolszewików, obawiali się dziedzictwa, znali siłę nawyku i urok rzeczy łatwych, rzeczy wygodnych w myśleniu i odczuwaniu, zwłaszcza urok absolutnie gładkiego rządzenia bez tarć, bez oporu gdziekolwiek, jakby się władza toczyła na uniwersalnych łożyskach w samej wazelinie. Lenin ostrzegał, uważajcie, towarzysze, żeby carski czynownik z jego samodurstwem, bezdusznością i egoizmem nie odrodził się w naszym aparacie sowieckim, żeby wielkomocarstwowa pycha rosyjska nie zaczęła hruździć w bratnim związku różnoplemiennych republik socjalistycznych. Do nas te obawy, te przestrogi nie docierały, zdawały się pubrmiewać kazaniem przesadnie czujnych pedagogów starszego pokolenia”.

Duch epoki był uniwersalistyczny. „W Komsomole wyczuwało się niekiedy u Rosjan pewien szczególny stosunek, jakby zażenowanie wobec młodzieży mniejszości narodowych, coś jakby kompleks współwiny za krzywdy wyrządzone przez ojców w niedawnej przeszłości”. Na przykład taki Rozen „z rodziny uchodźców po ekscesach antysemitkich w Pińsku czy Słonimiu, skądś z Polesia, samouk, skorowidz marksizmu, sztan pracy organizacyjnej, i Agranowicz, kochany leń, roztropna dusza w stanie kontemplacji, z bajecznyin zmysłem humoru o nieco melancholijnym zabarwieniu, nie powiem, że byli faworyzowani, ale może by ich mniej lubiano, gdyby nie byli Żydami? Brzmi to absurdalnie, i nie do wiary u nas po marcu, a jednak zdarzało się, sam przechodziłem takie uczulenie na Żyda, dodam, powiedzmy, wszystko jedno uczulenie nienormalne”.

I tak dochodzi Newerły do – tylekroć podnoszonego przez Żydów i antysemitów – problemu „żydokomuny”. „Słyszałem już wtedy – powiada – i dziś jeszcze zdarza się słyszeć o zażydzeniu Komsomolu w latach rewolucji. Istotnie dużo młodzieży żydowskiej poszło wtedy do Komsomolu, ale nie z pobudek, o jakie nierzaz ją się pomawia. Nie mniej, jeśli nie więcej, poszło do związku młodzieży socjalistycznej, w każdym razie w 1924 roku, kiedy się znalazłem w więzieniach Kijowa i Charkowa, stanowiła tam ona zdecydowaną większość wśród aresztowanej młodzieży mieńszewickiej. Mimo wszystkie różnice programowe i temperamentu w Komsomole i esdemesie istniało wspólne podłoże marksistowskie, śpiewano tę samą Międzynarodówkę i nie znano żadnych uprzedzeń narodowościowych. Nawiasem mówiąc, w latach wojny domowej między tą legalną a tamtą nielegalną organizacją młodzieżową nie było jeszcze nienawiści, raczej nie pozbawiona wzgardy litość, komsomolec litował się nad esdemowcem w sieci drobnomieszczańskich sądów i przesądów, ten zaś nad Komsomolcem, że tak prymitywnie i błędnie odczytuje pisma dziadka Karola”.

Uogólnienia te przeplatają się w książce Newerłego z soczystą anegdotą o ludziach i ich życiowych drogach. Oto komsomolka Irina. Wywodziła się z środowiska starowierów i przez tychże starowierów została później zamordowana, gdy próbowała ich nawracać na wiarę marksizmu-leninizmu. Jechała tam, za Ural,



dobrze znając fanatyzm swych pobratymców i przeczuwając swój los. Czemu więc jechała? Może dlatego, że odziedziczyła po nich fanatyczne usposobienie? „Może była maksymalistką, jedną z tych ekstatycznych istot, których wiara domaga się najwyższej ofiary, a miłość męczeństwa? Jej ateizm jest tu bez znaczenia. Boga można się wyrzec lub zmienić, ale siebie?”

Albo Hannibal, komсомołski przywódca. Igor zapytał go kiedyś, czy nie szuka on po prostu okazji do walki, ryzyka, niebezpiecznej przygody. „-- Możliwe - odezwał się po chwili skupienia - ale to moja rzecz. Chcę służyć sprawie Kominternu i gdzieś na terenach niezbadanych, wśród walk o wyzwolenie, w trudnej sytuacji czy w ryzykownej akcji, wiem, będę dobry do tego...”

Bolszewizm dawał szansę osobowościom określonego typu, fanatykom - pozwalał realizować ich fanatyzm, poszukiwaczom przygód - los kondotierów rewolucji. „Po wielu, wielu latach - pisze Newerly - spotkał się pewnej księżycowej nocy na przełęczy Czang paj szania w Szu-nai (*Leśne Morze*, rozdział „Noc św. Pawła”). Z ocienionej głębi przełęczy wyszła w poświata i przystanęła karawana - kilkunastu zbrojnych z workami na plecach, w waciakach i chustkach na głowach, dwa muły i nosze z rannym. Ktoś pochylił się nad nim - jak się czujecie, towarzyszu Bogorny? Ranny uniósł głowę, i ja w tej postarzałej twarzy rozpoznałem dawno zapomniane rysy. To był Hannibal. Niestety, wykryłem to już poniewczasie. Zbyt wiele osób i spraw było wplątanych w tajemnicę pułkownika Bogornego, kim był w istocie, jaką miał drogę i misję, ujawnienie nowych szczegółów groziło katastrofą, tak że odkrytą prawdę jego tożsamości musiałem zatrzymać dla siebie, dzięki czemu w dalszych kontaktach zażyłość nasza nabrała cech ambiwalentnych, ułatwiając i kępując jednocześnie. Nie wygasła sympatia z lat młodości, kiedy go podziwiałem i w skrytości zazdrościłem mu tej perspektywy, którą już wtedy, w Symbirsku, umiał dojrzeć i dla której przygotowywał się pracą wielu lat. Ale jako autorowi nie wolno mi było zdradzić się swą słabością i kreować go bezkrytycznie na bohatera. Hannibal pseudo Bogorny zbyt dobrze wiedział już, jak się robi rewolucję, znał nie tylko jej epos, ale i mroki wywiadu, i stalinowski proces Srebrogłowego - czy miałem mu prze-

szkodzić, gdy na oczach towarzyszy znużonym ruchem, odrzucając niedopalek papierosa, przytknął lufę pistoletu do swej skroni? Postąpiłem fatalnie pozwalając mu nacisnąć spust, a potem rntując na skutek osobistych, nieautorskich reakcji, bo z odruchu współczucia, na wspomnienie dawnych lat, z jakiegoś poczucia współwzięci, należał przecież do tejże generacji. I ostatecznie kto tu zawinił, kto poniósł klęskę? Zdawało mu się, że świat jest taki, jakim go widzi. Z pozycji tego naiwnego realizmu rozumował prawidłowo, działał uczciwie w zgodzie z historią i własną naturą. Był w porządku. To historia zachowała się skandalicznie wywracając wszystkie wydarzenia w sposób niepoczytalny w poprzek i na opak, aż stało się niepewnym, czy w ogóle ona istnieje w kategoriach sensu i prawidłowości”.

Życiorys Bogornego-Flannibala, choć tak bardzo wyjątkowy, był przecież typowy dla pewnego kręgu znwodowych funkcjonariuszy światowej rewolucji. Dowodzą tego wspomnienia żony Ignacego Reissa, rezydenta sowieckiego wywiadu w Europie Zachodniej, który w 1937 roku zerwał ze Stalinem, za co został przez stalinowską opryszczkę zamordowany. Każdy z tych życiorysów to materiał na sensacyjny „dreszczowice”, w którym trudno odróżnić kata od ofiary. Każdy z nich to także obraz dramatu rosyjskiej rewolucji i nieszczęścia rosyjskiego narodu. Takie były kontynuacje biografii młodziutkich komsomołców, którzy marzyli o braterstwie ludzi pracy, o świecie bez nienawiści...

„Żyliśmy – wspomina Newerly – w oczekiwaniu wielkich dni i ostatecznych przeobrażeń. Kończył się czas wojny i terroru, stan tymczasowości wszelkiej prowizorki, teraz, myśleliśmy, można spokojnie, gruntownie i ściśle podług idej. Spodziewaliśmy się czegoś na miarę Października, Rada Komisarzy Ludowych wyda dekret i od dnia tego a tego zamiast wojennego wprowadzi czysty komunizm. (...) Kapitalizm dokoła będzie się wykruszał i upadał, państwo nasze będzie przekazywało swe funkcje same-mu społeczeństwu komunistycznemu”. Marzyli o gospodarce bezpiecznej i systemie komun, choć nikt z nich nie znalazł się na ekonomicznej, „nie był – jak to ładnie określa Newerly – krępowany zmysłem rzeczywistości”. Marzyli i dumali: czy w komunizmie pozostanie instytucja rodziny?, jak będzie wyglądała mi-

łość? „ile czasu wolno będzie pozostawić na kierowniczym stanowisku (...), żeby się nie oderwać od mas?” Na tej charakterystyce smaku epoki, jej namiętności i nadziei, na wspomnieniu tych pięknych i szlachetnych rzeźb, Newerly urwał pisanie swej książki na dwa lata. Powracając do pracy nad nią zanotował: „Ten przerwany wątek o naszych wyobrażeniach i oczekiwaniach przyszłości niech zostanie jak jest w krainie milczenia, bo to nieważne, co się tam śniło pięknego, przebudzenie było straszne”.

## 3

Pracując w Komsomole, Igor zainicjował cykl publicznych dyskusji ze szkolnymi krytykami władzy bolszewickiej. Uzyskał na to zgodę partii: adwersarzom zagwarantowano bezpieczeństwo. Po jakimś czasie jeden z komsomolskich kolegów, zatrudniony w cenzurze i związany z Czeka, uprzedził Igora: „wycofaj się z tego wicowania, jeśli nie chcesz sierżcić razem z nimi”. Igor, choć przekonany komsomolec, uległ przesądowi inteligentckiego idealizmu i poszedł uprzedzić swych ideologicznych adwersarzy o grożącym niebezpieczeństwie. Zastał ich późno w nocy siedzących przy stole pełnym książek i papierów. Ujrawszy Igora wystraszyli się i – zgarniając papiery – zaczęli nerwowo wyjaśniać, że przygotowują się do matury. Ten moment utkwił naszemu bohaterowi w pamięci. „Nie mogłem zapomnieć – czytamy – jak oni patrzyli na mnie, gdy nagle zjawiłem się u nich w nocy, patrzyli właściwie ponad moją głowę na uchylone drzwi, w mrok za mną, skąd spodziewali się czekistów, w ich oczach, moich przecież kolegów, czułem strach i pogardę. Naturalnie dziękowali mi potem, zawstydzeni jak gdyby tyln, że przed chwilą widzieli we mnie łapacza i zamordystę, ale ja przeżyłem to posądzenie, przeżyłem obrzydliwe samopoczucie w sytuacji przemocy wobec ofiary. Wracałem od nich zdając sobie sprawę z tego, że wylałem się z dyscypliny, dopuściłem się samowoli, za którą powinno się wyrzucić z organizacji, i nie czułem wyrzutów sumienia ani żalu do kolegów, raczej gorycz, że też komunista, nawet gdy przychodzi jako przyjaciel, wzbudza przede wszystkim strach. Jak długo tak będzie? Noce w mieście są wciąż niespokojne, mimo triumfu rewolucji,

mimo pokoju, roboty Czecha nie kurczy się, przeciwnie... Dlaczego?”

Tak znieczyły się wątpliwości. Doświadczeniu osobistemu towarzyszyły fakty z życia publicznego: bunt marynirzy Kronsztadtu. Jeden z kolegów zdobywał twierdzę kronsztadcką i w chwili szczerości opowiedział Igorowi, że „na krążownikach i torpedowcach, na fortach i bastionach powiewały flagi czerwone z sierpem i młotem, pod tym sztandarem walczyli i umierając wołali, niech żyją sowiety!”

„ — Ale bez komunistów” — dodał Hannibal, do którego Igor udał się po wyjaśnienia. Rozmowa z Hannibalem miała kluczowe znaczenie dla ewolucji duchowej Igora. To rozmowa modelowa. Taką rozmowę odbyć musi każdy uczciwy człowiek, który popierał z dobrą wiarą władzę komunistyczną i nagle odkrył, że jasne deklaracje komunistów kryją ciemne i brudne poczynania. Na uwagę Hannibala Igor zareplikował:

„ — A czy to coś okropnego, sowiety bez nas! Grunt to sowiety, ich woła i władza, i nigdzie nie jest powiedziane, że konieczni muszą być wybierani przede wszystkim komuniści, do prawdy, nie widzę w Kronsztadzie kontrrewolucji. Dlaczego więc rozprawiono się z nimi tak okrutnie? Komu jak komu, ale im należało się coś od rewolucji. Zrobili Październik, najwierniejsi z wiernych, gdzie było najgroźniej, najciężej, tam oni uderzali, marynarze...

— Weź się w garść, zaczynasz „chlupić” — przerwał Hannibal. (...) Jeśli nie zrozumiesz, to nie wstępuj do partii, odejź póki czas w tłum inteligentnych hamletyków.

Z pewnością chciał mu pomóc, nie obce mu były ludzkie uczucia, przechodził kiedyś podobną rozterkę wytrąsając zboże ze wsi podług wyznaczonych kontyngentów i żywność z wagonów wśród lamentu kobiet, przeklinany przez zrozpaczonych ludzi, świadomy ich krzywdy, subiektywnej krzywdy, prosił się z powrotem na front, odmówili, trzy miesiące jeszcze musiał komisarzyć w oddziale zaporowym, musiał być okrutny i nie żałuje tego, dzięki okrucieństwu w tym okresie wyżyły obie strony. Moskwa i Piotrogród, i fabryki jako tako pracowały i armia miała co jeść. Zwyciężyliśmy. Ważne są wyniki kampanii, nie przodki. Epizody mogą być tragiczne, straszne lub żenujące, tym się

nie wolno zrażać ani demobilizować. Chciałeś wiedzieć, mówił, jak było na tambowszczyźnie, to ci powiem, to było autentyczne chłopskie powstanie, tak jest, chłopskie nie kulackie. Walczono o własne klasowe interesy, konkretnie, żeby wieś rządziła się sama, i żeby każdy gospodarz swobodnie na swym zagonie, dużym czy małym, bez różnicy, i sam rozporządzał tym, co wypracuje. Subiektywnie i egoistycznie mieli słuszność wysuwając takie żądania i mieli powody do niezadowolenu, do aleufności manifestowanej tym samym hasłem sowiety bez komunistów! Ale gdyby zaczęli tam rządzić bez nas, to by rewolucję i wszystkie nadzieje przyszłości oddali za wolny bazar, za rubla więcej na pudzie ziarna, za gminną gorzelnię i jakś tam inne dorazne korzyści. Na to w żaden sposób nie moglibyśmy pozwolić. Walka była długa i zjadła, w końcu udało się ich złamać. (...) A teraz po likwidacji powstanla – może czytałeś w *Prawdzie*? – towarzyszu Lenin przyjął na Kremlu chłopów z tambowszczyzny i przyrzekł zniesienie kontyngentów, zamiast tego będzie podatek rolny. Tambowscy chłopci pierwsi skorzystali z tej reformy, jaką teraz wprowadza się w całym kraju. Wieś będzie miała lepiej.

— Tak, ale ci, co się przyczynili do tego, nie żyją...

— Naszych także niemało poległo. Uniknęliśmy jednak po stokroć większych ofiar i zniszczeń, czegoś na miarę Apokalipsy, niewiele brakowało, a rozpętałyby się wojna chłopska... Zrozum, tylko partii wolno coś zmieniać, bo reformując ogarnia całą sytuację i całą drogę od dziś do komunizmu i ma wyczuć granicę ustępstwa czy kompromisu. Musimy wierzyć w mądrość partii, w zbiorową wolę najbardziej doświadczonych, wypróbowanych towarzyszy. Masy to żywioł, siła wielka, ale niestała i ślepa siła, wszystko może zburzyć, a nie sama nie stworzy. Gdyby w Październiku partia nie kierowała ruchem wzburzonych mas, to by nie było Października, tym bardziej teraz nie możemy zdać się na żywioł, zbyt wiele mamy do stracenia. Dlatego, Igor, wszelki opór, każdą próbę usamodzielniania się należy przede wszystkim stłumić, a potem przejąć i zrealizować co sensowne..."

Tak mówił Hannibal, który wierzył w mądrość partii i rozumiał konieczności dziejów. Nie przekonał Igora. Czemu 8 procent robotników decydować ma za 90 procent chłopów? „Natu-

ralnie – powtarzał sobie Igor – ważne są wyniki kampanii, nie epizody, ale coś tu nie w porządku, skoro tyle tragicznych epizodów i mnóstwo ludzi umiera epizodycznie. A każdy przecież żyje tylko raz”.

Igor miał poczucie, że te wątpliwości nie są wynikiem „inteligentnego idealizmu”, lecz są to „sprawy sumienia i słuszności”, które powinny nurtować wszystkich komunistów. Dyskusje wśród bolszewików wychodziły naprzeciw tym spostrzeżeniom. Partia przestała być monolitem. Trwały w niej spory, ścierały się różne stanowiska. Powstała tzw. robotnicza opozycja, kierowana przez grupę starych bolszewików (Kollontaj, Szlapnikow). Kwestionowali dogmat o kierowniczej roli partii bolszewickiej twierdząc, że interesy klasy robotniczej winny być reprezentowane przez związki zawodowe. Osobną platformę reprezentował Bucharin, jeszcze inną Trocki. Mit jeduomyślności pękł.

Newerly nie charakteryzuje bliżej tych sporów, bowiem Igor w nich nie uczestniczył. Warto wszakże przypomnieć, że w ówczesnych dyskusjach zarysowane zostały zasadnicze linie wszystkich konfliktów i napięć trwających kompartię sprawującą władzę. Każdy późniejszy kryzys będzie przetworzonym odwzorowaniem tamtych dylematów, tak jak każdy późniejszy dramat inteligenta związanego z komunizmem będzie przetworzonym odwzorowaniem ówczesnej drogi Igora Newerlego.

Ogłoszenie NEP-u młodzieńki adept rewolucji przyjął jako odwrót od ideałów komunizmu i klęskę marzeń. Nie tylko on. „Cała komórka szkolna załamała się i rozpadła. Po paru dość chaotycznych zebraniach w atmosferze przygnębienia i dezorientacji postanowiono, przy jednym głosie sprzeciwu, wystąpić z Komsomół”.

Wypadki „na wirażu”, jak określał podobne sytuacje Lew Trocki. „Chcieliśmy – wspomina autor – to poważnie umotywować, ale nie wyszło. O wystąpieniu zdecydowały nie żadne nowo odkryte kryteria, nie założenia jakiegoś innego programu, ale nastroje i odczuwania, po prostu straciliśmy wiarę i zapał. Przy każdej próbie sprecyzowania z czym się nie zgadzamy, czego pragniemy, ktoś sobie przypominał, że tak argumentują mieniszewicy, a tak eserzy, a to znów jest w stylu kadetów. Niektórzy obawiali się konsekwencji, posądzenia o akcję polityczną

w kontakcie z podziemiem mieńszewickim lub eserowskim, wtenczas sprawę przejmie Czerezwyczajka. Lepiej będzie, mówiono, jeśli to wypadnie niepoważnie i zostanie zlekceważone jako głupi wybryk zbitych z pantofelki gówniarzy”.

Tak też zrobili. Ale matka Igora, osoba wolna od żarliwej wiary w komunizm, a więc i od bolesnych rozczarowań, wiedziała czym to pachnie. Powiedziała mu: „Możesz tu sobie napytać kłopotów, musimy wyjechać, w konsulacie polskim w Kijowie wyrobimy papiery na powrót do Polski”.

Wyjechali więc z Symbirśka. Kłopotów napytał sobie dopiero w Kijowie.

## 4

„Droga ze szkoły wyższej do więzienia – droga prosta i najpewniejsza”... Te słowa z więziennej pieśni studenckiej lat dwudziestych odzwierciedlają kolejną fazę losów naszego bohatera w państwie zwycięskiej rewolucji.

W Kijowie Igor zapisał się na kurs prawa w Instytucie Gospodarki Narodowej. Nie studiował długo. Relegowano go podczas czystki, bowiem wyznał, że wystąpił z Komsomołu. Potem zarabiał na życie stenografowaniem. Tej umiejętności zawdzięczał kontrakty z Kotowskim, legendarnym dowódcą Armii Czerwonej na Ukrainie, którego barwny portret odnajdziemy na kartach książki. Igor zajmował się spisywaniem relacji Kotowskiego i jego żołnierzy z walk przeciw białogwardyjskiej „kontrze”.

Tejże umiejętności zawdzięczał również możliwość obserwowania konferencji partyjnej w Kijowie, gdzie doszło do konfliktu między zwolennikami Stalina a opozycją. Igor bał się. Początkowo odmówił stenografowania, a przybytemu z ramienia Centralnego Komitetu Warejkisowi próbował tłumaczyć, że wystąpił z Komsomołu, że został usunięty z Instytutu jako element politycznie niepewny, że lęka się podejrzeń o spowodowanie ewentualnych „przecieków”. Głównego powodu swych obaw jednak nie wyjawiał: tego, że był członkiem nielegalnego kółka młodzieży socjaldemokratycznej. Warejkis machnął ręką na jego skrupuły: „pisz, ja ci ufam”. Także zaufanie zobowiązywało; przez Igora nie nie „przeciekło”. Czy towarzysze z nielegalnego kółka mieli choć pretensje o „Inteligentcki idealizm”? Przebieg konfe-

rencji był typowy i nader interesujący. „Jeśli w większość organizacji – pisze Newerly – było z grubsza biorąc jak w Kijowie, to rok 1923 zatoczył o tym, co się później stało. Opozycja mogła zwyciężyć i nadnąć wydarzeniom inny bieg, inny klimat. Kilka momentów przeniawia za tym. Na czele opozycji stał stary towarzysz o wielkim autorytecie i wkładzie osobistym w zwycięstwo rewolucji. Zbyt świeża była pamięć o tym. W trzecim, ciężkim roku nowej polityki ekonomicznej, a pierwszym roku bez Lenina, który właśnie zachorował i przeżywał bezwładny w Gorkach, wznógł się w partii ferment i niepokój, istniała autentyczna różnica w poglądach, istniały pojęcia odróżniające poszczególne grupy (...). Wreszcie moment ntury technicznej o nie było jakim znaczeniu – nie doszło się jeszcze do precyzji w montowaniu aparatu partyjnego i reprezentacji partii, skład delegatów nie zawsze dawało się dobrać z własnego klucza dla zapewnienia sobie całkowitej jednomyślności. Opozycja miała szansę zwycięstwa. Stenografując nie rozumiałem, dlaczego nie atakuje frontalnie, czemu unika generalnej krytyki i nie występuje z pełnym własnym programem? Broniła głównie wewnętrzpartyjnej demokracji zyskując tym poparcie «dołów» i to ją w końcu zgubiło, że proponowała tylko to i nie wyszła poza obronę. Przeciwnicy z kierownictwa nie kwestionowali samej zasady wewnętrzpartyjnej demokracji, domagali się jednak jej uściślenia, ustalenia granic, gdzie się kończy platforma, a zaczyna frakcja. Teoretyzowanie na ten temat wypełniło cały pierwszy dzień obrad, a w drugim zaczęto te pojęcia konkretyzować i zapędzać opozycję w kozi róg, po takiej mniej więcej pochylni – zaczyna się od zwątpienia, od niewiary w słuszność generalnej linii partii, to się może zdarzyć i nie jest czymś występny, gdy się przestrzega dyscypliny partyjnej, a odmienne zdanie wypowiedzi się na zebraniach partyjnych. I platformy dyskusyjne są dopuszczalne pod warunkiem, że aktualne sądy łączące towarzyszy wspólnej platformy nie osłabiają więzi ich z organizacją macierzystą, ich poczucia solidarności z całą partią. Ale jeśli niektórzy towarzysze zbierają się po prywatnych mieszkaniach, obradują konspiracyjnie i rozpowszechniają swe poglądy w sposób konspiracyjny, to chcielibyśmy wiedzieć, czy siedzą oni na platformie, czy we frakcji?



— Ale o czym wy mówicie, towarzyszu?

— Mówię o zehraniu u was w waszym mieszkaniu we środę 2 czerwca o godzinie 18. Zaprosiliście 11 towarzyszy. Możemy podać nazwiska. Pndly tam następujące słowa... (...)

— Toście kazali nas śledzić?

— A tak, kazaliśmy. Bo to co zrobiliście i robicie jest działalnością frakcyjną, antypartyjną, obliczoną na rozbięcie naszej jedności i siły!

Od tej chwili los opozycji został przesądzony. Powiało piwnicznym chłodem z ul. Jekatierinińskiej, siedziby GPU, i do niezdedykowanych, do wahających się przemówiła postać towarzysza Stalina, gwaranta jedności i siły partii. Nikt się oczywiście nie domyślał istnienia testamentu Lenina, w którym wystawał on złą notę Stalinowi i ostrzegał partię przed nim, przypominano sobie natomiast, że stał zawsze przy Włodzimierzu Iljczu, kiedy inni nieraz zachowywali się chwycjnie, niedawno jeszcze wspierał go w zmaganiach z Trockim i z Bucharinem, wierny uczeń, najbliższy sołratnik, najgodniejszy chyba następca i kontynuntor dzieła Iljczu. Widziałem, jak rodzi się mit. W groźnej chwili wśród wzburzonych fal oczom niezdecydowanych dotąd aktywistów i szarej masy partyjnej ukazał się wytrawny, świadomy kursu sternik. Na czoło wysuwał się nie żaden z wodzów rewolucji lub sławnych komandarmów, nie któryś z owych leninowskich twów, ale jakiś, dla mnie przynajmniej i dla całej, myślę, ludności, jakiś Stalin. Miałem wrażenie, iż wielu z tych na samej górze zachowuje się wobec niego neutralnie albo mu sprzyja, widziało się przecież, jak sam Frunze go popierał — dla czego? Zagadnąłem o to jednego z przywódców opozycji kijowskiej, kiedyśmy się spotkali po roku i sytuacja nastrojała do refleksji. Jechaliśmy na jednym poniekąd wózku, ja do Odessy pod nadzór GPU, a on, stary bolszewik, wracał do Turkiestanu, gdzie był na zesłaniu za cara. Powiedział, że jeszcze w osiemnastym roku Stalina w gronie twów nazywano między sobą «iszakiem», pewnie teraz, mówił, zaniechali tego przydomku, jednakże nie całkiem chyba wyzbyli się poczucia swej wyższości i przewagi, uparty, solidny, nielotny Dżugaszwili wciąż wydaje się im niegroźny, czasami nawet potrzebny jako bufor między nimi, ale on, ten stary bolszewik, zna Stalina i wcale by się nie zdziwił,

gdyby «Iszak» pożarł twy. To była relacja z Olimpu, której wiarygodności nie mogłem sprawdzić, tak wysoko mój wzrok nie sięgał. W każdym razie, ci towarzysze na szczeblu gubernialnym, których znałem, Wnrejkiś, Gamarnik, Jakir, widzieli w Stalinnie pewną przyszłość, stabilizację, opokę, i wspomagali go w walce z opozycją. Zginęli wszyscy w 1937 roku – w bratniej mogile dawnej rosyjskiej partii komunistycznej bolszewików i towarzyszy z trzeciej międzynarodówki”.

Dramat kadry bolszewickiej, tylekroć opisywany, wciąż fascynuje swym szekspirowskim wymiarem. Komentarzem do uwag Newerłego, wnikliwych i mądrych, choć marginesowo tylko porozrzuconych po tekście książki, może być znakomita praca Awtorchanowa *Technologia władzy*, mistrzowskie studium z zakresu likwidowania oponentów przez Stalina. Awtorchanow oprowadza czytelnika po najtajniejszych zakamarkach partyjnego labiryntu, Newerły natomiast pozwala wniknąć w świat marginesów antybolszewickiego podziemia. Zbyt słabo znam rosyjskie emigracyjne piśmiennictwo, by móc ocenić, na ile są to sprawy znane. Dla polskiego czytelnika jest to niewątpliwie coś zupełnie nowego.

Nie ma tu wielkiej polityki, sporów liderów ruchu mniejszowskiego o strategię i ich teoretycznych polemik. Jest grupka inteligentnej młodzieży w Kijowie, która dostrzega narastające zło społeczne i szuka form protestu. „Drogę z Komsomołu do ZSMD – pisze autor – widzę dość wyraźnie, jeśli chodzi o to, jak się tam znalazłem (...). Ma się rozumieć w warunkach konspiracji przechodziło się to bez rytuału przyjmowania, bez podniosłej chwili wręczania legitymacji itp., po prostu ktoś z organizacji musiał ze mną rozmawiać, tego rodzaju poufna i decydująca rozmowa, mogła się również odbyć w gronie kilku przyjaciół na jakimś zebranku, które stało się cezurą w życiorysie i po którym zdałem sobie sprawę, że jestem w związku młodzieży socjaldemokratycznej, przyjmuję wszystkie wynikające z tego kroku obowiązki, zadania i konsekwencje. (...)

“Zacząło się jesienią na pierwszym roku studiów, obok instytutu, pod Katedrą św. Włodzimierza. W tłumie nowych kolegów zawierałem znajomości i bliższe kontakty mając przeświadczenie, że to się odbywa samo przez się w sposób naturalny i cudo-

wny – jak prędko pewne natury i temperamenty, wiedzione owym szóstym zmysłem, odnajdują się i dobierają! Tak mi się przynajmniej zdawało wówczas, kiedy po pewnym czasie rozjeżdżałem się wokół siebie, jakich mam kolegów. Teraz, z oddalenia, widzę pewne momenty selekcji i uwarunkowania. Unikalem przecież kujonów i kolegów praktycznych, schludnie-nudnie umeblowanych myślowo raz na zawsze. Brak nałogów i troski materialne odcinały od «ogarków», których niewielka paczka (...) wypalała się niechlujnie w «biezszabasnej żizni». Stosunki bliższej zażyłości z komsomołkami wydawały się krępujące, musiałbym ukrywać przeszłość albo tłumaczyć się uzasadniając wystąpienie z Komsomołu, spotkałbym się z potępieniem, być może próbą wyprowadzenia mnie z błędów faktycznych i pobłażdeń Ideologicznych, w jakiejś mierze zresztą irytowali mnie, przypominając mi własną podobiznę sprzed roku. Najlepiej czułem się wśród pomyśliców (...), studentów nietypowych (...). Natury artystyczne albo nieskrystalizowane, rozstrzelone, bez szczególnych predyspozycji bądź zainteresowań w jakiejś jednej dziedzinie, niewyżyte temperamenty polityczne i po prostu oryginały. W tak różnorodnej gromadce tylko to łączyło, że wszyscy byli niecierpliwi, niepokorni i spragnieni swobody, swobodnych penetracji i wypowiedzi przede wszystkim. Dzięki tej wspólnej właściwości rychło poodnajdywali się, podobierali rozmawiając grupkami na korytarzach i w salach instytutu, a że stała piękna słoneczna jesień, złota jesień kijowska, to się wkrótce przenieśli w bardziej dogodne miejsce, na zieloną trawkę, między zaciszne załomy murów pobliskiej katedry pod wezwaniem św. Włodzimierza. (...)

Po ciężko przebytej zimie wzmożło się uczulenie na sprawy polityczne, na aktualia i mankamenty rzeczywistości, dlaczego tak jest, jak długo to potrwa i ku czemu zmierza, co robić, czy w ogóle można zrobić cokolwiek itp. Zamiast beładnej gadaniny miało się teraz rozmowy na określony temat w sposób uporządkowany, niektóre dyskusje przybierały charakter kluczowy, pociągając za sobą następne i powodując krystalizację stanowisk, na przykład czym była rewolucja październikowa? Ktoś rzucił zdanie, rewolucja jest tylko gwałtownie przyspieszoną ewolucją, kto inny zakwestionował, spróbowano spojrzeć na siedemnasty

rok w świetle tego twierdzenia. Pasowało jak ułt do tego, carat musiał runąć jeśli nie w lutym, to w listopadzie, nie w siedemnastym, to w osiemnastym roku czy trochę później, mądrzejszy rząd czy sprzyjające okoliczności mogłyby najwyżej odwlec lub złagodzić koniec monarchii. Nie tyle znajomość przemian i konieczności historycznych, ile oczywistość mówiła nam o tym, widzieliśmy, jak się przeżył ten ustrój, skompromitowany i znienawidzony, nie znalazło się bowiem nikogo, kto by chciał go podtrzymać, gdy się walił i nie odważono się później mobilizować kontrrewolucji pod sztandarem monarchii. W lutym siedemnastego roku rewolucja rzeczywiście wyglądała prawidłowo według klasycznej definicji jako ostateczny moment krytyczny, punkt wrzenia od dawna zachodzących i nieodwracalnych procesów ewolucyjnych, ale w październiku? Stary klucz zupełnie tutaj nie pasował. Wszystko cośmy czytali i słyszeli, świadczyło o całkowitym zaskoczeniu historii, nie było żadnych przesłanek ekonomicznych, kulturalnych, politycznych dla rewolucji socjalistycznej w Rosji, nie było człowieka, który by myślał poważnie o natchmiastowym skoku z wczesnego kapitalizmu w komunizm; kiedy Lenin zaproponował to w tezach kwietniowych, nawet niektórzy towarzysze z najbliższego otoczenia Lenina zaproponowali, jak wiadomo, zawaliwali się przed takim przedsięwzięciem w kraju niedojrzałym, opóźnionym w rozwoju, z partią słabszą od innych organizacji socjalistycznych, liczącą zaledwie 5000 członków. A stało się jak w baśni, przybył bohater i zrobił cud. Bo czymże według waszej definicji była rewolucja październikowa?

— W Październiku nie było rewolucji, był przewrót!

— A poparcie mas, a ten autentyczny ruch rewolucyjny i wszystko co się u nas działo na niarę wielkiej rewolucji francuskiej?

— To się rozwinęło później, po październiku. Zrozumcie, w warunkach całkowitej demokracji i wolności, podczas wyborów do Konstytuanty, gdy głosowano przeważnie na socjalistów, dokonano zbrojnego zamachu stanu, rozwiązało to ręce reakcji tak samo do wystąpienia zbrojnego, zaczęła się wojna domowa, straszniejsza od wojny światowej, a zakończyła się zwycięstwem tego, co mamy teraz, kompletną klęską...

— Więc jakże to wytłumaczyć, jak określić?

— Gorki nazwał to okrutnym i niepoczytalnym eksperymentem.

— Tragiczny wypadek historyczny. tak to, zdaje się, widzi wasz Martow.

— A wasz Czernow widzi tylko niechywałą aferę polityczną. Po tych słowach «wasz Czernow, wasz Martow», można było rozpoznać wyraźnie, którzy ze spierających się kolegów sympatyzują z eserami, a którzy z mieńszewikami. Łączyła ich ta sama oporna postawa wobec reżimu i zgodność prognozy, że się nie utrzyma, jednakże inaczej to sobie wyobrażali. Jedni spodziewali się żywiłowego ruchu mas pracujących, zawiedzione nadzieje zrewolucjonizują robotników i chłopów, przede wszystkim chłopów, najbardziej zagrożonych w interesach klasowych, drudzy wierzyli nie tyle w żywiół, ile w historię, której prawa rozwoju społecznego są niezłomne, tak że wszelkie poczynania wbrew historii powodują straszliwe cierpienia i szkody i kończą się z reguły porażką... Podobne wywody prowokowały replikę ze strony temperamentów anarcho-woluntarystycznych: wasze akademickie spekulacje są nie do zniesienia, przestańcie bredzić o spiżowych prawach historii, skoro miewa eksperymenty, wypadki i afery! To bydlę można brać za łeb i pędzić, gdzie się chce, Lenin to pokazał, a Mussolini tak samo poczyna sobie teraz we Włoszech!

Takie to były spory w owe lata... Przedmiotem dyskusji wciąż powracającym była ocena roli partii bolszewickiej. Koledzy o orientacji mieńszewickiej, wyposażeni w argumentację emigracyjnego pisma *Socjalistycznej Wiestnik*, przedstawiali swój punkt widzenia jasno i klarownie: Jak wskazuje samo pochodzenie tego wyrazu z łaciny czy z francuskiego (*pars, la partie*), partia jest częścią zorganizowanych sił politycznych danego kraju, jedną z wielu reprezentacji rozmaitych programów i interesów (...), co się dzieje gdy część staje się całością? Zmiana proporcji pociąga za sobą zmianę treści. Jak sektor rozszerzając się na cały obwód okazuje się w końcu czymś zupełnie innym, polem koła, tak społeczne ugrupowanie polityczne wypierające wszelkie inne przestaje być partią, staje się swoistą, niespotykaną dotąd monopolistyczną organizacją państwa. W warunkach dyktatury organizacja ta, będąca jedynie terenem legalnej działalności politycznej, wchłania różne temperamenty, dążenia, poglądy, które normalnie znalazłyby sobie ujście w rozmaitych partiach —

Istnienie zatem frakcji na tle rozbieżności taktycznych, a nawet i zasadniczych, jest tu zjawiskiem naturalnym czy też stałym złem koniecznym. Tak samo istnienie frakcji personalnych i walk wewnątrzpartyjnych o władzę. Wszechpotężna, nadrzędna organizacja, ponad państwem, narodem i prawem, decydująca o wszystkich sprawach i o losie każdego obywatela, przyciąga rzecz jasna natury karierowiczowskie i drapieżne, przyciąga i akumuluje w włężnym stopniu aniżeli jakakolwiek partia ubiegająca się o władzę na oczach wszystkich w sytuacji jawności życia publicznego i rywalizacji z innymi partiami, tam zresztą w grę wchodzi ambicje, interesy, majątek czy pragnienie sławy, kariera partyjna stanowi jedną z wielu dróg awansu i sukcesu, tu jest drogą jedyną i tu chodzi o życie. U nas jak u schyłku wielkiej rewolucji francuskiej rządzić znaczy żyć, im wyżej, tym łatwiej się rządzi i lepiej się żyje, ale upadek straszniejszy, odejść jednak niepodobna, można tylko piąć się wyżej i wyżej. A wszelka dyktatura idzie w szpic i szpicem wieńczy każdy szczybel, to też w całym pionie, od góry do dołu, trwa zażarta walka o te wysokości, nieustający proces samopozerańa dyktatury”.

Cytuję obszernie, by oddać – za autorem – niepowtarzalny klimat i smak rozmów tych pierwszych dysydentów, którzy tak straszną cenę mieli zapłacić za swą intelektualną dociekliwość. Wydaje się to przecież tak niewinne: studenckie dyskusje, lektura pism emigracyjnych, nieregularne spotkania pod pretekstem urodzin, imienin, czy potańcówki. Przecież nic więcej nie robili...

Czemu Igor trafił właśnie do mieniszewików? Postawę jego wyznaczały raczej emocje niż ugruntowane przekonania – miał 19 lat. „W miarę zwycięstwa i utrwalania się nowego ustroju ideały rewolucyjne i obietnice przybierały kształty nie do przyjęcia, zaczynałem się w niezgodzie, w opozycji; szukałem korzeni wypaczeń i sposobów naprawy”. Diagnozy socjaldemokratów, zwłaszcza Martowa, „zdawały się wszystko wyjaśniać i trafiały do przekonania, miałem tu mowę podobną, tę samą gramatykę i składnię, powiedziałbym, ten sam marksizm, gdyby nie to, że więcej wiedzy, skrupułów i zasad czyniło go zupełnie innym. Gdybym był niewinnym ideologicznie, uległbym całkowicie fas-

cynacji demaskatorskich i wieszczych słów, lecz przeżyłem już pierwszą miłość i wiarę, czasem odzywała się jednak obawa, czy aby z jednego dogmatu, nie wpadam w drugi, brakło jednak pewności, czy można bez dogmatu, zbyt słaby byłem, niedojrzały do samotności i dość mi się już ona sprzykrzyła, a wśród młodych esdeków dobrze się czułem, byli pełni zapału, ofiarni, sympatyczni nawet ze swym teoretyzowaniem i romantyką po ojcach, socjalistach z poprzedniej epoki. (...) Uczestniczyłem w obchodzie Pierwszego Maja w podmiejskim lesie, gdzieśmy się zeszli jak za caratu według sposobów klasycznej sztuki konspiracyjnej, by przeżyć niemalże mistyczne doznanie braterstwa, i świadczyć swą wierność ideałom socjalizmu”.

W tę idyllę studenckiej konspiracji wnet wtrąciły się służby wyspecjalizowane. „Myślę – wspomina autor – że GPU wiedziało o naszym istnieniu i przyglądało się czekając aż młode esdeki ździebko dojrzeją do wzięcia. Późniejsza błyskawiczna i radykalna likwidacja świadczyła o dobrym rozeznaniu, co nie było rzeczą trudną dla zawodowych tropicieli”. Wszelako „gdzieś na szczycie postanowiono – zainscenizować kapitulację i kajanie się starych socjaldemokratów, a młodzież zamknąć. (...) Mnożyły się pogłoski o masowych aresztowaniach w innych miastach, miało się wrażenie, iż przystąpiono do generalnej likwidacji, jak zapowiedział kiedyś Lenin, «a socjalistów my budiem bierežno dierżat’ w tiurnie», z niepowtarzalnym, chytrawo-dobrodusznym akcentem okrucieństwa. «Bierežno dierżat’ w tiurnie»... Jednocześnie w prasie poczęły ukazywać się listy pokutne i deklaracje starych mieńszewików, w Kijowie zawiązał się komitet organizacyjny zjazdu, by ogłosić rozwiązanie i upadłość socjaldemokracji, jej błędy i winy miał piętnować w referacie wstępnym przybyły z Moskwy Wyszyński. Zanosilo się na widowisko skruchy i samobiczowanla się tych, których udało się złamać i rzucić na kolana, anonsowało się ekstatyczne pienia nawróconych, fanfarę z wazeliną”.

Z tej serii aresztowań ocalało tylko dwóch z kółka: Igor i jego kolega Klenger, „głodomór, abnegat i samotnik pozbawiony temperamentu politycznego, najcichszy z medyków”.

„Ktoś, kto jest jeszcze na wolności, musi się teraz odezwać – powiedzieliśmy sobie i duch desperacji wstąpił w nas”.

Matka czuła co się święci i powtarzała Igorowi: „siedź cicho, wyjeżdżamy do Polski”.

Nie od razu wyjechali.

## 5

Pisze Newerly:

„Nie przypominam sobie i to nieważne, czyśmy w rozmowach między sobą naszą decyzję uzasadniali zagrzewając się nawzajem racjami natury ideologicznej i politycznej – główna aila motoryczna leżała gdzie indziej, w sferze emocjonalnej, gminnie mówiąc, cholera nas wzięła na tę ohydę i poderwaliśmy się do działania właściwie z nadmiaru obrzydzenia i odrazy, z poczucia solidarności, które każe dzielić losy towarzyszy w krytycznej sytuacji nie oglądając się na skutki i jakiegokolwiek sprawy osobiste. Gdybym jak Klenger nie miał matki ani sióstr, czułbym się zupełnie znośnie, to znaczy obojętnie, znieczulony na to, co się ze mną stanie po owej patetycznej chwili, którą już się w myślach przeżywało nie bez satysfakcji, że jak ginąć, to z traskiem, na oczach wszystkich w pełnej gali, z gestem pogardy i buntu, wznosząc okrzyk «niech żyje wolność! niech żyje socjalizm!».

Mimo tylu doświadczeń wciąż żyłem widać w minionej epoce, kiedy socjaliści mogli ginąć odświętnie. Wszystko odbyło się nad wyraz prozaicznie. Klenger odbijał ulotki, a ja udałem się do biura stenografów (by wziąć przepustkę na zjazd i tam rozrzucić ulotki – A.M.). Z nawyku wstąpiłem przed tym do ubikacji w podwórzu. (...) Wychodząc byłbym minął w ciemnowej bramie jakiegoś wojskowego, ale przywołał mnie niegłosu po nazwisku, odwróciłem się, wtedy zbliżył się i poprowadził. (...) Przed bramą czekały już sanki, pojechaliśmy przytuleni do siebie. Nie mogłem stanąć ani zawołać „niech żyje socjalizm”, dyskretny uścisk zakleszczał mi ramię i ostrzegawczy głos – tylko bez głupstw, bo trzepnę! – uświadamiał, że jestem w ręku GPU”.

Tymi słowami kończy się książka Igora Newerlego wydrukowana w numerze 2 miesięcznika *Meritum*.



W relacji swojej skupiłem się na jednym tylko wątku: politycznym. Nie wiem, czy – pomimo obazernych przytoczeń – udało mi się przekazać smak tej lektury. Zaś książka jest bogatsza, bardziej wielowymiarowa. To biografia dziełca wieku, a żadnej biografii do polityki zredukować niepodobna. Skupiłem się na problematyce politycznej dlatego, że o t a k i e j polityce i w t a k i a p o s ó b nikt u nas dotąd nie pisał. Polscy komuniści nie zostawili uczciwych pamiętników, zaś Polacy piszący o rewolucji bolszewickiej postrzegali ją zwykle tylko jako terror. W tym stanie rzeczy książka Newerlego – poza swymi walorami literackimi – stanowi również cenne źródło dla historyka. Dla mnie wszakże – choć zabrzmiało to dziwnie – ta książka jest jakimś fragmentem własnej mojej biografii, która dokonywała się przecież w innym czasie i innej przestrzeni.

A jednak ten nastrój komsomolskich idealistów, ten klimat uniwersalizmu i zbratania, tę pogardę dla niechęci na tle rasowym czy plemiennym – znam to wszystko – natykałem się tego jako dzieciak w „walterowskim czerwonym harcerstwie” prowadzonym przez Jacka Kuronia. Rozumiem więc sentyment Newerlego, bo sam bez sentymentu nie umiem myśleć o tej gromadce chłopców i dziewcząt, która latem 1958 roku, w czerwonych chustach, nawiedzała chłopskie zagrody śpiewając piosenki po rosyjsku i żydowsku. Było w tym jakieś bezczelne wyzwanie rzucone potocznej mentalności, było też jakieś głębokie niezrozumienie pokaleczonej narodowej pamięci, ale była też i ta cudowna aura zbratania, dzięki której nikt z nas nie czuł się w tym gronie intruzem. Dwadzieścia pięć lat minęło od tamtych wakacji, a przecież wciąż wracam do nich pamięcią i ze smutkiem myślę, że nigdy potem nie miałem już tego poczucia bezpieczeństwa, tej pewności, że nikt nikomu nie rzuci w twarz: „ty wstrętny Żydziel”

I te pierwsze nielegalne kółka młodzieży studenckiej też pamiętam. Mam przed oczami jesień 1964 roku, kiedy jako studenci pierwszych lat i uczniowie klas maturalnych, spotykaliśmy się w prywatnych mieszkaniach, by dyskutować kolejne rozdziały *Ekonomii politycznej* Oskara Langego, *Teorii rozwoju kapi-*

talizmu Paula M. Sweezy'ego, *Rękopisy filozoficzne* Marksa; kiedy szukaliśmy Innego marksizmu, aby zrozumieć nasz kraj i nasz świat; pamiętam smak pierwszej nielegalności, wdźwięk pierwszych sekretów i lęk pierwszych przesłuchań. Nigdy jednak nie przeżyłem tego uczucia totalnego unicestwienia, które owidniało Igorem prowadzonym ulicami Kijowa przez funkcjonariusza GPU. A przecież i ten stan ducha jest mi jakoś znajomy. Przed laty, kiedy kolejny raz powróciłem do domu z więzienia (a może tylko z komisarjatu po dwóch dobach?), ojciec długo w noc opowiadał mi o swoim wojennym pobycie w Rosji. Było to wyjątkowe, bowiem rzadko powracał do tych wspomnień. Z ust człowieka, który lata II Rzeczypospolitej spędził w szeregach kompartii (a osiem z tych lat przesiedział w więzieniu, gdzie policja odbiła mu nerki, nauczył się angielskiego i gruntownie poznał wszystkie święte prawdy marksistowskie), usłyszałem: „Dziękuj Bogu, że nie żyjesz w Rosji. Tam nie wracałbyś do komisarjatu do domu. Tam raz był trafili do KGB i więcej nikt by o tobie nie usłyszał, nikt też nie ośmieliłby się zapytać, co się z tobą stało”.

W tę noc ojciec uświadomił mi, że najważniejsze, najistotniejsze z tego co Polacy wyrwali komunistom z gardła, co wywalczyli twardym, zaciętym, konsekwentnym oporem, to właśnie prawo do tego, by „ginać odświętnie”.

Ale czy miałem rację? Czy tylko Polacy? Długo o tym myślałem czytając książkę Bukowskiego *I wozwraszczajetsia wietier\**. Bukowski to człowiek mojej generacji. Jego książka jest opowieścią o młodych rosyjskich buntownikach lat sześćdziesiątych, ale jej klimat bliski jest aurze duchowej książki Newerlego.

W kijowskiej części wspomnień Newerlego pojawia się nazwisko wielce przezeń szanowanego za mądrość i odwagę profesora z Instytutu: Delone. Dziwne, miosyjskie nazwisko. Poznałem kiedyś kogoś, kto nosił to nazwisko. A zanim poznałem osobiście, znałem już z gazety. W sierpniu 1968 roku, śledząc tak jak teraz w mokotowskim więzieniu, przeczytałem w *Trybunie Ludu*, że odbył się proces kilku osób, które zakłóciły porządek pu-

\* Wydanie polskie: *I powraca wiatr*, Polonia Book Fund, Londyn 1983.

blizny na Placu Czerwonym. Wśród skazanych m. in. wymieniono nazwisko Pawła Litwina, wnuka Maksyma, długoletniego ministra spraw zagranicznych ZSRR, i właśnie Władimira Delonego. Chodziło o grupę młodych ludzi, którzy w ten sposób zaprotestowali przeciwko interwencji w Czechosłowacji. Tu, w więzieniu, odebrałem ich desperacki i straceniowy gest, jak pozdrowienie i najserdeczniejszy akt przyjaźni i braterstwa. Dziś myślę, że nie była to tylko desperacja. Oni zwyciężyli. Swym procesem i swym czynem ofiarowali Rosjanom umiejętność „jak ginąć odświętnie”, ten najcenniejszy skarb ludzi wolnych.

Po latach widziałem Wadima Delonego w Paryżu. Po zwolnieniu z więzienia udało mu się opuścić Ojczyznę Światowej Rewolucji. W Paryżu dowiedziałem się, że Wadim jest potomkiem Francuza De Launay'a, ostatniego komendanta Bastylli, który salwował się przed jakobinami ucieczką do Rosji. Czy odważny kijowski profesor to jakiś krewny Wadima? Nazwisko jest tak rzadkie... Opowiedziała mi tę barwną historię Natasza Gorbaniowska, która też była w sierpniu na Placu Czerwonym, uniknęła jednak (wtedy) aresztowania, bowiem wzięła ze sobą małego synka w wózku. Dopiero potem zapłaciła za swój spacer na Plac Czerwony latami w więzieniu i szpitalu dla umysłowo chorych...

Pamiętam taki wieczór w paryskiej knajpie, gdzie siedzieliśmy chyba w czwórce: Natasza, Wadim, Wołodia Bukowski, świeżo wymieniony za Corvąlaną, i ja, na kilka dni przed powrotem do Warszawy. Patrzyłem na tych przyjaciół – Moskall, ludzi zbuntowanych przeciw ojczystemu samodzierżawieniu i czulem do nich wielką przyjaźnią, ufnością, serdecznością. Odnajdywałem w nich te cechy, które najwyżej cenilem w swoich najbliższych przyjaciółach. Wspomnienie ich twarzy zabrałem z sobą do Polski. Odnalazłem je, wraz z klimatem moralnym, w książce Bukowskiego, wraz z tęsknotą za godnością i swobodą, wraz z twardą decyzją, by „ginąć odświętnie”. U Bukowskiego nie ma nienawiści do oprawców – tego nie zdołali mu zaszczyć przez dziewięć lat w łagrach, więzieniach i szpitalach psychiatrycznych.

Ten brak nienawiści (i nazwisko Delonego) spowodował, że czytając książkę Newerlego, pomyślałem o Gorbaniowskiej i Bukowskim. Ten brak nienawiści – dodajmy – stanowi o wielkiej urodzie moralnej *Zostało z uczy bogów*.

Pracując jako stenograf, młodzieńki Igor przyłuchiwał się również publicznym debatom na temat religii. Obrońcami świątopoglądu materialistycznego byli jego profesorowie z Instytutu: Kantorowicz i właśnie Delone. Religii bronił ojciec Żukowski. Spór był zawzięty i na wysokim poziomie. Obie strony argumentowały z wielką wiedzą i erudycją. „Podążając za nimi przy stole stenografa – wspomina autor – byłem całkowicie po stronie Kantorowicza i Delone, wzbierało jednak uczucie sympatii i podziwu dla Żukowskiego. (...) A miał dar oddziaływania, i głos proroka, i gorejące oczy na uduchowionej, ascetycznej, pięknej twarzy, i stał sam jeden wobec ciężkozbrojnych przeciwników, faworytów władzy absolutnej – mógł wygrać tylko moralnie... Niejeden ateista spoglądając z podziwem na tego mistyka, odczuwał niepokój o niego, żęły tylko GPU nie wzięło go potem... Podobno Żukowski modlił się całą noc i żegnając się z uczniami przepowiedział swój los – nie płaczcie po mnie, drudzy moi, Chrystusa także wzywano na dyskusję i nie mogąc przekonać go ani pokonać, ukrzyżowano...”

Ten niewielki, choć jakże wymowny obrazek, stanowi ilustrację aksjologii autora, który, na szczęście, nigdy nie wyrzekł się „inteligentnego idealizmu”.

Dzięki temu mógł tę książkę napisać. Ta książka pomaga zrozumieć Rosję; wielkość i dramat tego kraju. Ta książka pomaga zrozumieć fenomen komunizmu; rozmach i jad tego ruchu. Ta książka pomaga zrozumieć ludzi, którzy w komunizm wierzą; w komunizm zaczynają wątpić, przeciw komunizmowi występować. Ta książka to ważna lekcja z historii wielkich porażek rodzaju ludzkiego. To opowieść o pokusie totalitarnej, nigdy nieusuwalnej z mentalności-człowieczej, a zawsze złowrożej i wyniszczającej. Uczmy się tej lekcji, by w przyszłości nie powtarzać za św. Pawłem: „Nie czynię dobra, którego pragnę, ale czynię zło, którego nienawidzę”.

Przeczytajcie książkę Newerlego.

więzienie mokotowskie  
jesień 1983

Adam Michnik

# Raymond Aron: 1905-1983

Raymond Aron

## OSTATNIE SŁOWA

Czy wykorzystałem moje możliwości najlepiej jak mogłem? Zetknąwszy się z filozofami wysokiego lotu, wiedziałem, że nigdy im nie dorównam. Gdybym w 1945 roku wrócił na uniwersytet, w 1947 roku został wybrany profesorem na Sorbonie i gdybym porzucił dziennikarstwo, to z pewnością napisałbym inne jeszcze książki. By dać przykład najmniej wątpliwy, zamiast trzech książek z serii „Idées” napisałbym gruby tom, który by znalazł mniej czytelników, za to bardziej odpowiadał moim aspiracjom. Żałuję, że nie napisałem takiego dzieła na mlarę *Wstępu do filozofii historii i Myśleć o wojnie*. Ale moja działalność publicystyczna w służbie wolności kompensuje te straty.

Ten, kto w przyszłości zada sobie trud czytania moich książek, znajdzie w nich analizy, ujęcia i wątpliwości, które wypełniały świadomość człowieka przesiąkniętego historią: Francuza, ale Żyda, którego na wpuł wolny rząd francuski wykluczył z ojczyzny na mocy statutu opartego na kryteriach rasowych; obywatela Francji będącej członkiem Wspólnoty Europejskiej, jednego z czterech ośrodków światowej nauki i gospodarki, niezdolnej bronić się samodzielnie i wahającej się między amery-

kańską kuratelą a sowieckim pokojem, ofetowanym jej przez Moskwę za cenę wolności; Europy bardziej liberalnej i liberyńskiej niż kiedykolwiek, lecz buntującej się przeciwko ograniczeniom społeczeństwu przemysłowemu; Europy być może dekadentkiej, gdyż cywilizacje rozkwitają w warunkach wolności, a marnieją w niewierze; Europy należącej do ludzkości, która mimo czekającego nas do końca stulecia zwolnienia wzrostu gospodarczego skazana jest na ekspansję nauki i produkcji.

Często żaluję, że nie zbadałem dogłębnie pytania, które sformułowałem we *Wstępie do filozofii historii*, nie udzielając nań odpowiedzi: co z historyzmem? Czy jesteśmy więźniami systemu wierzeń przyswajanego od najmłodszych lat i wyznaczającego nasze rozróżnienie dobra i zła? Czy cywilizacja, jaką Zachód szerzy w całym świecie, jest więcej warta od kultur, które dławł, miazdzy i niejednokrotnie skazuje na śmierć? Pozostali w jakis sposób człowiekiem Oświecenia, choć oczywiście nie eliminują dogmatów Kościoła jednym słowem – przesady. Często sympatyzuję z katolikami, wiernymi swej wierze i dającym mi dowody całkowitej wolności myśli w sprawach świeckich. Odrza do religii świeckich każe mi odnosić się z pewną sympatią do religii transcendentnych.

Czy religie świeckie różnią się w sposób zasadniczy od wierzeń społecznych w ogóle? Nasze społeczeństwo zawsze uczy nas sądzić ludzi, czyny i dzieła; religie świeckie roszczą sobie pretensje do monopolu wartości ostatecznych. W moim przekonaniu oznaczają one regres w stosunku do zróżnicowania porządków, idei i systemów. Są wielkością i płodnością Zachód zawdżęcza – przynajmniej częściowo – dualizmowi władzy duchowej i doczesnej; w Związku Radzieckim pseudo-wierzący podtrzymują pseudo-religię, rzekomą prawdę społeczną, skupiającą czy wieńczącą prawdy wtórne. Dla nas, Europejczyków, ludzi Zachodu, ustanowienie marksizmu-leninizmu jako prawdy państwowej byłoby czymś więcej niż regresem – znaczyłoby abdykację. Zachód żyje i trwa tylko dzięki pluralizmowi.

Marksizm-leninizm zasługuje na miano przesady w najpełniejszym sensie tego słowa. Dogmaty religii zbawienia nie podlegają refutacji, bowiem głoszą rzeczywistość lub prawdy, które ze swej istoty są niedostępne badaniom prowadzonym zgodnie z regula-

mi racjonalnego poznania. Natomiast podlega krytyce dogmatyzm, który rości sobie pretensje do prawdy ostatecznej w dziedzinie należącej do kompetencji badań naukowych.

Przykłykwany mi przez niektórych konsekwentny antykomunizm głoszę z czystym sumieniem. Komunizm jest mi równie nienawistny jak nlegdyś nazizm. Nie robi już na mnie wrażenia argument, którym sam nieraz się posługiwałem, by rozróżnić mesjanizm klasowy od rasowego. Rzekomy uniwersalizm tego pierwszego okazał się w ostatecznym rachunku złudzeniem. Zdobywszy władzę, łączy się z mesjanizmem narodowym czy imperialnym i uświęca konflikty i wojny, jak największy od podtrzymywanił ponad granicami delikatnych więzów wspólnej wiary.

Intelektualny i duchowy pluralizm nie pretenduje do prawdy porównywalnej z prawdami matematyki i fizyki, nie daje się jednak również zredukować do pozłomu byle opinii. Zakorzenia się w tradycji naszej kultury, a uzasadnia go i w jakiś sposób weryfikuje fałszywość wierzeń usiłujących go zniszczyć. Irańscy szyici i marksiści-leniniści należą do tej samej rodziny, od kiedy kler szyicki chce rządzić społeczeństwem cywilnym, jak to robi sowiecka partia komunistyczna. Człowiek Zachodu góruje nad wyznawcą Lenina czy Chomeiniego, bo zna różnicę między prawdami naukowymi – jakkolwiek byłyby tymczasowe – a wierzeniami religijnymi, bo kwestionuje sam siebie, świadom, że nasza kultura jest jedną spośród wielu. Odrzucenie wątplenia podsyca może zapal walczących, za to wyklucza przywrócenie pokoju. Imam Chomeini oraz marksiści-leniniści przypominają nam, że „wiera obrócona w czyn” nawet w naszej epoce kończy się krucjatami. Jedynie mieszkańcy Zachodu, świadomi prawowitej wielości autorytetów moralnych i szczególności naszej kultury, otwierają dziś drogę do Historii posiadającej sens.

Sekularyzacja polityki również pociąga za sobą logicznie pluralizm. Nie oznacza to umieszczania rywalizacji partii na tej samej płaszczyźnie co pluralizm duchowy. Wydaje mi się, że rozmywanie się pewników przeszłości prowadzi do zakwestionowania porządku społecznego lub ustroju politycznego. Niedorzecznością byłoby twierdzić, że lepsze jest społeczeństwo stale kontestowane niż społeczeństwo spojone jednomyślnie podzielanymi przekonaniem (lepsze dla kogo?). Twierdzą, że w ślad za

sporami religijnymi idą spory polityczne. A spory polityczne albo się zwnieża, spycha i tłumii mniej lub bardziej gwałtownie i przebiegle, albo się je toleruje i organizuje w ramach określonego systemu sprawowania rządów.

Nie wynika z tego, że ustroje, które nazywam konstytucyjno-pluralistycznymi należy uważać zawsze za najlepsze lub jedyne dobre i generalnie je upowszechniać. Odpowiadają one stanowi unysłowemu „awanguardy ludzkości”, jak by powiedział Auguste Comte. Prawo każdego do uczestnictwa w dialogu politycznym na temat wspólnego losu płynie z porzucenia prawd absolutnych, ale są społeczeństwa, które by się rozpadły, gdyby sobie to prawo przyznały.

W filozofii klasycznej demokracja wynagala obywateli, i to obywateli cnotliwych, czyli szanujących Prawo. W społeczeństwach industrialnych demokracja sprawia, że wytwórcy i konsumenci, grupy interesów i partie, zmuszają się ze sobą. Władza pochodząca z tych nieuniknionych rywalizacji i przez nie ograniczana zawsze ryzykuje, że się zdegraduje i zapozna wymogi zbiorowego bezpieczeństwa.

Wolno bronić stanowiska, że ludzie zawsze woleli i nadal wolą władzę oddzielnego od bliźnich przeszłością, którą wcieli. I uczuciami, którymi poddani nauczyli się go darzyć przez całe stulecia. Jeśli porównać na zimno wady i zalety takiego czy innego ustroju, biorąc pod uwagę wszystkie teoretycznie możliwe, to nie wiem, czy dalbyu pierwszeństwo demokracjom europejskim, czy amerykańskim. Ale jaki inny system na Zachodzie byłby prawomocny? Ustroje jedupartyjne mogłyby się utrzymać jedynie za sprawą ledwie kamuflowanej przemocy i posępnej rezygnacji ludności. Dowodem na to kraje Europy Wschodniej.

Nawet w polityce spór o historyzm zachowuje abstrakcyjny, niemal sztuczny charakter. Jeśli ktoś stawia pytanie, czy wypada żałować, że ludzkość nie zatrzymała się na etapie społeczeństwa neolitycznego albo greckiej polis, to odpowiedź zdaje mi się niemożliwa, a pytanie pozbawione sensu. Zwierzę-człowiek zostało zaprogramowane do ewolucji kulturalnej przez swe genetyczne dziedzictwo. Na różnych etapach tej ewolucji organizacja życia zbiorowego przybiera rozmaite formy. Rozmałość ta sama w sobie nie stanowi problemu. Dla „historyków” problemem jest



fakt, że to, co w jednym miejscu jest złem, gdzie indziej okazuje się dobrem. To, co po jednej stronie Pirenejów jest prawdą, po drugiej jest błędem.

Socjolog wychwala różnorodność języka i obyczaju, bogactwo środków, w jakich wyraża się ludzkość. W imię jakiej wartości, jakiego kryterium, mielibyśmy wybierać między „społeczeństwami”, ustalać ich hierarchię, uznać jedno z nich za najlepsze czy wzorcowe? Max Weber pytał: która kultura będzie górą, niemiecka czy francuska? Odpowiadam: po cóż stawiać takie pytanie? Żeby którąś wybrać? Wynieść ponad drugą?

Różnorodność może nas, co prawda, skłaniać do sceptycyzmu, skoro dobro i zło zamieniają się rolami w różnych społeczeństwach. Nie sądzę, by nam to groziło. Uczciwość, szczerność, szlachetność, delikatność, przyjaźń nie zmieniają znaczenia z wieku na wiek, kontynentu na kontynent, z kraju do kraju. Oczywiście, takie samo zachowanie w jednej grupie może uchodzić za agresywne, w innej za sportowe. Ani czyny, ani sukcesy nie są oceniane wszędzie wedle jednego kryterium. Nie ma jednego wzorcowego typu człowieka w ramach danego społeczeństwa. Rycerz, duchowny czy uczonec nie dążą do jednej i tej samej doskonałości. Nic, co przynależy do kultury, jak ją definiują etnolodzy, nie podlega uniwersalnemu sądowi. Kto by taki sąd sformułował, musiałby nieuchronnie należeć do jednej z tych kultur. Żaden obserwator nie stoi ponad nimi.

Wielość kultur przypomina w pewnej mierze wielość sztuk: wypada podziwiać ich różnorodność, a nie ubolewać nad anarchią. My, ludzie Zachodu, znajdujemy się w błędnym kole. Mamy większą niż inni świadomość tej różnorodności, ale dążymy do prawd i wartości uniwersalnych. Tę sprzeczność nękającą i rozdzierającą naszą świadomość historyczną zdolni jesteśmy jednak jeśli nie przezwyciężyć, to przynajmniej znieść.

Czy przeklinać podbój Gaii przez Rzymian czy go słać, bo zrodziła się z tego Francja? Każdy odpowie na to pytanie w zależności od swego humoru czy wiedzy. Historyczną ocenę zostawmy erudytom, jeśli ich to bawi, polemistom lub nawet filozofom – jak Fichte – opętanym demonem propagandy. Oceny historyczne niepokoją nas tylko wówczas, gdy stają się ocenami politycznymi.

W naszych czasach miliony ludzi przeżywają i cierpią rozdarcie między ich własną umiarkowaną kulturą i kulturą, której nie-nawidzą a jednocześnie pożądają, gdyż otwiera im drogę potęgi i obfitości. Blisko pół wieku temu pisałem, że Zachód sam już nie wie, czy woli to, co daje, od tego, co niszczy. Pozbawieni swych imperiów Europejczycy nie są już obciążeni tą samą odpowiedzialnością; być może popelniają jeszcze ludobójstwa, ale popelniają je nie tyle czynem, co przez samo swe istnienie. Historia ludzkości jest usiana martwymi kulturami, które nawet nie zawsze zachowały się w pamięci żywych.

Któż wątpi, że historia była tragiczna dla Indian, Inków, Azteków? Że depcze po trupach kultur jak po trupach ludzi? Do kąd zdąży? Czy to, co przyjdzie jutro, usprawiedliwi cierpienia tych, którzy padli w drodze? I na to pytanie nikt nie jest w stanie odpowiedzieć. W naszym stuleciu wyzwoliliśmy się z prowincjonalizmu właściwego kulturom przeszłości, z naiwnej progresywności i łatwego relatywizmu. Prawda nauki, uznanie godności każdego, szlachetnie urodzonych i plebejuszy, to podstawy naszych przekonań. Wielkie wydarzenia wieku rozwiąły nasze złudzenia: postępu nauki nie gwarantuje postępu ludzi ani społeczeństw. Potworności hitlerizmu i stalinizmu, wbrew obiegowej opinii, oderwały nas od prostackiego progresizmu. Wiemy, że wszystko łącznie z najgorszym jest możliwe, ale że najgorsze daje się moralnie odróżnić od tego, co właściwe.

Tą drogą mógłbym dojść do lepiej opracowanej teorii „świadomości historycznej w myśli i w działaniu”. Jak pogodzić w myśli prawo wszystkich kultur do istnienia i zdecydowane afirmowanie własnej? Jak pogodzić w praktyce przynależność do narodu, którego jestem obywatelem i wierność moim żydowskim przodkom? Jak zaakceptować ewentualność użycia broni nuklearnej przeciwko miastom, innymi słowy uśmiercenie milionów niewinnych? Czy podjąłbym na własny rachunek ostatnie zdanie *Wstępu do filozofii historii*: „Życie ludzkie jest dialektyczne, to znaczy dramatyczne, ponieważ toczy się w niekoherentnym świecie, angażuje wbrew trwaniu, szuka uciekającej prawdy, bez innego oparcia jak fragmentaryczna nauka i formalna refleksja”?

Wyraźniej bym rozdzielił wartości społeczne i cnoty moralne, wzmocniłbym podstawy prawdy naukowej i ludzkiego uniwersa-

lizmu. Co się tyczy działania, to opisałbym konkretniej naszą kondycję historyczną, używając wszakże podobnych słów. W okresach spokoju obywatel nowoczesnego społeczeństwa demokratycznego nie musi przeżywać męki podejmowania ryzykownych decyzji. Lecz gdy los zbiorowości jest zagrożony, gdy spekulujemy na temat strategii odstraszania i broni jądrowej, gdy wahamy się między amerykańską ochroną a sowieckim protektoratem, wówczas wchodzimy w niekoherentny świat, opowiadamy się za jednym systemem społecznym przeciw drugiemu, przy czym oba są niedoskonałe, godzimy się z ewentualną potwornością wojny, którą powinniśmy może absolutnie odrzucić.

Blisko pół wieku temu napisałem, że nasza kondycja historyczna jest dramatyczna. Dramatyczna czy tragiczna? Tak, pod wieloma względami raczej tragiczna niż dramatyczna. Tragiczna jest konieczność oparcia bezpieczeństwa na groźbie bombardowania nuklearnego, tragiczny – wybór między akumulacją broni klasycznej a zagrożeniem jądrowym, tragiczne – niszczenie starych kultur przez cywilizację przemysłową. Ale tragedia byłaby pełna tylko wtedy, gdyby szczęśliwe zakończenie było nie do pomyślenia. Nadal sądzę, że można sobie wyobrazić szczęśliwy koniec. Idąc Rozumu (w sensie kantowskim) wykraczając daleko poza horyzont polityczny.

Czy żałuję, jak mi to niektórzy imputują, że nie byłem Kissingerem Księcia? Odpowiem im, że się mylą. Roger Martin du Gard w swych nie wydanych jeszcze pamiętnikach kreśli zbyt pocieblny mój portret i tłumaczy na swój sposób, dlaczego „nie będę rządził”<sup>\*</sup>.

Ja sądzę, że po prostu nigdy nie miałem cech koniecznych do sprawowania władzy, nawet w roli doradcy. Ostrożny w pisaniu, niedobrze panuję nad moimi słowami. Pozwalam sobie czasem,

<sup>\*</sup> „Czytając Raymonda Arona, w pierwszym odruchu zgody ma się ochotę wyposażyć go w absolutną władzę i powierzyć mu kierowanie państwem. To «dobry dyktator», na którego ludzkie w skrytości ducha czekają od śmierci Solona. Ale wyobrażam go sobie w tej roli! Jest zbyt inteligentny, żeby rządził! Jego inteligencja rozthroniłaby go wobec przeciwników: za dobrze rozumiałby opozycję, by ją odsunąć i zwakcyć...” Tekst datowany jest „lato 1957”. Roger myślał zapewne o moim stanowisku w sprawie Algierii.

zależnie od okoliczności czy humoru, na krańcowe sformułowania, które nie wyrażają mej głębokiej myśli, a mogą ją zdyskredytować. Polityk winien hamować swój język tyleż co pióro. Jestem w stanie dostosować się do rozmowy, ale męczy mnie język dyplomatyczny. Lubię mówić nie ważąc słów, a kłamstwo, nawet najtrywialniejsze, sporo mnie kosztuje: brak mi wyobraźni, by wymówić się od kolacji czy konferencji.

Więcej. Nigdy nie twierdziłem, że mam kompetencje zawodowe ekonomisty. To prawda, że większość ministrów finansów także nie posiada kompetencji tych, co uczą ekonomii lub kierują gospodarką. Dlaczego minister – gdyby już nawet szukał doradcy spoza administracji – miałby wybrać człowieka tego pokroju, na marginesie wszelkich dyscyplin, o niezależnym umyśle, skłonnego do namiętności niezbyt godzących się z obowiązkami doradcy?

Obsesją komentatorów jest przypadek Henry Kissingera, a to z racji stosunków, jakie nas łączą, oraz uczuć, którymi mnie darzy i których nie ukrywa nawet pod moją nieobecność. Moje wnuki z dumą zachowują egzemplarz jego *Pamiętników* z dedykacją: „To my teacher” (chyba że historycy zepchną Kissingera z piedestału i podzielę z nim zmienność tosu). Gdybym był Amerykaninem, fascynowałoby mnie przewodniczenie Radzie Bezpieczeństwa Kraju w Waszyngtonie, codzienne informowanie w jego imieniu w Pekinie i w Moskwie. Tym bardziej, że McGeorge Bundy, W. W. Rostow, H. Kissinger, Z. Brzezinski, profesorowie w Harvardzie, o tej samej randze co moja dostąpili do takiej funkcji nie prowadząc uprzednio kampanii wyborczej, ani nie oblegając Księcia. Gdybym był obywatelem amerykańskim, to oczywiście pragnąłbym doświadczyć władzy, ale mam nadzieję, że zrozumiałbym na czas, że nie należę do ludzi pokroju Kissingera.

Inteligencja, wiedza i zdolności nie wystarczą. Trzeba dokonywać rzeczy, do których wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jestem niezdolny: narzucić się w dzungli waszyngtońskich klótni, sporów osób i administracji, uwieść prasę, a przynajmniej uniknąć jej wrogości, podejmować lub inspirować często konieczne decyzje, które wysyłają młodych ludzi na wojnę i śmierć.

Nie żebym odrzucał w teorii czy praktyce użycie siły. Ale akceptować abstrakcyjnie użycie broni to jedno, a przekonać prezydenta *hic et nunc*, że trzeba po nią sięgnąć, to drugie. Skłonność do skrupułów i nienawiść do przemocy nie posłużyłyby mi na stanowisku, jakie zajmował wyjątkowy jak na intelektualistę Kissinger.



Nieraz zadawałem sobie pytanie, jaka jest moralna i polityczna treść mego nauczania. Mówiłem już o moich kontaktach ze studentami *Ecole Normale Supérieure* w Saint-Cloud. Kilka miesięcy temu, w 1982 roku, gdy książka była na ukończeniu, dostałem od jednego z absolwentów tej uczelni parę stron jego wspomnień, których nie zamierza publikować i w których mowa m.in. o mnie. „Za poradą Auliac – dla nas równało się to rozkazowi – sledzimy oto w pół roku pokrytej boazerią auli Sorbony, gdzie odbywa się zebranie Francuskiego Towarzystwa Filozoficznego pod przewodnictwem Leona Brunschwicga o ogromnym czole i niezwykle przenikliwym spojrzeniu. Raymond Aron – osadzona na zgiętym tułowiu twarz karykaturalna niczym maska: odstające uszy, orli nos, ironiczny a zarazem gorzki grymas na ustach – chłodnym i obojętnym tonem wyłożył swoje myśli o relatywizmie w historii, kruchości demokracji, niepewności jutra. Te poglądy oburzają masywnego Victora Bascha. Drży na całym ciele i głosem trybuna wykrzykuje swe niewzruszone przekonania: wolność zrodziła się w Grecji, nigdy nie przestała oświecać człowieka w jego marszu, jest światłem, które nigdy nie zagaśnie – wolność zwycięży. Jego interlokutor odpowiada mu z lodowatą kurtuazją, że nic nie jest z góry rozstrzygnięte, nic nigdy zdobyte raz na zawsze, że można mieć co najwyżej nadzieję – iż kiedyś, w dalekiej przyszłości, rozum i moralność zwyciężą dzięki swej koherencji, skuteczniejsze i solidniejsze niż namiętności i przemoc... Oczywiście Aron ma rację”.

Opowiedziane przez mego słuchacza z Saint-Cloud posiedzenie Francuskiego Towarzystwa Filozoficznego odbyło się w czerwcu 1939 roku. Oczywiście, że miałem rację: niepewność jutra, groźba wojny, kruchość demokracji. Victor Basch żył swą

wiarą, niewzruszony mimo wzbierającej na horyzoncie burzy. I został zamordowany, bo był Żydem, bo wierzył we wszystkie wartości, które hiererowcy i ich francuscy uczniowie chcieli zniszczyć.

Wychowanek Saint-Cloud wspomina swoich profesorów filozofii: „Zajęcia z filozofii prowadzili dwu profesorów, obaj byli Żydami, ale różnili się pod każdym względem. Skrupiatny Dreyfus-Lefoyer był zawsze obecny, jego bardzo kompletne wykłady, bez niespodzianek i znaków zapytania, nie robiły na nas wrażenia. Natomiast prowokujące i wspaniałe były wykłady wnikliwego Raymonda Arona, który nie zważając na program, dzielił się z nami swymi refleksjami na temat filozofów historii, od Machiavellego do Sorela i Pareto, przechodząc przez Hobbesa. Idealistycznemu optymizmowi przeciwstawiał praktykę polityczną, skrywaną, bądź nie, za pojęciem: Realpolitik, jaką prowadził Bismarck i która inspirowała Hitlera. Aron spędził kilka lat w Niemczech, gdzie mógł zaobserwować narastanie faszyzmu, do którego najwyraźniej czuł odrazę, lecz który go fascynował. Był socjalistą i znał dogłębnie Marksa. Cenił w nim surowego krytyka ekonomii, ale odrzucał jego manichejski profetyzm, niosący ze sobą bezapelacyjne potępienia. W imię intelektualnej przenikliwości i realizmu rozwiewał nasze złudzenia. Nie chciałem rezygnować z mojej wiary, ale doceniałem siłę jego argumentacji. Tak bardzo pragnęliśmy żyć wciąż w XIX wieku, on zaś z niezbitą logiką, niczym światło przebijające chmury, obalał mity i czuliśmy się wszyscy nadzy i bezbroni na krawędzi otchłani. Mało brakowało, a mieliśmy do niego pretensję, jak gdyby to on nas tam zawiódł. Przerzązał nas, gdy ukazywał niebezpieczeństwa hitleryzmu z jego groźbą wojny, i demobilizował, gdy pozabawiał rewolucyjne credo wszelkiej nadziei...”

Przerażający byłem nie ja, ale świat taki, jakim wydawał mi się w latach 1935-1939 i jakim był w istocie, jak to dziś wiemy. „Lodowaty” nie byłem nigdy, lecz sprawiałem takie wrażenie. Dlaczego? Ze wstydu? Z niechęci do mieszanina gatunków? Z posłuszeństwa wobec Spinozy: „Nie wyśmiewać ludzkich uczynków, nie ubolewać nad nimi, ani ich nie przeklinać, lecz je rozumieć”? Ze względu na wszystko po trochu i prawdopodobnie jeszcze na coś bardziej tajemniczego. Moje młodzieńcze wypo-

wiedzi w latach trzydziestych zdradzały być może rodzaj intelektualnej radości, płynącej z poczucia, że rozpraszam chmury i zbliżam się do prawdy. Gdyby w moich negacjach przebijala tęsknota za złudzeniami, które rozwiewałem, mój głos byłby może nie lodowaty, lecz rozgrzany buntem – choćby i daremym – świadomości przeciw rzeczywistości.

Kiedy napisałem *Tragedię algierską*, François Mauriac też użył określenia, jakim obdarzył mnie mój słuchacz z Saint-Cloud. „Lodowaty” – dlaczego? Trzeba było wybrać między wojną a pokojem, utrzymaniem francuskiej suwerenności a prawem Algierczyków do niepodległości; trzeba było bezlitośnie przedstawić ten dylemat. Analiza nie jest ani gorąca, ani zimna, lecz prawdziwa lub fałszywa. Bądźmy sprawiedliwi: innym razem François Mauriac podziękował mi gorąco za wykład, który wygłosiłem dla paruset studentów katolickich.

Drugi zarzut jest szczególnie poważny: demobilizował. Czy istotnie przez całe życie „demobilizowałem?” Nie powinienem był tego czynić, gdyż nie poświęciłem się wyłącznie poważnej i surowej sprawie nauki. Być może demobilizowałem moich słuchaczy z Saint-Cloud w latach 1935-1939. Ale co można było robić lepszego? Fauconnet zosiawił mi do wyboru: „zrozpaczony albo sataniczny”; student z Saint-Cloud i jego koledzy uważali, że jestem przerażający. Wstrząsałem ich przekonaniami, odkrywałem przed nimi śmiertelne niebezpieczeństwo grożące nam wszystkim. Bronilem demokracji, która nawet w swym upadku więcej była warta niż reżymy totalitarne. Nie otwierałem przed nimi słuchaczami drogi rewolucyjnego zbawienia. Czyż nie miałem racji, skoro to zbawienie nazywało się Stalin?

Czy byłem „demobilizujący” po wojnie? Należało przecież zdemobilizować wierzących i działaczy, sympatyków Stalina, Chruszczowa i Breżniewa. Poświęciłem sporo czasu tym zabiegom higieny umysłowej. Fakty i mody, a nie moje argumenty, dyskredytują dziś rewolucyjną nadzieję, którą chciałem ucieleśnić komunizm. Od ostatniej wojny demokracje zachodnie dokonały postępu, do jakiego były niezatolne zdaniem ich wzgardzicieli: wzrost ekonomiczny, wolności osobiste, poprawa stosunków społecznych. Kto szerzył „śmiercionośną” naukę – ci, co szukali Mekki kolejno w Moskwie, Belgradzie, Pekinie i Hawanie, czy

też ci, wyzwoleni z soteriologicznych wierzeń, co przyczyniali się do pomyślnego rozwoju i reform ustrojów liberalnych, najmniej złych w naszej cywilizacji, a może i w historii?

Twierdzeniom zawartym w krytyce religii świeckich i mojemu stanowisku w tej sprawie niektórzy zarzucać mogą konformizm. Akceptuję cechy charakterystyczne ustalonych systemów demokratycznych i liberalnych. W *Eseju o wolnościach*, do którego mam słabość, próbowałem zwrócić uwagę na konieczność syntezy dwu form wolności; obszaru autonomii pozostawionej jednostkom i środków, jakie państwo daje najbiedniejszym, by mogli korzystać z przysługujących im praw. Współczesne demokracje nie ignorują ani wolności wyboru zapewnionej przez ograniczenie władzy państwowej, ani wolności-możliwości, które zapewniają prawa socjalne. W swych najlepszych momentach demokracje zachodnie osiągają, moim zdaniem, przykładny kompromis.

Dziś nikomu nie przyszło by do głowy określać mnie jako człowieka „satanicznego albo zropanzonego”. Ogłoszono by mnie raczej konserwatystą, nieczułym na nierówności między ludźmi i narodami, godzącym się na systemy, których niedoskonałości czy ułomności ignorować może tylko zaślepieniec. Zawsze są biedni i bogaci, możni i upokorzeni. Żadna socjodycea nie usprawiedliwi naszych społeczeństw bardziej przekonująco niż teodycei usprawiedliwiający Stwórcę. Ci, co stawiają równość ponad wszystko, nawet ponad wolność, zarzucają mi, że w swoich komentarzach i książkach zbyt mało miejsca poświęcam „skandalicznym” nierównościom.

W moich wykładach na Sorbonie często mówiłem o nierówności. Przez rok poświęciłem temu tematowi dwie godziny tygodniowo. Nic z tego nie opublikowałem, gdyż nie zadowalały mnie moje analizy.

Jestem z całej duszy za równością w moralnym sensie tego słowa; nie znoszę stosunków społecznych, nazbyt licznych, zagłuszających przez hierarchię statusu poczucie braterstwa. Czy to dziedzictwo religii zbawienia, równości wszystkich przed Bogiem? Szokuje mnie arogancja i autorytaryzm wielu moich, często lewicowych, kolegów wobec studentów. Ale pomijając te uczucia, przyznaję, że nie wiem, co oznacza sprawiedliwość społeczna, ani jaki podział dochodów, bogactw, prestiżu czy władzy



odpowiada wymogom równości. W Stanach Zjednoczonych filozofowie prawa od kilku lat nad tym dyskutują. Zalecają możliwie największą równość, którą da się pogodzić z ochroną swobód. Te spekulacje, jakkolwiek błyskotliwe, nie pozbawiają sensu zdecydowanych ocen w poszczególnych wypadkach, ani też nie eliminują niepewności co do całej sprawy.

Poza społeczeństwem egalitarnym pod każdym względem – co niemożliwe, chyba żeby to był totalny despotyzm – podział dóbr społecznych nie podlega żadnej prostej zasadzie. Oceny negatywne nasuwają się łatwiej niż pozytywne. Pieniężne lub inne korzyści, którymi cieszą się pewne grupy, zawody czy osoby, nie uzasadniają się same przez się, ani przez porównanie z korzyściami innych grup, zawodów i osób. Łatwiej potępić niesprawiedliwą sytuację niż powiedzieć, co byłoby sprawiedliwe dla całego społeczeństwa. W przypadku każdego zawodu należałoby teoretycznie wziąć pod uwagę koszty nauki, uciążliwość pracy, wkład do wspólnego dobra, skuteczność i wydajność, nie licząc już moralnej zasługi każdego (inne sprawy pomijam). Wziąwszy to wszystko pod uwagę nikt, nawet najwymyślniejszy komputer, nie byłby w stanie udzielić kategorycznej odpowiedzi. Zatrudnienie ludzi w dużej mierze zależy od przypadku: ten, komu się nie powiodło, zawsze może narzekać na los i uchylać się od własnej odpowiedzialności.

Wszyscy, którzy pisali o polityce, a troszczyli się o prawdę, byli w jakiś sposób demystyfikatorami. W epoce zdominowanej ideałami wolności i równości socjologowie bardziej niż kiedykolwiek są podejrzliwi. Nie wierzą na słowo podmiotom społecznym wypowiadającym się na swój temat. Ci, co najodważniejsi albo najbardziej pesymistyczni, nie mając już wizji dobrego społeczeństwa, ani nadziei na takowe, sądzą własne bezlitośnie surowo. Społeczeństwo, które głosi równość szans, z pokolenia na pokolenie przekazuje swą strukturę, swe klasy, swych panujących i pokonanych; skład klas z czasem się zmienia, nie dominuje ciągłość rodzinna. Za sprawą dyplomów spadkobiercy zyskują dodatkowy tytuł prawomocności.

Wychodząc od tych samych faktów, socjologowie tworzą odmienne obrazy naszych społeczeństw liberalnych. Nic w tym dziwnego, że dzieci uprzywilejowanych rodzin mają więcej szans

na powodzenie niż dzieci robotnicze lub chłopskie. Im bardziej system edukacyjny grupuje dzieci w takich samych szkołach, czyli jak by się zdawało w warunkach równości, równość szans okazuje się tym bardziej nieosiągalna. Rozwiąły się złudzenia szkoły jednakiej dla wszystkich, ale czy trzeba się oburzać, że szanse są nierówne, czy też cieszyć, że jest szansa dla wielu, jeśli nie dla wszystkich?

Spółczesne społeczeństwo liberalne, jak każde inne, „uspołecznia” nieludzkich, wpaja im pewne wartości, poczucie dobra i zła. I w tym sensie ludzie mający władzę i zajmujący wysoką pozycję narzucają również swoje symbole. Czy to skandal, że autorytet moralny praw lub państwa ugruntowuje panowanie klasy rządzącej przez to, że je uprawomocnia? Czy też raczej należy podziwiać margines wyboru, jaki przyznaje każdemu niewierzący i być może dekadentki Zachód? Kultura naukowa, z natury uniwersalistyczna, zajmuje dziś pierwsze miejsce w kształceniu młodzieży. A wartości szerzone przez system wychowawczy skłaniają raczej do krytyki niż do poszanowania ustalonego porządku.

Marksizm nie służy już obecnie do rozbijania ustrojów demokratyczno-liberalnych w imię utopii społeczeństwa bezklasowego albo przykładu rzeczywistości sowieckiej. Może być pożywką dla swoistego nihilizmu. Kładąc przesadny nacisk na arbitralność wartości i nierówność stosunków międzyludzkich w społecznościach stosunkowo najmniej tyrańskich, łatwo można zapoznać najhardziej oczywiste fakty: jeśli współczesne społeczeństwo się reprodukuje – a nie byłoby społeczeństwem, gdyby się nie reprodukowało – to przecież zmienia się szybciej niż jakiegokolwiek inne w historii. Porządek liberalny nadal różni się naturą od tyrańskiego porządku, jaki proponuje ZSRR. Kto dostrzeże jedynie różnicę stopnia między ideologią państwową w Moskwie, a „symboliczną przemocą” w Paryżu, ten, zaślepiony socjologizmem, przestaje widzieć, o co toczy się gra w naszym stuleciu.

Filozofowie historii idący śladem A. Toyne'ego twierdzą, że Europa odnajdzie swój rozmach jedynie w wierze, w chrześcijaństwie, a nawet ściślej – w katolicyzmie. Oświadczam, że jestem niekompetentny w tej sprawie. Gdybym był wierzącym Żydem czy chrześcijaninem, robiłbym wszystko, by głosić moja

wiarę lub prawdę. Ponieważ nie jestem wiernym żadnego kościoła, miejsce na wiarę transcendentną zostawiam puste i trzymam się osobiście wiary filozofa: raczej wątplenie niż negacja. Próby pogodzenia dogmatów chrześcijańskich ze współczesną nauką interesują mnie, ale nie przekonują. Nawet jeśli kosmologia Starego Testamentu i dzisiejsze kosmologie nie spotykają się, to mogą współistnieć, nie zaprzeczając sobie wzajemnie. Nauka nigdy nie przyniesie nic porównywalnego z Przymierzem narodu żydowskiego czy Objawieniem Chrystusa.

Socjologia religii metodycznie abstrahuje od wymiaru nadprzyrodzonego. Jak może odpowiedzieć na pytanie, czy XXI wiek będzie religijny? Czy odrodzenie Kościoła katolickiego jest prawdopodobne i jaki przybierze kształt? Czy rozwinie się w kierunku proponowanym przez Integrystów, czy też przez teologów Wyzwolenia? Nie czuję się uprawniony do wypowiedzi na ten temat. Bardziej wierzę w katolicyzm głoszący zbawienie każdej duszy niż w Kościół, duchowego pomocnika ruchów rewolucyjnych (choć w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej ten drugi człon alternatywy wydaje mi się niemal nieuchronny).

Czy rozminąłem się z najważniejszym, pozostawiając na ubożu tradycyjne kościoły i skupiając uwagę na religiach świeckich? Błędem czy pechem było, że obrałem ekonomię i wojnę za tematy mej refleksji w przekonaniu, że to najważniejsze wyznaczniki naszego czasu? Zostawiam wybór między błędem i pechem, bowiem jak mogłem wybrać inaczej? Kiedy obudziła się we mnie świadomość historyczna, wielka depresja wzmagała nacjonalizm niemiecki i pchała Hitlera do władzy, a Europę ku katastrofie. Marksizm u władzy w Moskwie oraz rewolucja antyproletariacka w Berlinie to wydarzenia, które podyktowały kierunek moim badaniom. Chciałem być współczesnym historykiem tych rewolucji i wojen.

Czy pech? Czy inspiracja, jaką znalazłem w historyzmie niemieckim, u Karola Marksa i Maxa Webera, zawróciła mnie z dobrej drogi, obranej przez Durkheima i Tardego? Czy moje pokolenie „zanieczyszczone” ideami germańskimi, które Jean Paul Sartre z niezrównanym blaskiem przetworzył, należy już do przeszłości? – To możliwe i nie odczuwam z tego powodu najmniejszej goryczy. Najlepsi socjologowie wykorzystują jednocze-

śnie Marksa i Webera, oczyszczonych z pasji politycznych, które skrywały, że naukowo obaj się uzupełniają.

Co do mnie, to nie sądzę, aby poznanie kultury niemieckiej, a później przejście przez analityczną szkołę Anglo-Amerykanów odwróciło mnie od Francji. Przed rokiem 1939 Niemcy były naszym przeznaczeniem. Aż do klęski III Rzeszy w 1945 roku idee wychodzące z Niemiec przenikały światową historię. Rasizm nie był sprawą Niemiec bardziej niż innych krajów, ale Hegel, Marks i ich epigoni, Nietzsche z jego krytyką ideologii, informowali, ilustrowali i oświecali wielkie konflikty o panowanie nad światem.

Po upadku germańskich bogów demokracja w stylu amerykańskim – pragmatyczna, bez metafizyki, szukająca semantycznej ścisłości – miała przed sobą już tylko zbędkarcalą wersję tradycji heglowsko-marksowskiej. Technicyzacja nabrała nowego rozmachu. Marksistowskie mity rozpierzchyły się w końcu niemal same z siebie – w świetle faktów. Nawet zmiana klimatu gospodarczego po roku 1973 (a może parę lat wcześniej) nie zmienia perspektywy przed ludzkością.

Gdy spoglądam przed siebie, nie widzę specjalnie powodów do optymizmu. Europejczycy popełniają samobójstwo przez spadek liczby urodzin. Narody, których pokolenia się nie reprodukują, są skazane na starzenie się, grozi im tym samym stan ducha abdykacji, *fin de siècle*'u. Mogą wypełniać dziury cudzoziemcami, jak to robili w ciągu „błogosławionych lat trzydziestu”, ale narażają się przez to na wzrost napięcia między imigrantami i pracownikami zagrożonymi bezrobociem. Syntezie demokratyczno-liberalnej, gospodarce mieszanej, od dziś do końca stulecia grozi zwolnienie wzrostu, inflacja, bałagan monetarny, rosnący udział transferów społecznych w dochodzie narodowym. Francja, po niemal niespodziewanej modernizacji gospodarczej, traci swą pozycję w świecie, bo na wprost sparaliżowana wewnętrznymi sporami i trwałością anachronicznych ideologii nie jest w stanie dostosować się do rygorów współzawodnictwa.

Stany Zjednoczone straciły przewagę militarną. Związek Radziecki gromadzi broń, wpraw by zastraszyć, a także by interweniować przy nadarzącej się okazji. Amerykańska klasa poli-

tyczna ze wschodniego wybrzeża, która inspirowała i kierowała dyplomacją przez ćwierć wieku, popelniła samobójstwo: odpowiedzialna za wojnę w Wietnamie, obarczyła winą Richarda Nixona, który nie dość szybko ją zakończył. Prezydenci J. Carter i R. Reagan oscylują między skrajnościami. *Consensus* co do polityki zagranicznej nie istnieje. Kraj nie jest wystarczająco bogaty, by finansować jednocześnie ustawodawstwo socjalne i zbrojenia. Nadal zachowuje pierwszeństwo w nauce i niezrównany aparat produkcyjny, ale dla swych wrogów i sojuszników stał się nie do przewidzenia.

W Europie, Republika Federalna Niemiec, na której bardziej niż kiedykolwiek wspiera się Sojusz Atlantycki, zdaje się chwiać. Na pierwszej linii, granicząca z sowieckim imperium, usiłuje zachować na swym terytorium wojska amerykańskie, nie irytując ludzi na Kremlu. Pacyfizm milionów Niemców ogranicza zdolność rządu do decyzji; czy jest wyrazem uprawnionej obawy przed straszną bronią, czy niezgody na podział, który naród niemiecki znosi coraz gorzej? Pojednanie francusko-niemieckie pozostaje solidne, autentyczne. Ale czy nadszedł dzień, o którym wspomniano w dyskusjach lat pięćdziesiątych? Kanclerz w Bonn, czy to socjalistyczny, czy konserwatywny, spogląda na groźny Wschód i na opiekuńczy Zachód. W którą stronę w końcu pójdzie?

Gdybym poddał się tym czarnym nastrojom, powiedziałbym, że wszystkie idee i sprawy, o które walczyłem, wydają się zagrożone właśnie w momencie, kiedy przyznaje mi się, że nie myliłem się w większości moich bojów. Ale nie chcę się poddać zniechęceniu. Ustroje, których zawsze broniłem i w których niektórzy widzą jedynie kamuflaż z gruntu arbitralnej i gwałtownej władzy, są kruche i niespokojne, ale póki będą wolne, zachowają nieoczekiwane możliwości. Będziemy dalej długo żyć w cieniu nuklearnej apokalipsy, rozdarci między strachem, jaki budzi monstrualna broń, i nadzieją, którą budzą cuda nauki.

Nie chciałbym kończyć tej zbyt długiej retrospektywy refleksjami nad dziejącą się historią. Trwa ona z definicji; punkt, w którym zatrzyma się dla mnie, nie znaczy nic sam w sobie, ani dla innych. Działalność zawodowa, moje artykuły, książki i nau-

czanie, nie wypełniły mi całkowicie życia. Żonie, dzieciom, wnukom i przyjaciółom zawdzięczam, że od 1977 roku pogodnie, a nie w mękach, żyję w „zawieszaniu”. Dzięki nim akceptuję śmierć – co łatwe, ale też skutki embolii i oznaki starości – co trudniejsze. Przypominam sobie wyrażenie, którego używałem czasem w rozmowach z kolegami i z samym sobą, gdy miałem dwadzieścia lat: „Zapracować na swoje laickie zbawienie”. Z Bogiem czy bez Boga, u kresu życia nikt nie wie, czy jest zbawiony czy stracony. Dzięki tym, o których tak mało mówiłem, a którzy dali mi tak wiele, przypominam sobie tę formułę bez lęku i drżenia.

Raymond Aron

Tłumaczyła Maria Li

#### APEL NA RZECZ POLSKICH ROBOTNIKÓW

W 1977 ROKU grupa intelektualistów z wielu krajów\* wystąpiła z Apielem na Rzecz Polskich Robotników. Dary nadesłane z całego świata umożliwiły udzielenie skutecznej pomocy finansowej i prawnej wielu ofiarom prześladowań i ich rodzinom.

OBECNIE fala aresztowań i represji jest o ileż większa – i o ileż większe są potrzeby. Jako powiernicy Funduszu porównamy apel do osób indywidualnych i stowarzyszeń o udzielenie pomocy prześladowanym działaczom «Solidarności» – robotnikom, intelektualistom, studentom i ich rodzinom.

WPLATY należy przesyłać na konto:

APPEAL FOR POLISH WORKERS

Irving Trust Company

Account No. 037648.400

36-38 Cornhill, London EC3V, U.K.

Włodzimierz Brus – Leszek Kołakowski – Czesław Miłosz

\* Daniel Bell (USA), Włodzimierz Brus (Wlk. Brytania), Mary McCarthy (USA), Robert Conquest (Wlk. Brytania), Pierre Dute (Francja), Pierre Emmanuel (Francja), Gustaw Herling-Grudziński (Włochy), Leszek Kołakowski (Wlk. Brytania), Edward Lipiński (Polska), Golo Mann (RFN), Czesław Miłosz (USA), Bis Murdoch (Wlk. Brytania), Denis de Rougemont (Szwajcaria), Laurent Schwarz (Francja), Ignazio Silone (Włochy), Piotr Slotniski (Francja), Alfred Tarski (USA).

**Franciszek M. Draus**

## **RAYMONDA ARONA KRYTYKA IDEOLOGII TOTALNEJ**

Komunizm jako układ sił politycznych można interpretować w kategoriach materialnych i strategicznych powiązań, lecz by komunizm właściwie zrozumieć, trzeba uwzględnić jego wymiar ideologiczny. Ideologia bowiem jest jego źródłem i uzasadnieniem: była przy jego powstaniu, a i dziś służy jako legitymacja polityki komunistycznej.

Studiom nad komunistyczną ideologią poświęcono tysiące badań i tony papieru. Zdawać by się mogło, że w tej dziedzinie zostało już wszystko powiedziane. Ale jeśli nawet tak jest, to z całą pewnością można stwierdzić, że z ogromnego dorobku sowietologii nie wszystko zostało zrozumiane. Dlatego nie od rzeczy będzie przedstawienie Raymonda Arona jako krytyka komunistycznej ideologii. A choć Aron formułował swą krytykę ideologii totalnej w latach trzydziestych i czterdziestych, wyniki jego przemyśleń są dzisiaj nadal aktualne.

### *Nędza religii świeckiej*

Komunistyczna ideologia wedle Arona jest globalną interpretacją historii, pseudo-systematyczną jej wizją nadającą określony sens zarówno przeszłości, jak i przyszłości<sup>1</sup>. Jest ona świecka religia. „Proponuję – pisze on – nazwać religią świecką te dok-

tryny, które zajmują w duszy człowieka współczesnego miejsce zagubionej przezeń wiary, oraz sytuują zbawienie ludzkości tu na ziemi, w odległej przyszłości, w ramach specyficznego ładu społecznego”<sup>2</sup>.

Takie określenie zawiera sedno komunistycznej ideologii: jej pseudo-religijną strukturę i millenarystyczny charakter, oraz wskazuje na źródło jej powstania i jej powodzenia.

W jakiej mierze ideologia ta daje się określić mianem religii świeckiej? Czy i jak uzasadnione jest użycie słowa „religia” dla jej określenia?

Wedle Arona religia nie definiuje się tylko i wyłącznie przez istnienie transcendentalnego przedmiotu wiary. Równie ważnymi i koniecznymi jej elementami są zachowanie i uczucia, które religia wzbudza i których wymaga. Stąd brak transcendentalnego obiektu wiary w komunistycznej ideologii wcale nie czyni słowa „religia” nieadekwatnym dla jej scharakteryzowania. „Co do braku transcendencji czy *sacrum*, nie można przeoczyć faktu, że wiele społeczeństw, na przestrzeni wieków, nie знаło pojęcia boskiego bytu, kultywując zarazem sposoby myślenia czy sposoby odczuwania, nakazów i poświęceń, które uważa się z reguły za religijne”<sup>3</sup>. Zresztą wydaje się, że rolę transcendentalnego obiektu wiary w komunistycznej ideologii spełnia samo pojęcie „historii”.

Lecz porównanie komunizmu do religii uzasadnione jest także z punktu widzenia jego wewnętrznej struktury. Każda religia określa ostateczny cel życia, w stosunku do którego ustanawia ona hierarchię wartości, interpretując całość życia człowieka i historii. Podobnie komunistyczna ideologia ustanawia cel historii: społeczeństwo bez klas, wspólnotę wolnych ludzi, lecz w odróżnieniu od religii transcendentalnej komunizm obiecuje zbawienie zbiorowe, a nie jednostkowe. Komunistyczna ideologia ustanawia swoistą skalę wartości, określa „dobre” (to, co sprzyja rozwojowi komunizmu) i określa „złe” (to, co temu przeciwdziała). Religia świecka zawiera totalną interpretację historii, w której przeszłość, jak i terażniejszość pojawiają się jako konieczne etapy marszu ludzkości do ziemskiego szczęścia, więc niejako na wzór ziemskiej wędrówki jednostki ludzkiej do zbawienia wiecznego w Bogu. A dla potwierdzenia swej słuszności wymaga



ona od ludzi zapatu i poświęcenia takiego niemal, jak chrześcijańska religia w swych najbardziej imperialnych czasach. Tak jak religia, komunistyczna ideologia nie potrafiłaby przetrwać bez organizacji swych zwolenników; religia świecka opiera się na partii. Partia strzeże ideologii, zarządza nią i dysponuje, tak jak Kościół zarządza religijnymi dogmatami. Partia jest posiadaczem doktryny i ona właśnie wypracowuje własną scholastykę. Partia „upodabnia się do Kościoła, w którym zdeponowane jest przesłanie zbawienia. Ktokolwiek doń przystępuje, zrazu otrzymuje chrzest”<sup>4</sup>. Lecz gdy Kościół dąży do zbawienia wszystkich ludzi, partyjna hierarchia mierzy możliwości zbawienia przynależnością klasową, przynależnością do proletariatu, choć czyni od tej reguły liczne wyjątki. Także nie-proletariuszowi przyznana będzie możliwość zbawienia, byleby tylko był partii posłuszny. A prawdziwy proletariusz zostanie potępiony, gdy się od partii odwróci.

W tej analizie nie chodzi, muszę to podkreślić, o równorzędne zestawienie religii świeckiej z religią transcendentną (jedyne prawdziwą religią), lecz o ich strukturalne porównanie, bo w gruncie rzeczy *religia świecka jest karykaturą religii transcendentnej*. Religia świecka, chociaż żywi się religijną tęsknotą niewierzącego w Boga człowieka, nie potrafi zastąpić autentycznej religii.

Religia świecka posiada mizerną treść moralną. Nadto wypacza uczucia, na których żeruje. Wprawdzie komunizm potrafi wzbudzić wiarę w proletariatu czy w historię, także miłosierdzie dla cierpiących oraz nadzieję na bezklasowe społeczeństwo, lecz ta wiara, to miłosierdzie i ta nadzieja nie są tej samej jakości, co w chrześcijaństwie. Marksistowska wiara „przywiązuje się nie tyle do historii, co do kościoła, którego więź z Mesjaszem stopniowo słabnie; ta nadzieja odnosi się do przyszłości, która jeżeli nie może spełnić się samoistnie, będzie dziełem przemocy, a to miłosierdzie dla cierpiącej ludzkości ścina się w obojętność wobec klas, narodów czy jednostek potępionych przez dialektykę. Tak obecnie, jak i zawsze, komunistyczna wiara usprawiedliwia wszystkie środki, komunistyczna nadzieja nie pozwala na pluralizm dróg do boskiego królestwa, zaś komunistyczna wielkoduszność nie przyznaje wrogom nawet prawa do śmierci z honorem”<sup>5</sup>.

Komunistyczna wiara jest w istocie swej fanatyzmem, tzn. „bezw warunkową, ślepą akceptacją określonego *credo* politycznego, dyktującego sztywną dyscyplinę, określającego dobro i zło, akceptacją pociągającą za sobą brutalne zaprzeczenie wszelkiego innego przekonania, wszelkiej innej skali wartości”<sup>6</sup>. Jest ona nędzną karykaturą prawdziwej wiary. „Wystarczy pojąć istotę religijnych uczuć, by spostrzec zasadniczą różnicę między stalinowskiim fanatyzmem a autentyczną religią. Komunizm dyktuje swym wiernym, kogo mają nienawidzić i przyszłość, jaką mają budować. Pobudza emocjonalne poświęcenie: ale nie oferuje nic do miłowania”<sup>7</sup>. Także poświęcenie, którego komunizm wymaga, jest inne niż poświęcenie chrześcijańskie. „Wierzący (komunista) nie wypiera się rozkoszy swego ciała, lecz wypiera się skrupułów, jakie wieki cywilizacji zapisały w ludzkiej świadomości. On nie odważy się zakwestionować moralnej poprawności rozkazów, które otrzymuje. Asceza, którą na siebie bierze nie jest poszukiwaniem czystości serca, lecz nastawiona jest na skuteczność działania. Im bardziej walczący komunista oddany jest swej sprawie, tym mniej wahać się będzie, popelniając czyn naganenny z punktu widzenia tradycyjnej etyki”<sup>8</sup>.

To strukturalne porównanie ideologii komunistycznej i religii jest w gruncie rzeczy paradoksalne. Porównuje komunizm do religii, ale prowadzi do stwierdzenia, że jest on jej kiepską karykaturą. Paradoks analizy wynika z tego, że sam jej przedmiot jest paradoksalny. Komunistyczna ideologia pojmuje samą siebie jako myśl antyreligijną, nawet przepowiada zanik „religijnej alienacji”: „Gdy tylko człowiek stanie się panem swych własnych tworów, nie będzie więcej potrzebował uciekać się do transcendentálnych wizji zawierających jego zawiedzione nadzieje”, z drugiej zaś strony jest ona rodzajem religii dokładnie w stopniu, w jakim jest ona antyreligią. „Jeżeli [komunizm] przeczy istnieniu życia pozaziemskiego, to sprowadza on na ziemię te właśnie nadzieje, które wierzący transcendentálne wierzenia”<sup>9</sup>.

### *Beznadziejność ześwieczonego świata*

Jakie były (są) źródła i przyczyny powodzenia komunistycznej ideologii w naszym stuleciu?

W refleksji nad sukcesami komunizmu odwołuje się Aron do duchowego kryzysu współczesności, do zjawiska zmierzchu tradycyjnych wierzeń i wartości, do osłabienia moralnego wpływu i religijnego autorytetu. Powstanie i rozwój religii świeckiej nie jest jedną z przyczyn tego kryzysu, lecz jedną z jego konsekwencji. „Śmierć Boga” pozostawiła w duszy ludzkiej pustkę, pozostawiła człowieka w samotności, jego naturalne religijne potrzeby niezaspokojone. To właśnie wierzenia polityczne wypełniły tę pustkę i samotność człowieka, dając mu przedmiot wiary. „W naszej epoce wierzenia polityczne stają się niejako substytutami wierzeń prawdziwie religijnych, albo inaczej, bezprzedmiotowe uczucia religijne, po zaniku wiary w Boga, są żywione i przekształcane przez wierzenia polityczne”<sup>10</sup>.

Drugi obiektywny czynnik rozprzestrzeniania się ideologii komunistycznej upatruje Aron w procesie uprzemysłowienia i racjonalizacji życia społecznego, który potęguje negatywne duchowe skutki kryzysu moralnego. Sekularyzacja wydała człowieka na pastwę niepewności i egzystencjalnej samotności. Uprzemysłowienie stało się źródłem mobilności i anonimowości mas ludzkich. Samotny człowiek nie pojmuje ogromnej maszyny biurokratyczno-przemysłowej, znosi jej prawa nie znając ich, jawi mu się ona jako wszechmocny autorytet bez oblicza i bez serca. A taki stan rzeczy nie pozostaje bez wpływu na duchowe dyspozycje ludzi. I w tej sytuacji pojawia się ideologia totalna, wytłaniają się bohaterowie wychodzący naprzeciw zdesperowanym tłumom, wstrzykują im złudną nadzieję oraz obiecują bezpieczeństwo. „Mężczy ludzie znoszenie ładu, którego nie rozumieją, oraz który, wskutek braku moralnych podstaw, postrzegany jest jako wynik nieusprawiedliwionego przymusu i zrzędzenia losu. Nadzieja zbawienia przekształca ten ład, nadając mu duchowy sens. Obie te aspiracje łączą się: zbiorowe wierzenia powołują proroków, cesarze wymyślają religie”<sup>11</sup>.

Sednem powodzenia ideologii totalnej jest to właśnie, że nadaje ona duchowemu nieładowi naszej epoki określony sens, tłumaczy źródła tego nieładu oraz proponuje jego przezwycięzenie, współczuje biednym i obiecuje świetlaną przyszłość. Zapanowuje ona niejako na skutek „obiektywnej współwiny” zdesperowanych mas i rewolucyjnych elit. Elity te wykorzystują niepokój mas, który

wyraża się w formule: „znikąd nadziei ani też wiele do stracenia”, i podsuwają im rzekomo zbawienny środek: rewolucję. W tym celu określają najpierw „wroga – przyczynę wszelkiego zła, na którego przeleją się wszystkie zasoby nienawiści i resentymentu, zawsze obecne w łonie nieszczęśliwych mas”, następnie wyznaczają „proroka, na którym skoncentrują się zasoby zaufania i zapału, zawsze obecne w ludzkich sercach”, wreszcie zaproponują „kilka prostych zasad odpowiadających bezpośrednim rozważeniom oraz najwyższymi aspiracjom”<sup>12</sup> i poprowadzą masy do ostatecznego zwycięstwa, które je zgubi.

### *Złoty trybut europejskiego racjonalizmu*

Skąd płynie magiczna siła przyciągania komunistycznej ideologii? Skąd pochodzi jej obezwładniający czar? „Dlaczego ten zamknięty świat – pyta Aron – w którym jednostka jest poświęcona jakiemś historycznie zmiennemu bogu, w którym prawa przeszłości, teraźniejszości i przyszłości określane są każdorazowo przez polityczną władzę człowieka, a nie przez jego geniusz, dlatego to mędrkowanie, którego przesłanki wydają się racjonalne, zaś konkluzje paranoiczne, wywiera nieprzerwanie, wbrew wszystkiemu, wpływ i czar na tak wielu ludzi na Zachodzie?”<sup>13</sup>

Odpowiedź Arona jest następująca. Po pierwsze komunizm oferuje swym zwolennikom rodzaj intelektualnego komfortu, by nie powiedzieć, że w tak prosty sposób objaśnia historię, iż po prostu zwalnia z obowiązku myślenia. Z niezachwianą pewnością komunizm dostarcza odpowiedzi na wszystkie trapiące ludzkość od tysięcy pytań. Kto pragnie prawdy, a nie ma odwagi jej sam szukać, ten garnie się do kościoła-partii, która go „oświeci” i przyniesie egzystencjalną ulgę. „Nie brakuje w naszym stuleciu – pisze Aron – intelektualistów, którzy wolą otrzymać gotową prawdę, aniżeli jej szukać samemu w wątpleniu i trwodze. Ci intelektualiści boją się wolności, bardziej im zależy na wygodzie i na poczuciu pewności, które może im dać tylko poddanie się i uległość wobec jakiegoś zarazem świeckiego, jak i duchowego autorytetu”<sup>14</sup>

Lecz intelektualny komfort i poczucie pewności, którego udziela komunistyczna partia nie są wcale absolutne. Ta doktrynalna

komunistyczna pewność zasiewa pośród swych zwolenników swoisty niepokój oraz szczególną niepewność. Komunistyczna prawda jest na tyle ogólna, że wymaga ciągłych interpretacji, nie dopuszczając równocześnie do wątpienia. Wobec tego w jaki sposób ortodoksyjny dziś komunista może być pewny swej pozycji jutro? W jaki sposób może on czuć się bezpiecznie, jeżeli, dziś prawowierny, nie wie, czy nie stanie się heretykiem jutro?

Drugim źródłem przystąpienia do komunizmu jest jego rzekomo humanistyczny charakter, idący w parze z organizacyjną doskonałością. Ten podwójny charakter komunizmu sprawia, że można wyróżnić dwa typy przynależności. Przynależność intelektualisty-humanisty, którego pociąga przede wszystkim religijny aspekt ideologii, oraz przynależność intelektualisty-technokraty, któremu odpowiada bardziej aspekt skuteczności działania, poparty nadto humanitarną interpretacją. „Fakt, że Intelektualiści, w szczególności naukowcy, specjaliści w zakresie nauk ścisłych, ulegają urokowi racjonalnej czy pseudoracjonalnej wizji marksistowskiej, jest łatwy do zrozumienia. Schemat nieuniknionego rozwoju historii od gospodarki liberalnej do gospodarki socjalistycznej, od własności prywatnej do własności zbiorowej, od mechanizmów rynkowych do centralnego zarządzania wydaje się szczególnie ponętny nie tylko ze względu na to, że zawiera on częściowo słuszne stwierdzenia. Nie brakuje fizyków, często ignorantów poza ich własną domeną, którym całkiem rozsądna i prawdziwa wydaje się wizja przewyższająca aż nazbyt widocznych niedoskonałości naszego społeczeństwa przez wprowadzenie planowanych metod zarządzania. A to, że planowanie powinno być dziełem proletariatu, zbuntowanego czy zwycięskiego, stanowi tylko dodatkowy powód do wiary. Tak więc chrześcijańskie pozostałości (triumfy pokornych) idą w parze oraz ożywiają nieświadomie współczesne przekonanie o wszechmocy państwa czy rozumu”<sup>15</sup>.

Mówiąc w skrócie, poparcie dla komunizmu wynika z jego upraszczającej wizji historii opartej na obietnicy ziemskiego raju. Otóż ten idylliczny (choć poprzedzony walkami) obraz przyszłości i uproszczony obraz przeszłości może jedynie zadowolić tych, co nie chcą albo nie potrafią myśleć. Paradoksalnie to właśnie intelektualna słabość, więcej, nędza komunistycznej ideologii

przyciągnęła najbardziej intelektualistów. Oto współczesny intelektualista, herold wolności myśli, poddał się absurdalnemu autorytetowi komunistycznej ideologii. „Zadziwiający trybut europejskiego racjonalizmu. Lewicowi intelektualiści widzieli w odrzuceniu transcendentnej religii wyzwolenie ducha: i oto dzisiaj najbardziej postępowi spośród nich okazują się niezdolni żyć bez wiary i bez poddania się autorytetowi, tylko na inną modłę totalitarnemu i irracjonalnemu niż dawny autorytet Kościoła”<sup>16</sup>.

Zdaniem Arona dwa zasadnicze błędy skłoniły Intelektualistów do poparcia sowieckiej ideologii komunistycznej. Jeden błąd jest natury ściśle intelektualnej, drugi polega na fałszu w historycznej ocenie. Po pierwsze, lewicowi intelektualiści nadali rewolucji znaczenie, które nie tylko nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości, ale również zakłada rodzaj historycznej mistyfikacji. „Błąd polega na nadaniu Rewolucji logiki i znaczenia, którego ona nie posiada, na dopatrywaniu się w niej końca określonego historycznego ruchu zgodnego z rozumem, oraz na oczekiwaniu od niej dobrodziejstw nie do pogodzenia z samą naturą Rewolucji”<sup>17</sup>. Błąd drugi polegał na uznaniu za proletariacką (zgodną z teorią) rewolucję rosyjską, oraz na uznaniu marksistowskiego charakteru reżimu sowieckiego.

Przyczyn tych dwóch błędów dopatruje się Aron w „nicpohamowanym optymizmie”, wedle którego proletariat miał dokonać dzieła zbawienia całej ludzkości, oraz w nadmiernym pesymizmie w ocenie istniejących stosunków społecznych. Istota komunistycznego czaru tkwi w pomieszaniu tego optymizmu i pesymizmu. „Tu jest sedno problemu. Historyczny optymizm, zaharwiony pesymizmem domaga się radykalnego wstrząsu odwiecznego porządku zbiorowości. Ten optymizm uważa za skandaliczne to, co jest, domaga się zasadniczej nowości. Więc stawia na postępowe partie, na przemoc, na określoną klasę i liczy na dokonanie tego wstrząsu, stopniowo czy raptownie, celem zaprowadzenia panowania wolności. Lecz (...) skazuje siebie samego na zawód, gdyż te cechy struktury społecznej, przeciwko którym występuje okazują się niezmiennie”<sup>18</sup>.

*Ideologia totalna — religia świecka przeciw nadziei, rozumowi i wolności*

Czym jest w istocie ta świecka religia? Czy można ją brać poważnie, jeżeli zawiera ona tyle uproszczeń i niedorzeczności?

Religia świecka przekształca nadzieję w pewność. Przepowiada przyszłość tak, jakby takowa przepowiednia leżała w zasięgu poznawczych możliwości człowieka. „Ja nie wiem — pisze Aron — jaka będzie przyszłość ludzkości, ale wiem, że my tego nie wiemy. A ci, którzy rzekomo ją znają, są fałszerzami. Mamy całkowite prawo do nadziei na przyszłość zgodną z ludzkimi aspiracjami, ale nie mamy prawa przedstawić tej nadziei jako pewności, a tym mniej ufać prawom historii czy działalności jakiegóż partii (czy klasy), celem jej urzeczywistnienia”<sup>19</sup>.

Religia świecka jest w istocie wersją historycznego fatalizmu, potępia określoną przeszłość oraz uświęca z góry również „określoną” przyszłość. Marksistowska interpretacja dziejów równocześnie uwalnia człowieka od jego przeszłości i skazuje go na przez nią określoną przyszłość. I tu tkwi absurdalny fatalizm i determinizm marksizmu, który pozbawia człowieka i wolności, i nadziei. Ideologia komunistyczna oznacza w istocie *razynację rozumu, klęskę nadziei, poddanie się Przeznaczeniu*. Dlatego jest ona nie do przyjęcia przez myśl racjonalną.

Arona krytyka ideologii totalnej chce przywrócić człowiekowi zarazem wolność, rozum i nadzieję. Ani boska Opatrzność, ani ubóstwienie historii nie potrafią pozbawić człowieka jego moralnej godności i wolności. Człowiek sam wykuwa swój los i aby godnie mógł on dokonać swego dzieła, potrzebuje nie tyle nadziei, co wątplenia, to znaczy rozumu i tolerancji. Fatalizm w myśleniu i fanatyzm w działaniu są niegodne człowieka czynu. Tak więc, by ratować współczesnego człowieka od piekła, do którego wtrącają go gotowe systemy prawdy, Aron nawołuje do wątplenia w historyczny profetyzm i millenaryzm. Lecz to jego nawoływanie, wielokroć nie zrozumiane, nie jest wcale pochwałą sceptycyzmu jako stanowiska wobec życia i historii, lecz apelem o wątplenie w totalne utopie i interpretacje. „Wątplenie w te abstrakcyjne modele nie ma nic wspólnego z potocznym sceptycyzmem. Wręcz przeciwnie, chodzi tu o zaufanie wobec rozumu, który stwierdza nie-

doskonałość wszystkich porządków społecznych, przyznaje, iż przyszłości poznać nie sposób, potępia próżną pretensję do ustanowienia społeczeństwa idealnego. To właśnie nasza wiedza wyznacza granice naszej władzy, oraz zaleca nam stopniowe polepszanie tego, co jest zamiast rozpoczynać od zera zniszczywszy dokonania wieków"<sup>20</sup>. W epoce ideologicznego oblędu wątplenie jest bronią rozumu przeciw bezrozumności i dogmatyzmowi.

F. M. Draus

### Przykłasy

- <sup>1</sup> zob. *Trois essais sur l'âge industriel*, Paris 1966, ss. 190, 215
- <sup>2</sup> *L'âge des empires et l'avenir de la France*, Paris 1945, s. 288.
- <sup>3</sup> *Opium des intellectuels*, Paris 1955, s. 361
- <sup>4</sup> *ibid.*, s. 364
- <sup>5</sup> *ibid.*, s. 365
- <sup>6</sup> *L'homme contre les tyrans*, Paris 1945, s. 284
- <sup>7</sup> *Les guerres en chaîne*, Paris 1951, s. 177
- <sup>8</sup> *Polémiques*, Paris 1955, ss. 88-89.
- <sup>9</sup> *L'âge des empires...*, s. 288.
- <sup>10</sup> *L'homme...*, s. 59-60.
- <sup>11</sup> *L'âge des empires...*, ss. 306-307.
- <sup>12</sup> *L'homme...*, s. 59.
- <sup>13</sup> *Polémiques...*, s. 93.
- <sup>14</sup> *ibid.*, s. 93.
- <sup>15</sup> *ibid.*, s. 77-78.
- <sup>16</sup> *ibid.*, ss. 95-96.
- <sup>17</sup> *Opium...*, s. 145.
- <sup>18</sup> *ibid.*, s. 148.
- <sup>19</sup> *Trois essais...*, s. 208.
- <sup>20</sup> *Paix et guerre entre les nations*, Paris 1962, s. 742.



# wokół „Solidarności”

Leszek Nowak

## ANI EWOLUCJA ANI REWOLUCJA

### *I. Ewolucja czy rewolucja?*

Oto jedno z naczelných zagadnień myśli społecznej: jaka jest najlepsza metoda przeprowadzenia zmian społecznych – gwałtowna, dokonana pod presją najszerzych mas (rewolucyjna), czy też stopniowa, rozłożona na wiele składowych wznoszących się wszakże w pożądanym kierunku (ewolucyjna)? Podział na zwolenników orientacji rewolucyjnej i ewolucyjnej nie pokrywa się, warto to z góry zaznaczyć, z podziałem na zwolenników przemocy i na pacyfistów. To kwestia przecież środków używanych w toku przeprowadzania zmian społecznych. Są więc rewolucjonści przeciwni terrorowi rewolucyjnemu, a i można sobie wyobrazić terrorystycznego ewolucjonistę, który zalecałby dozowanie terroru przez lata w celu wymuszania na panujących stopniowych, coraz większych, ustępstw.

Po tym zastrzeżeniu dość łatwo, przypuszczam, zgodzimy się na to, że przedsierpniowa myśl polityczna była ewolucyjna, w toku szesnastu miesięcy dość gwałtownie przechodziła w rewolucjonizm, a po 13 grudnia 1981 rozdziela się. Dla jednych

przegrana „Solidarności” jest dowodem na rzecz rewolucjonizmu, dla innych właśnie na rzecz ewolucjonizmu. Pierwsi uważają, że „Solidarność” była zbyt ugodowa i dlatego przegrała (takie jest przesłanie koncepcji Powszechnego Powstania), drudzy natomiast utrzymują, że poszła za daleko i zmusiła władze do kontrakcji. Do tych ostatnich należy działacz opozycji demokratycznej, który udzielił wywiadu czasopiśmie *Aneks* (nr 31, 1983). Dla skrótu nazywać go będą dla potrzeb tej dyskusji Ewolucjonistą. A dla symetrii orędownika zmian totalnych – Rewolucjonistą.

## 2. Ubóstwo rewolucjonizmu

Ubóstwo rewolucjonizmu polega na niechęci do przewidywania. W euforii walki zanikają ukryte mechanizmy rządzące procesem rewolucyjnym, a rewolucjoniści przedstawiają siebie jako orędowników ideałów Wolności, Braterstwa, Równości. nawet jeśli są materialistami – jak to ma miejsce w wypadku komunistów. Poszczególne Rewolucjonista roi sobie to zapewne: szczerze, elita rewolucyjna wyznaje tę ideologię jednak nieprzypadkowo. Zapomnijmy bowiem o słowach, hasłach, intencjach i przyjrzyjmy się społecznej strukturze rewolucji. Oto z jednej strony staje klasa władców dysponujących siłami przymusu. Z drugiej klasa obywatelska, z której wyłania się nowa elita władzy. Jest to „elita”, bo jest to mniejszość stanowiąca polityczno-organizacyjne centrum ruchu społecznego. A „władzy”, bo przecież dysponuje ona siłami przymusu; siłami takimi są nawet tłumy gotowe do akcji, a tym bardziej Gwardie: Narodowa, Czerwona, czy jakkolwiek się tam nazywają. Rewolucja obywatelska widziana z czysto materialistycznej perspektywy jest więc starciem dwóch klas władców: starej i kształtującej się dopiero władzy rewolucyjnej. Kiedy ta ostatnia staje się władzą prawdziwą, kiedy więc w wyniku zwycięskiej rewolucji zdobywa monopol na siły przymusu, wówczas wchodzi po prostu w miejsce dawnej. I podlega takim samym prawidłowościom, jak znienawidzony stary reżim. Zawsze znajdą się wśród rewolucjonistów tacy, którzy zmierzać będą do poszerzenia swojej własnej władzy. A jak nie wśród rewolucjonistów, to przybędą z zewnątrz (jak ktoś powiedział złośliwie, acz nie bez pewnej dozy racji – to

nieprawda, że stalinizm zbudowali w Polsce komuniści, było ich na to po prostu za mało; stalinizm zbudowali socjaliści, którzy podążyli do źródła władzy). I oni to, poszerzając swoją kontrolę nad obywatelami, wzmacniają stopniowo swoją pozycję. Aż doprowadzą do wykruszenia wszystkich ideowców. Wtedy nadejdzie czas aparaczyka: cała machina władzy okrywającej się jeszcze rewolucyjnymi sztandarami pracuje tak, aby ci, co mają już władzę, mogli ją pogłębiać, a ci, co im podlegają, podlegali coraz ściślej. Nowa klasa władców nie różni się już wtedy niczym od władzy, przeciw której wystąpili ongi ci, których obnosi się na portretach.

A niekiedy jest dużo gorsza. Wtedy, kiedy występuje nie tylko przeciw władzy, ale i własności prywatnej, a także panującemu światopoglądowi – wtedy przejmując nie tylko środki przymusu, ale i produkcji oraz indoktrynacji. Wtedy pętla obywatelska staje się zwycięską rewolucją socjalistyczną, a rewolucjoniści stają się górną warstewką potężnej klasy trój-panów.

Czy „Solidarność”, bądź którejs z naszych niezależnych elit politycznych stowarzyszonych z „Solidarnością” groziło to samo?

Dojście do władzy – powiada jeden z tekstów opublikowanych przez NZS wiosną 1981 – byłoby

„alternatywą najgorszą. Natychmiast obrasta ona w masy kandydatów do rządów, nie mówiąc już o tym, iż zabsorbować musi masy urzędników już te rządy sprawujących. I te rzesze ludzi zaczynają podlegać prawidłowościom, których nie rozumieją tak samo, jak nie rozumieli ich komunistyczni trój-panowie. Droga selekcji naturalnej wykształcać się zaczyna typ władcy szerzącego władzę dla władzy, a prawdziwi demokraci podzielać zaczynają los niedysyjszych prawdziwych komunistów – wypadają z hierarchii władzy. A ponieważ, oczywiście, władza jest potężniejsza wtedy, kiedy dysponuje środkami produkcji niż wtedy, kiedy nimi nie dysponuje, a to samo dotyczy środków indoktrynacji, więc koniec końców reprodukuje się to, co mamy, a więc socjalizm, system trój-panowania klasowego. (...) Tyle, że nie byłoby, po latach, wśród [nowych trój-panów] dzisiejszych opozycjonistów, ci zostaliby wyeliminowani na rzecz «pragmatyków»; ideowość nie

popłaca w żadnej hierarchii władzy, nie tylko komunistycznej. (...) Żadna dostatecznie liczna populacja ludzi nie zrezygnuje, w skali masowej, z objęcia wszelkich materialnych środków panowania (...), jakie tylko są jej dostępne. Komuniści pierwsi padli ofiarą tej prawidłowości. I oby ostatni".

Niestety, nie ostatni, kiedy czytamy:

„Myślę, że nie uświadomiliśmy sobie dokładnie poziomu żądań «Solidarności» z ostatnich dni przed wprowadzeniem stanu wojennego. Żądała ona wolnych wyborów do rad wojewódzkich włącznie. Ponieważ następnym krokiem byłoby niewątpliwie żądanie nadrzędności rad wojewódzkich nad komitetami wojewódzkimi i nad wojewodami, czyli władzą wykonawczą, oznaczałoby to przejęcie władzy na szczeblu wojewódzkim, czyli w praktyce większości władzy nad krajem” (*Aneks*, 31, 1983, s. 139).

„Solidarność” więc trzeba rozumieć nie jako wielomilionowy ruch społeczny, lecz jako elitarny ruch polityczny. A zatem nie jako związek pracujących, lecz jako związek różnorodnych elit politycznych. Bo kiedy „Solidarność” wysuwała ideę samorządu, była ruchem społecznym wyrażającym interesy szerokich mas, kiedy natomiast wysuwała żądania w rodzaju cytowanych, była organizacją polityczną wyrażającą interesy elit. I nie ma się co dziwić, że „autorefleksji temu ruchowi bardzo brakowało” – każda tego typu autorefleksja uderzała w interesy stowarzyszonych ze związkiem elit, toteż nie mogła się przebić do centralnych środków związkowego przekazu. Tam można było tylko w kółko powtarzać, że demokracja, że upodmiotowienie, że wiarygodność. Jak słusznie zauważa Jakub Brzezina, „«Solidarność», podobnie jak partia, pozbawiła się wewnętrznego mechanizmu samokorygującego” (*Aneks*, 31, 1983, s. 131). Ale nie dlatego, że w jakiś mistyczny sposób przeniknęło to do niej z systemu – niby jak? – ale dlatego, że wszelkie elity polityczne, niezależnie od wyznania wiary, mają ten sam interes. A refleksja nad tym interesem jest z nim niezgodna. Dlatego to każdy pretendent do władzy „popada w pułapkę myślenia ideologicznego”. Każdy, nie tylko komuniści.

W tej pułapce myślenia ideologicznego z okresu „Solidarno-

ści” tkwi do dziś Ewolucionista, skoro powiada o naszych trójpanach, że chcą być akceptowani społecznie, że „jest to najważniejszy czynnik skłaniający władzę do ustępstw”, że – słowem – gdyby nie szaleńczy brak rozwagi ze strony „Solidarności”, to wszystko by się potoczyło ewolucyjnie, jak należy. To są właśnie złudy, za które odpowiedzialna jest ideologia wiarygodności. Nie pojmuje ona tego prostego faktu, że władza wspiera się nie na zaufaniu społecznym, lecz na sile. I wiarygodność uzyskuje nie wtedy, kiedy ustępuje lecz wtedy, kiedy zniewala. Cokolwiek czyniłaby „Solidarność” i tak skończyłoby się to wojną, bo niezależny związek samym swym istnieniem przeczył zasadzie trójwładzy. A to, co tam sobie roli poszczególni trójpanowie, nie miało większego znaczenia. Ci, którzy naprawdę wdziali „Solidarność” w pejzażu Polski, dostali się do władzy tylko dzięki „Solidarności” – po to, by mogli narzucać swoje złudzenia innym. Najlepszy dowód, że oni właśnie – reformiści partyjni – wraz z przegraną naszego Związku wypadli z hierarchii władzy.

### 3. Ubóstwo ewolucjonizmu

Ewolucjonizm jest bowiem iluzją wcale nie mniejszą niż rewolucjonizm. Jego ubóstwo wyraża się w nieumiejętności wyjaśniania. Przykładowo:

[Na Zachodzie] „Klasa robotnicza ze stanu nieposiadania niczego, uciśnienia, nie drogą rewolucji, a właśnie metodą wydzierania kawałek po kawałku, zdobyła tę pozycję, którą ma w tej chwili (...). Tej mądrości zabrakło Polakom” (*Aneks. 31, 1983, s. 138*).

To nie jest kwestia mądrości:

[W 1877 Stany Zjednoczone zostały objęte falą strajków robotniczych] – „Przeciwko robotnikom skierowano tysiące żołnierzy, w tym również artylerię. (...) W okresie największego nasilenia strajku rząd USA z prezydentem na czele obradował codziennie, kierując strzelaniem do robotników, gubernatorzy osobiście stawali na czele konnych ekspedycji, ołowiu dla robotników nie żałowano. W Baltimore żołnierze strzelali do tłumu, usiłującego przeszkodzić wojskom w rozprawianiu się z kolejarzami, 10

osób zostało zabitych. Wybuchły zamieszki, które trwały 3 dni, a zlikwidowane zostały przez przyslaną z Nowego Jorku artylerię i picchotę. (...) W Pittsburgu jacyś chłopcy rzucili w oddział żołnierzy kilka kamieni. Dzielni wojacy zareagowali na to dwoma salwami w tłum. Zabito 20 i raniono 29 osób, w tym również kobiety i dzieci. Oburzenie robotników było tak wielkie, że wybuchło powstanie. (...) Poważne starcia z wojskiem miały miejsce w Chicago, gdzie zabito 30-50 osób i około 100 zraniono, oraz w szeregu innych miejscowości. Łącznie, w czasie tłumienia strajków, zabito około 500 robotników" (L. Mendelsson, *Teoria i historia kryzysów i cykli ekonomicznych*, t. II, Warszawa 1960, s. 127-128).

Jak widać, wybrana w demokratycznych wyborach „władza ludu, dla ludu i przez lud” potrafi sprawić się nawet lepiej niż dyktatura komunistyczna w stanie wojennym...

To kwestia gotowości mas do obrony swoich interesów, to kwestia odwagi. Trzeba było dziesiątków lat walki, wielu rewolucji przegranych przez robotników, aby burżuazja ustąpiła. Nie mądrość zachodnich statystów, lecz gotowość mas robotniczych do walki – a nie tylko do manifestacji pierwszomajowych – zbudowała tę rzeczywistość najlepszą ze zrealizowanych dotąd form społecznych, jaką są systemy zachodnie. Robotnicy, przegrywając rewolucje, zmusili panujących do ustępstw.

#### 4. *Optymalny model zmiany społecznej: przegrywać rewolucje*

Wskazali w ten sposób zarazem – oni, uczestnicy ruchów czartystowskich, strajków amerykańskich, Komuny Paryskiej – optymalny sposób przeobrażania społeczeństwa: trzeba walczyć, ale przegrywać. Rewolucje – wylamanie się mas, niekoniecznie zbrojne, z pięć panującej mniejszości – są konieczne, bo bez nich system będzie tylko odtwarzać nędzę lub/i ucisk. Jedynie wskazuje korzystne dla ludu są rewolucje przegrane. Bo przegrana rewolucja zmusza panujących do zmian systemu – muszą je przeprowadzać dla uniknięcia następnej. Ale jeśli zmiany są za małe w stosunku do aspiracji mas – i tak jej nie unikną. I znowu rewolucja wymusi ustępstwa – ale tylko przegrana. I trwa tak aż

do wyłonienia się – drogą ewolucyjnych korektur – takiego systemu, który już odpowiada faktycznie żywionym aspiracjom mas obywatelskich. Optymalny model zmiany społecznej jest więc taki: rewolucja – zwycięska kontrrewolucja – ewolucyjne zmiany na korzyść mas – rewolucja, itd. aż do wyłonienia się zadowolającego dla mas systemu.

Jedno zastrzeżenie jest tylko konieczne. Oto obywatele, mimo przegranej rewolucji, muszą wywierać nadal presję na klasę panującą. Inaczej szary aparatczyk nie będzie czuł nacisku i pokrzyżuje najświetlejsze pomysły swoich przywódców. Kontrrewolucja, która łamie masy, która wtrąca je w stan zniewolenia, doprowadza do odtworzenia się stanu przedrewolucyjnego, nic im nie daje, a może ich sytuację pogorszyć. Ewolucyjne, postępowe korektury mają miejsce tylko wówczas, kiedy klasa obywatelska, mimo przegranej, zachowuje dość zdecydowania, by przemawiać do władzy jedynym językiem, który ta rozumie, językiem siły.

Taki model obowiązuje, jak się zdaje, dla zmiany społecznej. Obowiązuje on w każdym razie dla społeczeństw państwowych, a więc dla społeczeństw zorganizowanych na podstawie monopoli przymusu w rękach mniejszości. Obowiązuje on zresztą nie tylko dla zmian globalnych. Martin L. King położył wielkie zasługi dla ukształtowania świadomości Murzynów w USA. Ale rasizm w tym kraju został złamany nie przez presję opinii, lecz przez pożary w miastach amerykańskich, przez zamieszki i rozruchy w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Na szczęście dla samych Murzynów organizacje typu Czarnych Panter nie zdołały utworzyć separatystycznego państwa murzyńskiego. Ale tylko dzięki rasowej rewolucji problem rasowy został w Stanach Zjednoczonych lat siedemdziesiątych w istotny sposób złagodzony. „Feudalizmu” na uczelniach Zachodu – by sięgnąć po przykład z innej dziedziny – nie złamały publiczne dyskusje ujawniające jego nieetyczność. Położyła mu – prawie – kres rewolta studencka w krajach zachodnich. I tak dalej. Postęp społeczny realizuje się w drodze ewolucyjnej. Ale nie ma tych stopniowych korektur bez rewolucyjnych wstrząsów. Byle te ostatnie nie kończyły się wygraną – bo wtedy dochodzi dopiero do prawdziwych katalizmów.

### 5. Wyzwalamy się z socjalizmu w sposób normalny

Wystarczy przymierzyć ten model: rewolucja – zwycięska kontrrewolucja – wymuszone postępowe zmiany ewolucyjne – rewolucja itd., do historii PRL poczynając od 1956 (a więc od wyjścia z naszej fazy zniewolenia), aby zauważyć, że sprawdza się on dość dobrze. Powstanie robotników Poznania zostało stłumione. Ale presja społeczna nadal trwała – później był przebieg Październik. I zmiany, które nastąpiły w stosunkach władza-obywatel miały charakter podstawowy. Bunt robotników Wybrzeża w 1970 został stłumiony. Ale presja społeczna trwała – do lutego 1971 odbywały się strajki. I znowu trój-władza ustąpiła inicjując reformę WOG-ów, „nowy styl pracy partyjnej”, liberalizację cenzury itd.

„Solidarność” nie usunęła hierarchii partyjnej. I bardzo dobrze, bo bez względu na najlepsze intencje jej przywódców odrodziłby się tylko system trój-panowania pod nowym przybraniem ideowym; pisałem o tym wielokrotnie w czasach „Solidarności”. Presja akcji masowych wszakże nadal trwa, nie pozwalając klasie trój-panującej zakrzepnąć w stagnacji. I zmiany w systemie, zmiany na korzyść obywateli są niewątpliwe. M. Rakowski ma rację: to jest inny kraj niż przed Sierpniem. Nie mówi tylko, że zawdzięczamy to nie trój-panom, lecz „Solidarności” – jawnej i podziemnej. To „Solidarność” zmusiła trój-panów do ustępstw. Bo jest ustępstwem ze strony władzy totalnej przyznanie – choćby tylko w tekście ustawy – prawa do strajku robotnikom przeciw... „władzy robotniczej”. Jest ustępstwem ze strony władzy totalnej wprowadzanie – choćby ograniczonych – samorządów pracowniczych. Jest ustępstwem ze strony władzy totalnej tak znaczna – choć już ograniczana – autonomia wyższych uczelni. Wszystko to są ich, trój-panów, ustępstwa pod naszą, „Solidarności”, presją, są to ustępstwa wymuszone. Nawet jeśli M. Rakowski i jemu podobni chcą tego typu zmian, to i tak mogą się z tym swoim chceniem utrzymać w hierarchii władzy tylko dlatego, że ta jest stale zagrożona. Kto wie, czy nie zawdzięczają swoich stanowisk młodym ludziom, którzy stale wychodzą na ulice polskich miast.

A więc wyzwalamy się z socjalizmu w sposób normalny. Całkiem normalnie też toczyć się będą zapewne sprawy dalej. Presja



społeczna opadnie jeszcze bardziej. Wtedy szary aparatczyk ruszy do powolnego szturmowania odzyskując utracone terytoria społeczne. Póbowdzi w ten sposób masę, głównie robotnicze. I znowu rewolucja.

#### *6. Idzie jednak o to, by budować społeczeństwo post-socjalistyczne*

I znowu kontrrewolucja... I jeszcze słę mamy z niej cieszyć, bo wprowadzone zostaną jeszcze bardziej postępowe zmiany!? Jest w tej „normalności” zmian społecznych coś trudnego do zniesienia dla normalnego człowieka, który chciałby w starciu z ciemnizcami po prostu wygrać i rozpocząć budowę nowego. Tak właśnie myślą komuniści, myślą normalnie.

Powodem, dla którego tego typu życzenia zawodzą, jest to, co się dzieje po zwycięskiej rewolucji: przeistoczenie się elity rewolucyjnej w aparat władzy, a więc wymiana klas władców w społeczeństwie państwowym. Ten obrzydliwy postęp wprowadzany przez cynicznego kontrrewolucjonistę na cmentarzu rewolucyjnych nadziei trwa więc tak długo, jak długo istnieje społeczeństwo państwowe, jak długo monopol władzy jest podstawą organizacji społecznej. Jeśli więc prawdą jest teza nie-Marksowskiego materializmu historycznego, że system trój-panowania, socjalizm, jest szczytowym (a raczej – dołowym) etapem rozwoju społeczeństwa państwowego, to należałoby oczekiwać, że ów mechanizm zmiany społecznej zaczyna się już kończyć. I to właśnie u nas, jeśli prawdą jest inna teza tej koncepcji, iż Polska jest przodującym w rozwoju historycznym krajem socjalistycznym. U nas więc należałoby oczekiwać pojawienia się myśli politycznej, która nie jest, ściśle biorąc, polityczną, bo nie jest nastawiona na przejęcie władzy, zmierza natomiast do organizowania ludzi poza państwem.

I rzeczywiście: pojawiła się. Była to koncepcja, którą – nieco umownie – nazywać można KOR-owską. Była to idea samoorganizacji społeczeństwa poza państwem, idea wspólnego życia poza systemem, idea tworzenia więzi społecznych nie za pośrednictwem przez urzędnika państwowego. Nie rozumieli orędownicy tej koncepcji mas ludowych rozmywając je w magmowatym pojęciu „społeczeństwa” (gdzie drobny kapitalista wespół z robotnikiem i klerem mają współżyć solidarnie), a przede wszy-

stkim nie rozumieli roli rewolucji: tego, że dopiero w rewolucji powstają warunki dla przyspieszonego realizowania ich koncepcji na prawdziwie szeroką skalę. Tym niemniej rzecz najważniejsza: apolityczny program budowy więzi społecznych był w koncepcji KOR-owskiej silnie podkreślany. Z szacunkiem trzeba odnieść się do ruchu, o którym tak dziś mówi jeden z jego uczestników:

„To nie był ruch, który rozumował w kategoriach zwycięstwa i to była jego siła. (...) Nikt z nas nie myślał o zwycięstwie. Zwycięstwem była każda konkretna sprawa, którą się wygrywało, każdy numer gazety, zwiększenie jej nakładu, każde nowe środowisko, do którego się dotarło. Bardzo istotna była też dla nas czystość moralna środków, którymi walczyliśmy. (...) Ten ruch nie był nastawiony na zwycięstwo, na tym polegała jego siła”. (Wywiad z Sewerynem Blumsztajnem, *Kontakt* nr 5, 1983, s. 36-37).

Szacunek dla prawdy każe jednak powiedzieć, że ten ruch – mowa raczej o całym środowisku dość jednolitym ideowo niż o pluralistycznej instytucji – nie wytrwał w swoim programie wtedy, kiedy pojawiła się szansa na wielką politykę. Dziś łatwo to rzucić na „populizm” ruchu, jak to czyni Ewolucjonista. Ale to nie masy drukowały i rozpowszechniały ulotki z pieszczelami i widelcem w reakcji na IX Zjazd, o którym można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że wynikał z cynizmu dolów partyjnych. To nie masy ograniczały wolność prasy związkowej. To nie masy zamknęły lamy czołowych czasopism i wydawnictw ruchu dla koncepcji niezgodnych z obowiązującą go ideologią. Ideologią, w której miejsce idei samoorganizacji zajmowała koncepcja demokracji parlamentarnej, inicjatyw obywatelskich – partie polityczne, a nastawienie na konkret ustąpiło żądzy zwycięstwa. To z tej postawy płynęła koncepcja „rządu ocalenia narodowego” dla ratowania komunistycznej fasady PRL wysunięta wtedy właśnie, kiedy ratunku wymagała już „Solidarność”. To wszystko płynęło z elit politycznych stowarzyszonych z naszym Związkiem, nie z dolów członkowskich. Przeciwnie, masy były już traktowane po leninowsku: dajemy wam jedynie słuszną strategię i prowadzimy do zwycięstwa. Nic dziwnego, bo leninowska metoda traktowania ludu jest naturalnym wzorcem dla wszystkich elit politycznych, dla potencjalnych klas panujących.

Trudno winić o to ludzi: powstrzymać się od wejścia na drogę ku władzy może każdy z osobna, ale nie wszyscy razem. Trzeba raczej pomyśleć nad tym, co dało tę szansę na wielką politykę, szansę, która spowodowała, że środowisko autentycznych działaczy społecznych przekształciło się w elitę polityczną. Odpowiedź, jak mi się zdaje, jest taka: struktura „Solidarności”. Powołanie niezależnej od trój-panów scentralizowanej instytucji musiało doprowadzić do powstania państwa w państwie. Niezależny związek zawodowy w państwie socjalistycznym musi sam stać się państwem, pretendentem do władzy. I ma dwie tylko drogi do wyboru: wtopienie się w system za cenę zdrady mas, albo zastąpienie jednych trój-panów nowymi – też za cenę zdrady mas przesuniętą na nieco później.

A o co chodzi naprawdę? Chodzi o odebranie trój-panom władzy nad gospodarką i władzy nad kulturą. A to uczynić można tylko w jeden sposób – obchodząc państwo, oddając decyzje ciałom samorządowym, samoorganizując społeczeństwo. Krótko: realizując przedsięwzięty program KOR-u. Tyle że trzeba mieć świadomość, że w okresie spadku fali rewolucyjnej nie da się zrobić nic więcej niż prowadzić prace przygotowawcze (dla tego utopijny jest program Podziemnego Społeczeństwa) i że właściwym czasem dla realizacji tego programu jest właśnie czas rewolucji. Trzeba więc przygotowywać rewolucję w czasie stagnacji, a w czasie rewolucji budować pozapaństwowe struktury samorządowe, które zdolne będą przejąć gospodarkę i kulturę z rąk aparatu partyjnego, które będą w stanie przekształcić trój-władzę w zwykłą władzę polityczną. Takie struktury są przy tym z zasady antypaństwowe, bo im niżej, tym większe kompetencje ciał samorządowych; sejm robotniczy reguluje tylko sprawy wspólne dla zakładów produkcyjnych, rada nadzorcza pracowników zakładu rządzi się sama. Takie struktury nie dają więc możliwości wielkiej polityki. Takie struktury zmuszają działaczy społecznych, by pozostali społecznymi. I to jest najlepszą gwarancją tego, że w trakcie rewolucji nie zmienią programu. A w ten sposób może i mechanizm zmiany społecznej przybierze kształt bardziej ludzki.

Sam fakt powstania „Solidarności” stworzył wreszcie części kadry zarządzającej gospodarką alibi do podjęcia próby autonomizacji decydowania (nieprzypadkowo po 13 grudnia posypały się dziesiątki dymisji ze stanowisk dyrektorskich w przemyśle). To zaś oznaczało odebranie ostatnich atutów organizacjom partyjnym w fabrykach. I jakkolwiek trudno ocenić, kto odegrał większą rolę w przeforsowaniu operacji „stan wojenny”, aparat czy Moskwa, to w żadnym razie nie można pomijać roli, jaką odegrał ten pierwszy.

W wywiadzie Opozycjonista przedstawia szereg sugestii na temat charakteru władzy komunistycznej w Polsce. W sumie składają się one na mit reżimu z ludzką „gębą”, pełnego dobrej woli, lecz zadufanego w sobie i wpadającego w pułapki samooszustwa propagandowego (mit ten zresztą jest skwapliwie podtrzymywany przez samą partię za pomocą propagandy „szepcanej”). Optując za ewolucyjnymi zmianami, wspieranymi przez „Solidarność”. Opozycjonista stwierdza np., że „stosunek władza komunistyczna-społeczeństwo jest, jeśli porównać z sytuacją na Zachodzie, analogiczny do stosunku kapital-klasa robotnicza”. Jest to analogia efektywna, ale zupełnie fałszywa. „Państwo będące właścicielem środków produkcji nie pełni roli kapitalisty, bo w swoich decyzjach alokacyjnych i produkcyjnych nie kieruje się motywem akumulacji i generalnie – racjonalnością ekonomiczną. Jego celem jest reprodukcja struktur władzy i legitymujących te struktury dogmatów” \*.

Wskazując na korzyści płynące z faktu, że Polską rządzą ludzie mówiący po polsku, a nie komisarze sowieccy, Opozycjonista powołuje się na to, że „[władza] idąc drogą kariery nie zrywa ze społeczeństwem”. Jest to co najmniej wątpliwe. Kryteria wyobcowania władzy są – rzecz jasna – umowne. Ten, kto bierze na serio demonstracje pierwszomajowe lub transmitowane przez telewizję konsultacje ministrów z robotnikami, powie, że władza w Polsce „nie jest oddzielona barierą mitu kasty od społeczeństwa”. Według mnie władza w PRL-u wyobcowała się świadomie ze społeczeństwa w okresie gierkowskim. Podstawą separacji była

\* J. Staniszkis „Stan wojenny i jego dynamika”. *Kontakt* nr 2, Paryż 1983.

filozofia sprawowania władzy wyznawana przez ówczesną ekipę: „wy nie będziecie się nam micszać do rządów, a my wam pozwolimy żyć”. Rzecz jasna. Gierek oprowił tę niepisana umowę społeczną w ramy teatru politycznego.

Kluczowa dla analizy sytuacji sprzed 13 grudnia wydaje mi się odpowiedź na pytanie, czy aktorzy w tym teatrze wierzą w to, co mówią. Opozycjonista nie ma wątpliwości, że wierzą i wyciąga z tego daleko idące wnioski. Na scenie są dwie frakcje: „beton” i umiarkowani. Dogmatyczny, stalinowski „beton” chce obalić umiarkowanych, powołując się na rzekomo bardziej słuszną interpretację pisma świętego i praktyki społecznej. Umiarkowani w obawie przed palacowym przewrotem, który wtrąciłby Polskę w otchłań stalinizmu (wojny domowej?) wybierają mniejsze zło i wprowadzają stan wojenny. Jaruzelski wyrasta w ten sposób na męża opatrnościowego i tragicznego co prawda, ale jednak zbawcę Ojczyzny.

Cała ta interpretacja mistyfikuje prawdziwy stan rzeczy, ponieważ oparta jest na fałszywym założeniu, że w aparacie partyjno-państwowym podziały przebiegają wzdłuż granicy fanatyzm-pragmatyzm. Przyjmuje się w ten sposób, że gierkowski okres neutralizacji ideologii nie pozostawił żadnych śladów na strukturze reżimu. Tymczasem realizacja prokonsumpcyjnej, a-ideologicznej linii Gierka wytworzyła sytuację, w której fanatyczna wiara w religię komunizmu przestała być niezbędna, a nawet stanowiła przeszkodę w uczestnictwie we władzy (por. Grabski). Taki trening nie mógł być po prostu zapomniany. W swej podstawowej masie aparat partyjno-państwowy jest dzisiaj a-ideologiczny. Dla istniejących w nim, zwalczających się grup, frazeologia ideologiczna jest tylko narzędziem gry. Nie bez powodu za przywódcę „betonu” uważa się cynicznego i pragmatycznego Olszowskiego, a nie mamuta stalinizmu Siwaka czy Kociołka. W sferze metod sprawowania władzy, mimo tych czy innych zagrywek propagandowych, obliczonych na zjednanie sobie Moskwy, „beton” Olszowskiego niewiele różni od frakcji umiarkowanych. W sytuacji próżni ideologicznej, celem jednej i drugiej grupy jest reprodukcja struktur władzy w oparciu o zasady socjotechniki (gloryfikację socjotechniki nietrudno odczytać w wywiadach udzielanych przez doradców ekipy Jaruzelskiego – Górnickiego i Urbana).

Dowodem na to, że w sferze faktów społecznych prawie nie różni umiarkowanych od „betonu”, jest ewolucja linii Jaruzelskiego po 13 grudnia. Po wstępnej pacyfikacji, nastąpił nie spodziewanie okres względnej liberalizacji w prasie i kulturze, okres pojedynczych gestów wobec artystów i inteligencji oraz forsowanie *quasi*-reformatorskich ustaw w Sejmie. Nie trwało to jednak długo. Po rozwiązaniu „Solidarności” stopniowo przyjmowano coraz twardszy kurs, rezygnując z wszelkich prób osiągnięcia autentycznego *consensusu* społecznego. W efekcie mamy dzisiaj zmrożenie reformy gospodarczej, nawet w jej okaleczonej wersji, bezwzględny pacyfikację kultury oraz kampanię przeciwko Kościółowi. Cóż gorszego mogłoby spotkać społeczeństwo ze strony „betonu” z Olszowskim na czele? Nawrót do stalinizmu eksterminacyjnego wydaje się w obecnej sytuacji międzynarodowej raczej niemożliwy, zaś pragmatyczny Olszowski musiałby, niezależnie od własnych chęci, utrzymać pewien poziom praworządności i swobód obywatelskich, ze względu na funkcjonalność zarządzania państwem.

Przyjmując zatem, że rzeczywistą grzyźbą dla Polski w schyłku 1981 roku stanowiła ewentualność interwencji sowieckiej, a nie partyjnego zamachu stanu, Jaruzelskiego nie należałoby potępiać za wprowadzenie stanu wojennego, lecz za to, co zrobił potem.

Z podobnie fałszywej treści stanu rzeczy wynika oskarżenie „Solidarności” i opozycji demokratycznej o negatywny stosunek do partyjnego ruchu odnowy. Nie po raz pierwszy padają te zarzuty. Partyjny do niedawna politolog Lamentowicz mu do zarzucenia „Solidarności”, że atakowała partię *en bloc*, nie starając się różnicować sił występujących w jej łonie. Generalnie obaj panowie mają rację. Nigdy nie należy zaprzepaszczać możliwości zneutralizowania lub nawet zjednania sobie tych sił politycznych, które mają – co prawda – inny system wartości, ale są gotowe z nami współpracować w imię wyższych celów. Ale powaga tego zarzutu bierze się z przecenienia owego ruchu odnowy w partii. W rzeczywistości struktury poziome (a tym bardziej kluby typu „Polityka”) nie odegrały roli, jaką wyznaczyły im nadzieje społeczne. W najbardziej demokratycznych podobno wyborach na zjazd partii w 1981 roku wyłoniono Komitet Central-

ny, którzy rzęsiwym brawami nagradzali ulę występienia urędowników struktur poziomych (ktęrzy zresztę przeważnie przepełnili w wyborach na niższych szczeblach), lecz Albin Siwaka oraz jego stalinowską wyklinię rzeczywistości. Renkeja struktury biurokracyjnej na postulowały „Solidarność” była wroga nie dlatego, że „Solidarność” zorganizowała po IX Zjeździe kongreskę propagandową na PZPR, lecz dlatego, że partia jako taka, reprezentowana przez aparat, motywowana była wyłącznie przez samozachowawczość i chęć utwierdzenia się w prawie do dalszego sprawowania władzy absolutnej, zaś żądania „Solidarność” stały z tym w sprzeczności.

Należy jednak postawić pytanie, czy nie istniała możliwość sprawnikowania takiej sytuacji, w której aparat stałby się neutralny wobec żądań społecznych lub zaczął się częściowo z nimi utożsamiać. Myślę, że taka szansa była i została nawet wyrytkulowana – przed Sierpniem przez Stefana Kisielewskiego \*, a później przez Jacka Kuronia. Proponowali mianowicie podjęcie próby porozumienia z Moskwą ponad granicami rządzącej ekipy. Propozycje te były dość niejasne: sądzić można, że Kuroń myślał o uzyskaniu od Moskwy zgody na wprowadzenie w Polsce samorządowej demokracji i quasi-pluralistycznej ekipy rządzącej. Taki projekt był – moim zdaniem – dość nierealistyczny. Ale efekt psychologiczny, jaki wywarłaby na biurokracji partyjno-państwowej sama informacja o nawiązaniu takich stosunków, byłby znaczący. Sądzę, że zneutralizowałyby to przynajmniej część aparatu zwalczającego „Solidarność”, zaś z drugiej strony, poszerzyło grono zwolenników struktur poziomych, jako najbardziej obliczającej platformy koegzystencji tak różnych sił politycznych, jak Moskwa, aparat i „Solidarność”.

Z wywiadu udzielonego podziemnemu czasopismu *CDN* (nr 47/83) przez Lecha Wałęsę wynika, że Moskwa gotowa była nawiązać wstępny kontakt z „Solidarnością” \*\*. W wywiadzie tym

\* Por. *Res Publica* nr 1, 1979. Kisiel wrócił do tego problemu w 1980 r. (*Res Publica* nr 7) pisząc, iż należy „wynegocjować u Rosji zgodę na przeniesienie polityczno-ustrojowe (granice ich wyznacza realia sytuacji gospodarczej i psychologicznej) za cenę szerszego akceptowania trwającej stabilizacji geopolitycznej...”

\*\* Według późniejszego dementi Wałęsy, był to wywiad nie autoryzowany (przypr. red.).

Waleśu bije się w piersi z powodu zlekceważenia przez niego osobiście, a także przez innych przywódców „Solidarności”, zaproszeń, które wielokrotnie z różnych okazji otrzymywali z ambasad państw bloku komunistycznego. Innym sygnałem był telegram przewodniczącego międzynarodówki komunistycznych związków zawodowych, Gaspara Sandora, przysłany na I Zjazd Związku. W świecie, w którym nawet mecze ping-pongowe stanowią wstępną formę dialogu dyplomatycznego, okazjonalne zaproszenia z ambasady sowieckiej i innych krajów „zaprzyjaźnionych” miały niewątpliwie swój ciężar gatunkowy.

Nie chcę się wdawać w analizę możliwości nawiązania rzeczywistego dialogu „Solidarności” z Moskwą, gdyż wynagiloby to osobnego, obszernego rozwinięcia. Niemniej, skoro Moskwa od dłuższego już czasu toleruje fenomen węgierskiej reformy gospodarczej wraz z wszystkimi jego implikacjami, nie można z góry wykluczać, że byłaby również w stanie zaakceptować kontrolowaną demokrację oraz „Solidarność”, świadomą granic swoich możliwości.

Opozycjonista, poddając krytyce taktykę „Solidarności”, nie dość przejął się własnym postulatem nie poddawania się emocjom. Toteż gdy mówi on, że „wojny mogło nie być”, brzmi to zbyt kategorycznie, a na dodatek oparte jest na fałszywych przesłankach. Nie odrywając się od rzeczywistości i nie przypisując władzy na siłę cech, których nie ma i nie miała, można byłoby zaledwie postawić pytanie: „wojny mogło nie być?” Być może.

Andrzej Zwaniński



# system sowiecki

Jan Pakulski

## UWAGI O UPRAWOMOCNIENIU WŁADZY W SYSTEMIE SOWIECKIM

O znaczenie terminów<sup>1</sup> warto się spierać jedynie wówczas, gdy utrudniają one proces poznania. Tak właśnie stało się z pojęciem władzy prawomocnej (*legitimate authority*) w dziedzinie określanej po angielsku jako *Soviet studies*. Cztery opublikowane ostatnio książki<sup>2</sup> ilustrują ten problem ze szczególną ostrością i prowokują do kilku krytycznych uwag.

Samo pojęcie prawomocności (*legitimacy*) jest wieloznaczne i trudno uchwytne. Wystarczy wspomnieć, że prawomocność jest względna, stopniowalna, zmienna i wieloaspektowa; ci sami przywódcy mogą być uznani za prawowitych przez jednych, a za uzurpatorów przez innych; uznanie i podporządkowanie ujawniać się mogą na różnych szczeblach władzy w rozmaitych formach i natężeniu; podstawy prawomocności ulegają ciągłym zmianom i mogą być analizowane w takich wymiarach, jak wiarygodność, posłuch, prestiż, czy też w tak odmiennych aspektach, jak działalność gospodarcza, administracyjna, propagandowa itp.

Weberowska typologia prawomocności także mnoży znaki zapytania. Autor wyróżnia do prawda trzy główne podstawy legitymizacji (tradycję, charyzmę przywódcy i powszechnie uznane przepisy prawa), lecz typologia racjonalności, która jest podstawą wyróżnionych typów władzy, sugeruje istnienie co najmniej

jednego dodatkowego rodzaju prawomocności, opartego o powszechną akceptację celów reprezentowanych przez władzę<sup>3</sup>. Wszyskie te niejasności, plus sam fakt, iż są to „typy idealne” – konstrukcje nie występujące nigdy w „czystej” postaci i nie posiadające wyraźnych odnośników empirycznych, stają się źródłem częstych nieporozumień i w konsekwencji zniechęniają, niast rozjaśniać, rozważania i analizy społeczne.

Spróbujmy zasygnalizować w możliwie zwięzły sposób niektóre problemy wynikłe z niejasności pojęcia władzy prawomocnej w analizach systemu sowieckiego.

## I

Weberowska typologia władzy oparta jest na założeniu, iż prawomocność jest główną alternatywą przemocy. Na dłuższą metę żadna władza nie jest w stanie „siedzieć na bagnietach”, czyli opierać swe rządy na terrorze, strachu czy też bezrefleksyjnej rutynie. Posłuszeństwo rządzonych musi, przynajmniej częściowo, wynikać z ich dobrowolnego i świadomego podporządkowania się decyzjom rządzących, a to z kolei wiąże się z uznaniem władców za prawowitych, mających prawo wymagać posłuchu.

Ten typ myślenia znajduje odbicie w analizach sowieckiego systemu władzy i częściowo wyjaśnia charakterystyczną ewolucję sowieckich studiów. O ile w latach pięćdziesiątych główny nacisk analiz spoczywał na badaniu „totalitarnych” mechanizmów przemocy i manipulacji<sup>4</sup>, o tyle w ostatniej dekadzie pojawia się coraz więcej sugestii, iż system sowiecki oparty jest na prawomocności<sup>5</sup>. Za podstawę tej prawomocności przyjmuje się zgodnie z sugestiami Webera albo uznane przepisy regulujące działalność maszyny partyjno-państwowej, albo autorytet przywódcy („kultury” Stalina, Chruszczowa, Breżniewa), albo tradycję (zarówno rewolucyjną, jak i rosyjski nacjonalizm), albo też powszechnie akceptowane cele (socjalizm, komunizm).

Zacznijmy od najpopularniejszej zapewne wśród współczesnych amerykańskich sowiektologów interpretacji biurokratycznej, itakującej system sowiecki jako gigantyczne zbiurokratyzowane przedsiębiorstwo lub, używając znanego zwrotu Meyera, „ZSRR Inc.”<sup>6</sup>.

Jest to, w najlepszym wypadku, wysoce naciągnięta analogia, bowiem w swej codziennej działalności sowiecki system polityczno-administracyjny nie kieruje się formalną racjonalnością<sup>7</sup>, ani też nie wykazuje cechy, która – w ujęciu weberowskim przyjętym przez współczesne nauki społeczne – stała się definicyjnym elementem biurokracji. Tą cechą jest praworządność lub raczej „przepisorządność”, która polega na przestrzeganiu bezosobowych i trwałych przepisów. Ogólne i sformalizowane normy obowiązują w relacjach przełożony-podwładny, urzędnik-klient oraz pracodawca-zatrudniony. Oznacza to, że działania urzędników są przepisowe, jak również to, że rekrutacja i awanse dokonują się, przynajmniej w teorii, wedle kryteriów merytokracyjnych<sup>8</sup>.

Nawet pobieżny obserwator sowieckiego systemu polityczno-administracyjnego łatwo dostrzeże, że odbiega on od tak rozumianego modelu biurokracji niemal we wszystkich jego istotnych elementach. Zacznijmy od tego, że formalne przepisy i prawa nigdy nie stanowiły istotnego wyznacznika czy ograniczenia w posunięciach władz. Zwracało na to uwagę wielu badaczy, a szczególnie Hough, Nove, Grossman i Conquest<sup>9</sup>. Na skutek słabości formalnych przepisów (wynikłej po części z ich arbitralnego wprowadzania) rozdział pomiędzy sferą urzędową a prywatną w krajach typu sowieckiego uległ rozmyciu. Prerogatywy władzy i urzędu przenikają wszystkie sfery życia i nierzadko rozciągają się na rodzinę i znajomych. Świadectwem tego jest popularność takich terminów, jak *blat*, *protekcja* czy przysłów typu *blat silnee sownarkoma*. Ich polskimi synonimami są dobrze znane „płecy”, „chłody”, „znajomości” itp. Odpowiednikami tego zjawiska na wyższych szczeblach administracji są klikowość i klientelizm, na które zwróciło uwagę szereg czołowych sowiecologów. Stanowią one nie tyle cechy patologiczne, co podstawowy mechanizm działania. Należy także przypomnieć, że dostęp do większości wyższych stanowisk w ZSRR i krajach bloku wschodniego regulowany jest przez *nomenklaturę*; merytokracyjne kryteria, takie jak wykształcenie, kwalifikacje i doświadczenie, odgrywają drugorzędą rolę<sup>10</sup>.

Wątpliwości budzi także sama zbitka pojęciowa „władza biurokratyczna”, bowiem weberowskie pojęcie biurokracji odnosi

się do sposobu sprawowania władzy, nie zaś charakteru czy składu rządzącej elity. Jak to niejednokrotnie podkreślał autor, system biurokratyczny może być stosowany w kontekście wielu różnych typów władzy. Pytanie o to, jak rządy są sprawowane, nie jest tożsame z pytaniem o to, kto rządzi. Tak więc z faktu, iż w społeczeństwach typu sowieckiego występują zbiurokratyzowane organizacje, nie wynika to, że rządzą w nich „urzędnicy” w stylu biurokratycznych zasad.

Nie idzie tu bynajmniej o czysto semantyczną konwencję, bowiem z pojęciem biurokracji związany jest cały zespół niemal automatycznie narzucających się wyobrażeń. Najlepiej jest to widoczne w analizach znanego amerykańskiego sowietologa J. Hough'a<sup>11</sup>. Podkreśla on, że sowiecka machina rządowa jest zbiurokratyzowana, lecz z przesłanki tej wyciąga konkluzję, iż „totalitarne” modele nie nadają się do analizy sowieckiego aparatu władzy, bowiem aparat ten działa zgodnie z zasadami biurokratycznego podporządkowania. Sugeruje także, że w Związku Sowieckim mamy do czynienia z „instytucjonalnym pluralizmem” i swobodnym udziałem (*participation*) obywateli w sprawowaniu władzy. W gruncie rzeczy więc system ten nie różni się zbytnio, zdaniem Hough'a, od amerykańskiej administracji publicznej czy też wielkich korporacji przemysłowych.

Obiekcje nasuwają się także przy lekturze tych sowietologicznych analiz, które akcentują charyzmatyczne cechy władzy politycznej<sup>12</sup>. Po pierwsze, charyzmatyczny przywódca cieszy się autentyczną popularnością, jest ludowym bohaterem, prorokiem, wodzem, za którego poświęca się życie. Można argumentować, że taką postacią był Stalin; dużą popularność zyskali także Tito, Ceausescu oraz, na bardzo krótki okres czasu, Gomulka. Poza nimi jednak żaden z sowieckich i wschodnioeuropejskich przywódców nie cieszył się powszechną i autentyczną popularnością. „Kulty” rozmaitych politycznych wodzów były i są w dużej mierze produktem propagandy, a ich potiomkinowska fasadowość zostaje zwykle ujawniona przez każdy z kolejnych kryzysów. Po drugie, charyzma przysługuje żywym przywódcom, gdy tymczasem w Związku Sowieckim od czasu śmierci Stalina mamy do czynienia raczej z „kultem przodków” – Lenina i zmarłych ojców rewolucji (tych, którym udało się umrzeć przed

denuncjacji) Trudno także mówić o ciepłości czy przekazywaniu przywódce charyzmy, bowiem każda sukcesja prowadzi do potępienia uchybieni poprzednika<sup>13</sup>. Sam kult Lenina jest zjawiskiem wtórnym, które – jak to świetnie określiła Nadieżda Mandelsztam – „wyznacza mostapieczną tęsknotę za przed stalinowską przeszłością, którą idealizuje się jako latą swobody, entuzjazmu i twórczych inicjatyw”. Po trzecie, charakterystycznym korelatem władzy charyzmatycznej jest kształtowany przez nią typ organizacji społecznej, określanej często jako „sekt”. Jest to na ogół słabo zorganizowane zbiorowisko „uczniów”, „wyznawców” i „stronników”. Ten amorfizm społeczności charyzmatycznych wynika z arbitralności władzy „pomazanych”. Są oni źródłem praw i norm, a ich osobiste – często zmienne – sympatie i antypatie kształtują zasady działania i hierarchię wpływów. Taki obraz trudno pogodzić z wysocę zorganizowaną i skomplikowaną strukturą sowieckiego społeczeństwa czy jakiegokolwiek uprzemysłowionego społeczeństwa w ogóle. Ogromny zakres władzy komunistycznych eli partyjno-rządowych w społeczeństwach typu sowieckiego jest produktem takiej właśnie złożonej struktury społecznej; wynika on z koncentracji władzy w ręce partii i dominującej pozycji, jaką partia zajmuje *vis-à-vis* innych organizacji. Stalin i jego następcy są więc nie tyle charyzmatycznymi burzycielami społecznego porządku, co nieodrodnymi dziećmi bolszewickiej partii, a ściślej mówiąc, produktami specyficznej struktury władzy ukształtowanej w okresie wojny domowej i na początku lat dwudziestych i przeniesionej na grunt krajów satelickich.

Podobnie wątpliwe wydają się sugestie, jakoby władza w społeczeństwach typu sowieckiego, a szczególnie w ZSRR, uzyskiwała prawomocność tradycyjną<sup>14</sup>. Pomijając fakt, że porewolucyjna historia Rosji jest stosunkowo krótka i nie wykazuje ciągłości, której wymaga tradycyjna legitymizacja, społeczny kontekst władzy w Związku Sowieckim wydaje się – tym typem uprawomocnienia. Chodzi o to, że władza tradycyjna wyrasta z ustalonych i uważanych struktur społecznych, jej nośnikiem jest na ogół religia, a rolę przekazników pełnią grupy pierwotne (zwykle rodzina). Taki obraz wydaje się sprzeczny z kluczowymi elementami sowieckiej rzeczywistości – bezprecedensowymi

Andrzej Zwaniński

## KTO WYWOŁAŁ WOJNĘ?

*Aneks 31* przestrzegając przed uwładem myśli politycznej wzywa do analizy „syndromu «Solidarność»”. Ale zbożny cel przyświecający wszelkim obrachunkom z przeszłością, z niespełnionymi projektami politycznymi w szczególności, nie uswieca bynajmniej środków. Emocjonalna polemika z mitami w najlepszym razie może być poezją, w dziedzinie myśli politycznej rzadko otwiera nas na nowe możliwości. Zazwyczaj mit zastępuje antymitem, a sztandarowym hasłem (rewolucji) przeciwstawia frazes polityczny (kontrrewolucji). I tak krytyka linii „Solidarność”, przedstawiona przez Opozycjonistę w wywiadzie „Wojny mogło nie być”, w dużym stopniu pokrywa się z oficjalną wersją przyczyn wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Nie piszę, tego by zdyskredytować jego argumentację; daje się ona uzasadnić na gruncie przewartościowań psychospołecznych, będących reakcją na wprowadzenie stanu wojennego. Jednych „czarna niedziela” utwierdziła w kurczowym trzymaniu się linii „Solidarność”, innych sprowokowała do odrzucenia jej *en bloc*. Jednym i drugim uniemożliwiła zobiektywizowanie sytuacji i w następstwie rozszyfrowanie tkanki podskórnych napięć społecznych w Polsce.

Opozycjonista ustawił dyskusję od samego początku fałszywie. Stwierdza on, że teza o niereformalności systemu komu-

nistycznego jest błędna. Jest to mniej więcej tak, jakby teolog przystępujący do dyskusji na temat zasadniczy zaczął od stwierdzenia: „teza o nieistnieniu Boga jest błędna”. Kwestia reformowalności systemu pozostaje nie rozstrzygnięta i poszukiwanie dowodów historycznych na poparcie „tak” lub „nie” jest zajęciem jałowym. Przykłady podawane przez Opozycjonistę są naciągane, ponieważ meandry polityki sowieckiego komunizmu (NEP, XX Zjazd KPZR itd.) niczego ostatecznie w sferze faktów materialnych nie rozstrzygnęły. Jediną płodną intelektualnie postawą myślową wobec tej kwestii jest pascalowskie ujęcie problemu istnienia lub nieistnienia Boga. Trzeba założyć, że Bóg istnieje, ponieważ przyjęcie założenia przeciwnego prowadzi do nihilizmu. „Solidarność” powinna była przyjąć, że komunizm jest reformowalny, ponieważ odrzucenie tego musiałoby prowadzić do walki zbrojnej, biernego oczekiwania na „wojnę narodów” lub atrofii moralnej. Prawem paradoksu, w dzisiejszej Polsce w reformowalność systemu wierzy „Solidarność podziemna”, która mnoży apele do władzy, w przeciwieństwie do grupy owych „bezpartyjnych bolszewików” – jakby powiedziano w latach pięćdziesiątych – którzy zdecydowali się na kolaborację z reżimem ze świadomością nieodwracalności sytuacji. Nie można jedna przesądzać, że wzajemne interakcje reżimu komunistycznego z „Solidarnością” przez czas dłuższy spowodowałyby ewolucyjny samoruch systemu. Ale – powtarzam – należało to założyć.

Krytyka „Solidarności” we wspomnianym wywiadzie sprowadza się do jednego, generalnego zarzutu, że „Solidarność” chciała za dużo, czym zmusiła władzę do brutalnego kontrataku. Nie jest to teza ani nowa, ani oryginalna. Była *leitmotivem* większości nocnych Polaków rozmów po 13 grudnia. Rzecz zatem nie w samej myśli, ale w jej uzasadnieniu. Wygłaszając taki pogląd należałoby dopowiedzieć, gdzie powinna być leżać granica żądań „Solidarności” i określić kryteria kalkulacji politycznej („nie posuwać się zbyt daleko”), o której wspomina Opozycjonista. Bez spełnienia tych warunków wszelka dyskusja spelza nieuchronnie na tematy zoologiczne („Nawet chomik przyciśnięty do muru będzie gryzł, a co dopiero partia komunistyczna będąca u władzy”).

Nie można krytykować przywódców „Solidarności” nie biorąc pod uwagę dynamiki ruchu. Dynamika ta nie stwarzała im bynajmniej szerokiego pola manewru. Nie wiązało się to wyłącznie z rzekomym parciem „radykalnych” dolów do konfrontacji z władzą komunistyczną. W rzeczywistości nastawienia „dółów” związkowych były bardzo niekonsekwentne. W momentach frustracyjnych masy związkowe w większości parły do ostatecznego rozstrzygnięcia (nie zdając sobie zresztą sprawy z tego, na czym miałyby polegać), po przesileniu usatysfakcjonowane były rozwiązaniem kompromisowym. Najbardziej charakterystycznym przykładem tego był kryzys bydgoski. Ale trzeba również wziąć pod uwagę skalę oczekiwań, jakie wiązano z działalnością „Solidarności”. Kierownictwo Związku, nie chcąc utracić masowego poparcia, starało się w pewnym stopniu zaspokoić wszystkie. To był błąd i w tym punkcie zgadzam się z Opozycjonistą: „«Solidarność» nie potrafiła dać sobie rady z tym, co już wywalczyła, parła dalej do przodu”.

Jeżeli pisze się o okresie posierpniowym jako okresie samoograniczającej się rewolucji, to jednak dopowiedzieć trzeba, że samoograniczenie w większym stopniu dotyczyło środków (wyznaczenie się przemocą) niż celów. W pewnym momencie Lech Wałęsa prawdopodobnie zdając sobie z tego sprawę usiłował ograniczyć poziom żądań poprzez zdyscyplinowanie związkowców. Nie był jednak w tym konsekwentny. Skończyło się na tym, że pomimo gróźb wykluczenia strajkujących ze Związku, jeździł od jednego dzikiego strajku do drugiego i ostatecznie uznawał je wszystkie za słuszne. Robił to w obawie przed rozłamem w Związku. Ten paraliżujący strach przed rozłamem – moim zdaniem – fatalnie zaciążył na historii „Solidarności”.

„Solidarność” stała się organizacją-matką wielu, niezależnych od oficjalnego, trendów i dążeń społeczno-politycznych. W ramach „Solidarności” działa KPN, opozycja socjaldemokratyczna, ugrupowania chadeckie. Linia polityczna „Solidarności” była efektem mediacji pomiędzy różnymi grupami interesu. Samoograniczenie się „Solidarności” było w tej sytuacji niemożliwe, forsowanie pewnego pakietu postulatów kosztem innego wywoływało zawsze sprzeciw jakiegoś lobby. W związku z tym przez 16 miesięcy „Solidarność” właściwie nie zdołała wykształcić hierarchii ważności celów i interesów.



Rozłam w Związku nie byłby nieszczęściem, a wręcz przeciwnie – mógł ocalić przed likwidacją i rozbiciem główny trzon „Solidarności”. Komuniści czuli się porażeni nie tyle poziomem żądań „Solidarności”, co mitem masowego poparcia udzielanego tym żądaniom. Separacja „Solidarności” od grup najbardziej radykalnych politycznie mogła wyjść na dobre Związkowi. Nie w tym sensie, że Związek pozostawiłby KPN czy Kluby na pożarcie komunistom, lecz w tym, że partie owe i grupy, biorąc na siebie zadanie artykulacji pewnych oczekiwań narodowych i społecznych, odciążyłyby napór władzy na „Solidarność”. Takie rozwiązanie umożliwiło kierownictwu Związku świadomy wybór celów, skoncentrowanie uwagi na najważniejszych i zwrócenie na nie uwagi związkowców. Kluczowymi kwestiami były – moim zdaniem – samorządy w fabrykach i praworządność w państwie. Sprawy dostępu Związku do telewizji, naprawy oświaty i dziesiątki innych, negocjowanych przez Związek, można było tymczasem pozostawić słabszym, ale wyspecjalizowanym organizacjom i stowarzyszeniom.

Dokonując obrachunków z minionym sezonem wolności w PRL-u, Opozycjonista w ogóle nie uwzględnił jednego z głównych aktorów na politycznej scenie – aparatu partyjnego. To nie tylko Moskwa oddziaływała na procesy decyzyjne w ekipie rządzącej, ale także aparat partyjny. Ścisłe kierownictwo państwa i partii, jak na kogoś przyciskanego do muru, dość umiętnie lawirowało podczas 16-miesięcznego obstrzału i niezależnie od takich czy innych żądań „Solidarności”, oddało niewiele pozycji. Nie sądzę też, żeby działało w poczuciu jakiegoś nadzwyczajnego zagrożenia mając za plecami milicję i wojsko. To raczej aparat partyjny niskiego i średniego szczebla, nie mający środków przemocy w zasięgu ręki, wpadł w panikę. Sekretarze partii w zakładach i dzielnicach, przeważnie słabo lub w ogóle nie wykształceni, żyli przy partii jak żona przy mężu. Nie eskalacja żądań „Solidarności”, bo ta następowała gdzieś ponad ich głowami, ale sam fakt istnienia Związku naruszał podstawy ich egzystencji. Partyjni czynownicy żyjący z dystrybucji tego minimum władzy, które pozostawiła im „góra”, zobaczyli nagle, że mają puste ręce. Aparat partyjny, nie mający za sobą silnego centrum, znalazł się w całkowitej izolacji.

przetrasowaniami społecznymi, którym uległo społeczeństwo w latach porewolucyjnych i ze zmasowanymi atakami propagandy na tradycję religijną oraz wychowawcze wpływy rodziny. Istnieją, co prawda, pewne analogie pomiędzy ortodoksyjną religią a marksizmem sowieckim oraz pomiędzy „kultami” carów i partyjnych przywódców, lecz są to analogie powlerzelowne.

Argumenty rzeczników tradycjonalizacji zawierają jednakże szereg istotnych i celnych spostrzeżeń. Władze sowieckie niewątpliwie usiłują stworzyć rodzaj tradycji poprzez propagandowe zleksztalanie porewolucyjnej historii, kult Lenina i rozbudowany świecki rytuałizm. Uderzające są także częste odwołania do rosyjskiej tradycji narodowej i włączanie do punkteonu bohaterów takich postaci, jak Piotr Wielki, caryca Katarzyna czy Suworow. Wysiłki te świadczą jednak nie o tradycjonalizmie władzy, lecz o czymś wręcz przeciwnym: o braku oparcia w „sowieckiej tradycji”, która mogłaby zapelniać lukę po tepionym prawosławiu i kulcie cara. Świecki rytuałizm i nacjonalizm są próbami reanimacji rewolucyjnej tradycji poprzez transfuzję elementów narodowych. Sukcesy tej operacji są jednak wątpliwe, szczególnie wśród licznie rosnących nierosyjskich narodowości w Azji Centralnej.

Pozostaje jeszcze do omówienia ostatni argument, zgodnie z którym władza w społeczeństwach typu sowieckiego opiera się na prawomocności wynikłej z powszechnego uznania „celów”, z którymi się ona identyfikuje. I w tym wypadku podobnie pojawiają się poważne wątpliwości. Po pierwsze, trudno zdecydować, co jest naczelnym celem władzy. Komunizm? Uprzemysłowienie? Potęga militarna? Pokojowe współistnienie? Powszechny dobrobyt materialny? Część z tych „celów” jest niejasna (np. komunizm), część jest wzajemnie ze sobą sprzeczna (np. komunizm w jego marksowskiej wersji i potęga militarna), a część jest ewidentnie nierealistyczna (np. powszechny dobrobyt materialny). Poza tym można wątpić, czy tak ogólnie rozumiane cele, nawet jeśli są logicznie spójne i jasne, są identyfikowane z sowiecką władzą.

Niewątpliwie w społeczeństwach typu sowieckiego istnieje część która w zbieżność pomiędzy dążeniami władz i intere-

sami pewnych części społeczeństwa. Zwracali na to uwagę m.in. Zaslavski, Konrad i Szelenyi<sup>16</sup> oraz wielu innych socjologów. Trudno jednak uznać tę częściową zbieżność interesów za podstawę prawomocności władzy dlatego, że jest ona nietrwała i wydaje się związana nie tyle z głoszonymi celami, ile z pewnymi konsekwencjami polityki sowieckiej. Jeśli zaś chodzi o rzeczywisty i naczelnny cel władzy, to jest nim niewątpliwie samoutrwalenie i niepodzielne rządzenie. Rezultatem jest to, co nazywa się „autotelizacją władzy”, którą można określić krótko sloganem „władza dla władzy”. Można oczywiście analizować także głoszone cele ideologiczne i propagandowe, nie mają one jednak większego praktycznego znaczenia jako rzeczywiste cele i programy działania. Tak pojęta celowość nie może oczywiście stać się podstawą legitymizacji władzy i musi być starannie maskowana.

## II

Żadne z podejść opartych o weberowską alternatywę przymoc-prawomocność nie były w stanie uchwycić istotnego elementu stosunków władczych w społeczeństwach typu sowieckiego, mianowicie warunkowego podporządkowania rządzonych. Uwaga ta stosuje się przede wszystkim do krajów satelickich, takich jak Polska, Węgry i Czechosłowacja, gdzie władza komunistyczna była wniesiona na bagnety Armii Czerwonej. Ścisłe rzecz biorąc, w społeczeństwach tych nie mamy do czynienia ani z powszechną przemocą, ani z apatią, ani z uznaną prawomocnością w żadnej z jej weberowskich odmian. Wydaje się natomiast, że podstawowym mechanizmem zapewniającym posłuszeństwo rządzonych jest subtelna kalkulacja kosztów i zysków wynikłych z (nie-)subordynacji. U podstaw tej kalkulacji leży przeświadczenie, iż rządzący (przysłowiowi „oni”) działają zgodnie ze znanymi, acz niekoniecznie akceptowanymi, zasadami. Wiadomo, jakie zachowania będą nagradzane, a jakie ściągają ryzyko sankcji, lecz – co należy podkreślić – wiedza ta nie ma charakteru normatywnego, a posłuszeństwo podyktowane jest najczęściej względami pragmatycznymi. Ważne jest, że system taki zapewnia posłuch rządzonych bez konieczności częstego

użycia siły czy nawet groźby przemocy. Równocześnie nie wymaga on żadnej z legitymizujących podstaw – charyzmy, tradycji czy uznanych przepisów prawa, niemniej, podobnie jak to jest w wypadku władzy charyzmatycznej, pozostawia on rządzącym duży margines swobody w definiowaniu i interpretacji obowiązujących zasad postępowania.

Taka interpretacja zdaje się lepiej wyjaśnić wybuchy społecznych protestów w krajach bloku sowieckiego (jak również brak tych wybuchów w ZSRR) aniżeli schematy weberowskie. Kieruje ona uwagę na takie czynniki, jak jasność (w oczach rządzonych) obowiązujących zasad, a przede wszystkim zdolność nagradzania i karania przez system (nie-)pożądanych zachowań. Zachwianie lub niejasność zasad (jak na przykład po „tajnym raporcie” Chruszczowa), a szczególnie niezdolność w odczuciu rządzonych do efektywnego pozytywnego i negatywnego sankcjonowania zachowań przez aparat władzy – co zwykle jest następstwem ekonomicznego kryzysu i politycznych spięć w łonie elity – prowadzi do masowych buntów i wystąpień antyrządowych. Dlatego właśnie masowe wybuchy protestu następują po politycznych przesileniach i kierują się często przeciw częściowo już zreformowanej (przeto bardziej, zdawałoby się, popularnej), lecz jednocześnie osłabionej władzy. Podobnie argumentować można, iż stabilność władzy w krajach bloku wschodniego wynika nie tyle z jej uznania, ile z przekonania rządzonych, że konformizm popłaca, a otwarty sprzeciw nie jest wart ryzyka.

### III

Zarysowany powyżej mechanizm nie wyczerpuje, rzecz jasna, zagadnienia podporządkowania. W społeczeństwach typu sowieckiego można także zaobserwować elementy prawomocności, pomimo że na dłuższą metę nie stanowią one podstaw efektywnego rządzenia. W pewnych okresach czasu jednak, prawomocność zdaje się nabierać większego znaczenia niż w innych. Wiąże się to z przekształceniami historycznymi, których przebieg zilustrować można jako trzyetapowy proces.

W pierwszym etapie, który nazwać można „przejęciem władzy”, posłuszeństwo rządzonych zapewniane jest przez aparat

przemocy. Prawomocność odgrywa niewielką rolę i uzyskiwana jest głównie poprzez krytykę przeszłości i potępienie politycznych oponentów. W ten sposób nowa władza, pomimo że pozbawiona uznania, przedstawiana jest jako pozytywna alternatywa dyskredytowanej opozycji.

Przejdźcie do drugiego etapu, nazwijmy go „konsolidacją”, związane jest ze stopniowym zastępowaniem przemocy przez kontrolę instytucjonalną i manipulację. Zabiegi legitymizacyjne polegają teraz nie tyle na dyskredytowaniu przeciwników, ile na stwarzaniu pozorów praworządności i akcentowaniu przyszłych korzyści wynikających z realizacji ideologicznych celów elity. Ów apel o uznanie „na kredyt” połączony jest z obciążeniem rzeczywistej lub wymagowanej opozycji odpowiedzialnością za błędy i uchybienia.

Wreszcie wkroczenie w trzeci etap – „reprodukcji systemu” – oznacza stopniowe zastępowanie instytucjonalnej kontroli przez subtelniejszy mechanizm dominacji kulturowej, to jest kontroli sprawowanej pośrednio poprzez kształtowane postawy i systemy wartości. W tym stadium legitymizacyjna formuła odgrywać zaczyna większą rolę i uwzględnia przeszłe osiągnięcia („dorobek socjalizmu”). Pamięć pierwszego okresu ulega zatarciu (lub wypaczeniu przez cenzurę), a wysiłki propagandy idą w kierunku utożsamienia władzy komunistycznej z narodowym państwem (lub władzą w ogóle).

Ważną konsekwencją tych przemian jest to, że o ile błędy i niepowodzenia w pierwszej i drugiej fazie dadzą się „wyjaśnić” jako dywersja, pozostałości przeszłości lub „problemy dojrzewania”, o tyle w końcowym etapie kryzysu – które występują z zadziwiającą regularnością – obciążają konto nowych władz i osłabiają ich częściową prawomocność. Prowadzić to może do swoistej „regresji”, to jest powrotu do stosowania przemocy na skalę masową. Ten cykl kryzysowo-regresyjny, którego obecność zdają się potwierdzać wypadki w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech, nadaje nowy wymiar badaniom procesów legitymizacji w krajach bloku wschodniego.

## IV

Prawomocność władzy jest względna nie tylko w stosunku do formalnych kategorii i grup społecznych, lecz także w stosunku do różnych aspektów decyzji i różnych elementów struktury społecznej, szczególnie jeśli te ostatnie są identyfikowane bezpośrednio z polityką i świadomymi decyzjami rządzących. Jest to szczególnie ważny moment w społeczeństwach, w których prywatna własność środków produkcji – a tym samym i rynek – zostały poważnie ograniczone. Częściowa eliminacja mechanizmów rynkowych pociąga za sobą ograniczenie bezosobowych, „automatycznych” regulatorów i determinantów gospodarki. Oznacza to, że zasady podziału dóbr – a w konsekwencji także system nierówności społecznych – przestają być postrzegane jako „dane” i „naturalne”, a przeto pozostające pod kontrolą władz. Zaczynają one natomiast funkcjonować w świadomości rządzących jako wynik świadomych posunięć i decyzji rządzących, które – jak każdy kontrowersyjny aspekt polityki społecznej – wymagają uzasadnienia. Innymi słowy, odpowiedzialność władz w społeczeństwach socjalistycznych (tzn. opartych o państwową własność środków produkcji) rozciąga się na sferę, która w świadomości obywateli społeczeństw kapitalistycznych wiąże się z oddziaływaniem „naturalnych” praw rynkowych i nie wymaga uzasadnień. Komplikuje to znacznie pozycję władz komunistycznych, wiążąc niżej ich uznanie i prawomocność z uznaniem zasad podziału dóbr społecznych. Egalitarna formuła „każdemu według pracy” okazuje się na ogół wystarczająco popularna, elastyczna i niejasna, by dać się pogodzić z uderzającymi nierównościami, a szczególnie ze skrajnie maskowanymi przywilejami, z których korzystają elita i aparat władzy. Niekiedy jednak, szczególnie w warunkach kryzysu, pojawia się konieczność publicznego uzasadnienia podstaw władzy, a tym samym związanej z jej decyzjami systemu nierówności. Prowadzi to do ujawnienia bardzo charakterystycznego rysu „legitymizacyjnej” formuły, którą posługują się elity rządzące krajów satelickich. Można ją streścić następująco: „rządzimy, bowiem jesteśmy jedyną władzą tolerowaną przez Rosjan; alternatywą jest sowiecka inwazja”.

Jak można zauważyć, użycie słowa „legitymizacyjna” w takim kontekście wymaga cudzysłowu, bowiem jego znaczenie istotnie odiega od weberowskiej treści tego pojęcia. Wynikiem jego użycia jest nie tyle akceptacja władzy, co jej warunkowe tolerowanie. Owym kluczowym warunkiem – jak wspomnieliśmy – wydaje się być powszechne przeświadczenie o wysokich kosztach niesubordynacji i opłacalności konformizmu.

## V

Z powyższych uwag wynikają dwie konkluzje. Po pierwsze, weberowska (jak również marksowska i durkheimowska) aparatura pojęciowa nie jest dobrym narzędziem do analizy społeczeństwa typu sowieckiego. Nowa rzeczywistość wymaga nowych pojęć.

Po drugie, jeśli – jak to sugerowaliśmy – podstawą władzy w społeczeństwach typu sowieckiego jest nie tyle prawomocność, co warunkowe przyzwolenie, to prowadzi to do raczej pesymistycznych prognoz, jeśli chodzi o rozwiązanie kryzysu w Polsce. Niestabilność polityczna i społeczna zdają się bowiem być nieodłączną cechą w etapie „reprodukcji systemu”. Cykl kryzysowy może być przerwany albo przez wzmożone stosowanie przemocy (podnoszące koszty niesubordynacji), lub przez autentyczną reformę uzdrawiającą gospodarkę (a tym samym umożliwiającą systematyczne nagradzanie zachowań zgodnych z oczekiwaniami rządzących). To pierwsze „rozwiązanie” jest kosztowne i trudne do przeprowadzenia przez osłabioną władzę. To drugie, pomijając utrudnienia zewnętrzne wynikające z zadłużenia i zobowiązań wobec RWPG, wydaje się być sprzeczne z interesami elity, wymaga bowiem ograniczenia jej władzy poprzez (częściową przynajmniej) rewindykację mechanizmów rynkowych i odbudowę mechanizmów społecznej kontroli.

Jan Pakulski

## PRZYPISY

<sup>1</sup> Słowem „uprawomocnienie” posługujemy się jako synonimem angielskiego terminu *legitimacy* i *legitimation*, określających władzę uznaną, akceptowaną, prawo-

witą. Nie jest to szczęśliwe tłumaczenie, bowiem polski termin sugeruje oparcie na mocy prawa, co stanowi jedną z wielu możliwych podstaw uznanej władzy. Używamy przez nas zamiennie termin „legitymizacja” jest celniejszy, lecz razi obcością.

<sup>2</sup> Ch. Lane, *Rites of Rulers*, Cambridge University Press, 1982; V. Zaslavsky, *The Neo-Stalinist State*, Harvester Press, 1982; T. H. Rigby i F. Feher (wyd.), *Political Legitimation in Communist States*, Macmillan i St. Antony's College, Oxford 1982; T. H. Rigby i in. (wyd.) *Authority, Power and Policy in the USSR*.

<sup>3</sup> *Vide* artykuł T. H. Rigby'ego w: T. H. Rigby i F. Feher, *op. cit.*

<sup>4</sup> Np. C. J. Friedrich i Ż. Brzeźński, *Totalitarian Dictatorship and Autocracy*, Harvard University Press, 1956; S. Schwarz „The Communist Party and the Soviet State” w: *Problems of Communism*, tom 2(5), 1953; H. Arendt, *The Origins of Totalitarianism*, Harcourt Brace, 1966.

<sup>5</sup> *Vide* prace wymienione w przypisie (2), książki omówione w pierwszych rozdziałach pracy D. Lane'a *The End of Social Inequality?* George Allen & Unwin, 1982, a szczególnie J. F. Hough, *The Soviet Union and Social Science Theory*, Harvard University Press, 1977.

<sup>6</sup> A. G. Meyer, *The Soviet Political System*, Random House, 1965. Podobne argumenty przedstawione były w książce M. Hirsztowicz *The Bureaucratic Leviathan* oraz w pracach W. Bieńkowskiego.

<sup>7</sup> W znaczeniu, jakie nadal temu terminowi Weber, „racjonalność formalna” polega na kalkulacji w kategoriach maksymalnej efektywności przy równoczesnym przestrzeganiu abstrakcyjnych i ogólnych przepisów prawa.

<sup>8</sup> M. Weber, „The Essentials of Bureaucratic Organization” w: R. K. Merton i in. (wyd.) *Reader in Bureaucracy*, Free Press, 1952; *Max Weber — Selections in Translation* (wyd. R. G. Runciman), Cambridge University Press, 1978.

<sup>9</sup> Najstaranniejszy opis nieformalnych i sprzecznych z przepisami działań sowieckiej administracji znaleźć można w książce J. F. Hougha *The Soviet Prefects*, Harvard University Press, 1969 (jest to o tyle paradoksalne, że Hough należy do głównych przedstawicieli „biurokratycznego podejścia”). Na uwagę dla przepisów prawa zwracał uwagę R. Conquest, szczególnie w swych znanych pracach: *The Great Terror: Stalin's Purges of the Thirties* i *The Soviet Deportation of Nationalities*. Na ogromne znaczenie „czarnego” i „szarego” rynku w sowieckiej gospodarce wskazywali A. Nove w *Political Economy and the Soviet Socialism*, George Allen & Unwin, 1979 i G. Grossman w „The Second Economy in the USSR”, *Problems of Communism*, tom XXVI (5), 1977.

<sup>10</sup> Np. T. H. Rigby „Early Provincial Cliques and the Rise of Stalin” w: *Soviet Studies*, tom XXXIII (1), Styczeń 1981; J. P. Willerton Jr., „Clientelism in the Soviet Union” w: *Studies in Comparative Communism*, tom XII (2, 3), 1979; B. Harasimow „Nomenklatura: The Soviet Party's Leadership Recruitment System” w: *Canadian Journal of Political Science*, tom 2(4), 1969, oraz dokumenty opublikowane w *Aneksie* nr 26, 1981.

<sup>11</sup> *Op. cit.* (1977), szczególnie str. 67-70.

<sup>12</sup> Np. G. Gill w *Gigby i in.*, *op. cit.* (1980) i w *Rigby i Feher, op. cit.*

<sup>13</sup> M. Rush, *How Communist States Change Their Rulers*, Cornell University Press, 1974.

<sup>14</sup> Argument ten zaprezentowany jest przekonywująco w książce Ch. Lane, *Rites of Rulers, op. cit.*

<sup>15</sup> V. Zaslavsky, *op. cit.*; G. Konrad i Szeleńki, *Intellectuals on the Road to Class Power*, Harvester Press, 1978.



# *polska gospodarka*

Jacek Rosowski

## PONOWNA REORIENTACJA NA ZACHÓD?

Tygodnik *Życie Gospodarcze* z 20 marca 1983 opublikował dokument pt. „Podstawowe uwarunkowania planu społeczno-gospodarczego PRL na okres 1983-85”. Najciekawszą częścią tego dokumentu jest rozdział zawierający prognozę Komisji Planowania dotyczącą handlu zagranicznego. Mimo że w rozdziale tym pisze się o podtrzymaniu „reorientacji naszego handlu zagranicznego na rzecz krajów I obszaru płatniczego”, czyli krajów RWPG, dane zawarte w tym i innych dokumentach wskazują na zupełnie co innego.

Faktem jest, że między 1980 r. i pierwszym półroczem 1982 r. nastąpiła znaczna reorientacja handlu zagranicznego Polski na rzecz krajów RWPG. Ale już w drugim półroczu 1982 r. nastąpiła „druga reorientacja”, tym razem na Zachód. W 1980 r., to znaczy przed „pierwszą reorientacją” na Wschód; udział krajów RWPG w polskim eksporcie wynosił 40, a w imporcie 39 procent. W pierwszym półroczu 1982 r. udział tych krajów w eksporcie Polski wynosił 53 a w imporcie 64 procent. (*Życie Gospodarcze* nr 28; 1982). Reorientacja była więc niewątpliwie duża. Nieprawdziwe jest jednak stwierdzenie dokumentu, że w planie na lata 1983-85 „zakłada się podtrzymywanie tej reorientacji”. „Druga reorientacja” na Zachód była bowiem tak znaczna, że w 1982 r. udział krajów socjalistycznych w eksporcie

spadł z 53 do 49 procent, a w imporcie z 64 do 58 procent (proporcje te utrzymują się w pierwszych trzech kwartałach 1983 r.). Najważniejsze jednak jest to, że plan zakłada dalszą reorientację na Zachód w okresie 1983-85 i istniejące powody, by przypuszczać, że Komisja Planowania przewiduje podobny kurs polityki handlu zagranicznego na okres 1985-90, o czym poniżej.

Plan trzyletni zakłada, że w 1985 r. udział krajów RWPG w polskim eksporcie, w przeliczeniu na ceny stałe, będzie wynosił 45 procent (w 1982 r. 49%), a w imporcie 54 procent (w 1982 r. 58%).

Łączego więc została zaplanowana i już częściowo zrealizowana ta ponowna reorientacja polskiej gospodarki na Zachód, mimo licznych zapewnień władz, że nigdy więcej nie dopuszczą do uzależnienia gospodarczego Polski od Zachodu?

W zwiększeniu udziałów krajów kapitalistycznych w imporcie Polski, z 36 w pierwszym półroczu 1982 r. do 45,5 procent w 1985 r., dwa czynniki zaważyły chyba w sposób decydujący. Po pierwsze, ZSRR chce ograniczyć dodatnie saldo w handlu z Polską, które to saldo reprezentuje formę kredytu. Po drugie, gospodarka polska, aby wyjść z kryzysu, potrzebuje zwiększonych dostaw zachodnich surowców, półproduktów i części zamiennych.

W dokumencie „Warianty koncepcji NPSG na okres 1983-85” (*Życie Gospodarcze* nr 31, 1982) czytamy: „Szybszy wzrost eksportu potrzebny jest (...) zwłaszcza do ZSRR ze względu na (...) ujemne dla Polski saldo wzajemnych obrotów...”. Plan trzyletni przewiduje, że pod koniec 1985 r. dług Polski wobec ZSRR osiągnie 6,8 mld rubli, czyli 9,1 mld dolarów według oficjalnego, zawyżonego, kursu (tj. 40 procent obecnego długu Polski wobec Zachodu). Niemniej według planu, ujemne saldo Polski w obrotach z ZSRR ma się powiększyć, z 39,2 mld złotych (344 mln rubli) w 1982 r. do 60,6 mld złotych (532 mln rubli) w 1985 r. Co więcej, powiększenie się ujemnego salda Polski ma mieć miejsce pomimo założenia, że eksport do ZSRR będzie rósł dwukrotnie szybciej niż import z ZSRR. W cenach stałych w okresie trzyletnim eksport do krajów RWPG ma wzrosnąć o 10,3 procent, a import o 5,1 pro-

cent. Cały problem tkwi w cenach handlu z krajami RWPG. Plan przewiduje, że ceny dóbr importowanych z tych krajów wzrosną w przeciągu następnych trzech lat o 24 procent! To znaczy, że import z krajów RWPG w cenach bieżących wzrośnie o 29 procent. Natomiast ceny dóbr eksportowanych przez Polskę do tych krajów mają wzrosnąć tylko o 16 procent w tym okresie.

Nie tylko więc nie ma szans na zmniejszenie długu wobec ZSRR do 1985 r., ale nawet na zmniejszenie przyrostu zadłużenia. Planowy wzrost zadłużenia byłby jeszcze większy, gdyby nie ograniczono importu z ZSRR. Ograniczenie importu kredytowego z krajów RWPG powoduje zainteresowanie zwiększeniem importu z krajów kapitalistycznych. Dlatego właśnie plan przewiduje wzrost importu z Zachodu o 22 procent w cenach stałych, wobec 5 procent wzrostu z krajów RWPG.

Drugim czynnikiem polityki „reorientacji na Zachód” jest po prostu fakt, że aby zwiększyć produkcję potrzebne są Polsce zwiększone dostawy z Zachodu pasz dla rolnictwa oraz materiałów, części zamiennych i nowych maszyn dla licznych fabryk, które w latach 70-ych i wcześniej zostały wyposażone w zachodni park maszynowy. Reorientacja na Wschód wymagałaby częściowej wymiany tego parku maszynowego na urządzenia wyprodukowane w krajach RWPG. Taka wymiana wymagałaby prawdopodobnie podwyższenia poziomu inwestycji kosztem konsumpcji, a to mogłoby być trudne do przeprowadzenia w obecnych warunkach politycznych. Co więcej, produkcja oparta o park maszynowy i materiały z krajów socjalistycznych miałaby małą szansę eksportu na rynki światowe, co jeszcze bardziej zmniejszałoby możliwość spłacenia kiedykolwiek długów wobec Zachodu. W takiej sytuacji ogłoszenie niewypłacalności Polski przez banki zachodnie byłoby trudniejsze do uniknięcia, a niewypłacalność Polski miałaby łatwy do przewidzenia wpływ na globalną wymianę handlową między Wschodem a Zachodem.

Można przypuszczać, że właśnie z wyżej wymienionych względów Komisja Planowania przewiduje utrzymanie obecnego kursu „reorientacji na Zachód” w okresie 1985-90 (*Polityka-Eksport-Import*, wrzesień 1982), w połączeniu z prognozami dotyczącymi handlu globalnego, zawartymi w dokumencie „Wstępne

założenia na lata 1985-90" (*Życie Gospodarcze* nr 31, 1982), pozwalają oszacować przewidziany przez Komisję udział obu bloków w handlu zagranicznym Polski w roku 1990. Wyniki przedstawiają się następująco (ceny z roku 1982):

	Eksport z Polski	Import do Polski
Kraje RWPG	38%	48%
Kraje pozostałe	62%	52%

W roku 1990 udział eksportu do krajów RWPG ma wrócić mniej więcej do poziomu z 1980 r. (40%). Udział importu z tych krajów ma się utrzymać na poziomie wyższym niż w 1980 r. (48% w 1990 r. w porównaniu z 40% w 1980 r.), ale dużo niższym niż w pierwszym półroczu 1982 t. (64%). Choć takie prognozy są niepewne i chyba mało realistyczne, to tym niemniej są one pewniejszą wskazówką kierunków rozwoju handlu zagranicznego preferowanych przez Komisję Planowania, aniżeli fasada oficjalnej propagandy. Oczywiście, prognozy te nie wynikają z obecności krypto-patriotów w Komisji Planowania, lecz raczej z niezchędości importu zachodniego dla gospodarki polskiej, jak też z chęci ZSRR do ograniczenia kredytów udzielanych Polsce.

Import z Zachodu trzeba finansować eksportem. Nie tylko skończyły się czasy łatwych kredytów, ale nawet spłacać trzeba część procentów, żeby nie zostać niewypłacalnym dłużnikiem. Stąd w planie prognoza szybkiego wzrostu eksportu do krajów niesocjalistycznych i powiększenie dodatniego salda z tymi krajami. W tym właśnie aspekcie obecna polityka handlowa wydaje się mało realistyczna. W okresie 1982-85 eksport do krajów niesocjalistycznych ma wzrosnąć o 25 procent w cenach stałych, czyli o 7,5 procent rocznie, pomimo że według Komisji Planowania eksport podstawowych surowców takich jak węgiel „ustabilizuje się... na stałym poziomie 1982 r.". Zadanie powiększenia eksportu dolarowego Polski obciąży więc głównie przemysł elektromaszynowy, który według planu ma zwiększyć eksport dolarowy w cenach stałych o 34 procent w przeciągu trzech lat, czyli o 10 procent rocznie. Taki wynik wydaje się zupełnie nie-

prawdopodobny w warunkach obecnej koniunktury na Zachodzie i niskiej jakości dóbr eksportowanych przez Polskę. Nadzieje władz na to, że uda się zwiększyć radykalnie eksport dolarowy do krajów rozwijających się, wydają się również mało realistyczne. Wiele z tych krajów ma swoje własne kłopoty z zadłużeniami, a kraje eksportujące ropę są polem ostrej konkurencji zachodniej, japońskiej i południowo-amerykańskiej, wobec której polscy producenci wyrobów elektromaszynowych mają małe szanse. Ocenę tę potwierdzają wyniki pierwszego kwartału 1983 r., w którym eksport dolarowy spadł w porównaniu z faktycznym, wojennym, pierwszym kwartałem 1982 r.

Jakie więc byłyby efekty nieosiągnięcia przez Polskę pożądaných wyników w eksporcie dolarowym i wobec tego wymuszonej reorientacji na Wschód? Głównym skutkiem takiej reorientacji, gdyby jednak nastąpiła, byłoby ograniczenie importu z krajów kapitalistycznych, co z kolei utrudniałoby bardzo rozwój gospodarczy Polski teraz i w przyszłości. Kryzys utrwaliłby się, chociaż, być może, bez dalszego pogorszenia się. Ten stan rzeczy utrzymałby się dopóty, dopóki reforma gospodarcza w Polsce nie będzie dostatecznie głęboka, aby zwiększyć radykalnie konkurencyjność polskich wyrobów i usług na rynkach światowych.

iesień 1983

Jacek Rostowski

na' ladem «aneksu»

**1956**

**W DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ  
Z MYŚLĄ O PRZYSZŁOŚCI**

Materiały z konferencji zorganizowanej w Paryżu w XX rocznicę Polskiego Października i Rewolucji Węgierskiej, z udziałem m.in. B. Baczkli, W. Brusa, L. Kołakowskiego, A. Mitchnika, K. Pomiana, A. Smolara oraz wielu wybitnych intelektualistów węgierskich, czeskich, rosyjskich i francuskich.

STR. 160

CENA £2.50 (\$6.00)

# *polemiki*

**Jerzy Boniecki**

## **O ZAANGAŻOWANIU I DYSTANSIE**

Recenzję Stanisława Barańczaka z wydanej ostatnio historii Polski pióra Normana Daviesa (*Aneks 31/1983*) przeczytałem z mieszanymi uczuciami zawodu i smutku.

Pochwały i pozytywne wypowiedzi na temat nie znanej mi jeszcze pracy Daviesa słyszałem z różnych źródeł. Barańczaka zaś cenię i szanuję za jego działalność w Polsce, a także bardzo lubię jego poezje. Pamiętam jak wielkie wrażenie zrobiły na mnie kolejno *Ja wiem, że to niesłuszne*, *Sztuczne oddychanie* i *Tryptyk...* Zarówno sposób spojrzenia na dolę ludzką, jak i forma wiersza Barańczaka, są mi bardzo bliskie. Z ciekawością więc i przyjemnym oczekiwaniem zabierałem się do czytania recenzji. Sprawcą mojego zawodu okazał się w tym wypadku nie nieznanymi mi Davies, ale właśnie bliski mi Barańczak.

Po omówieniu pracy Daviesa i jej pochlebnej ocenie, autor recenzji zaszerwował nam porcję swego osobistego rozgoryczenia z powodu tragedii Polski. „Nie mogę po prostu zrozumieć – pisze Barańczak – dlaczego nie wolno [Polakom] cieszyć się tymi samymi prawami, jakie mają inne narody – te, którym się bardziej poszczęściło”. Jakże dobrze znamy to uczucie! Tak często, jak Barańczak, zaciskamy pięści! Z żalu i ... z bezsilności. Patrząc wstecz na historię Polski, a w szczególności na jej ostatnie pół wieku z hańbą układu w Jaltie, nie mamy wątpliwości co do

współodpowiedzialności Zachodu za los naszego kraju. Fakt tej współodpowiedzialności nie usprawiedliwia jednak ignorowania rzeczywistości lub takiej jej interpretacji, aby winę Zachodu za bieżące wypadki zwiększyć czy podkreślić. A to właśnie – z zażenowaniem stwierdzam – wydaje się czynić Barańczak.

Omawiając stosunek świata do Polski *post factum* okresu „Solidarności” Barańczak implikuje jako powszechną lub często spotykaną na Zachodzie opinię, iż „pobity jest winien pobicia i zasłużył na swój los”, który „sam na siebie ściągnął”. Nie ulega wątpliwości, iż tego rodzaju wypowiedzi od czasu do czasu się zdarzają, ale na jakiej podstawie twierdzić można, iż one to właśnie reprezentują stosunek opinii Zachodu do posolidarnościowej Polski? Analiza kłęski, rachunek sumienia są chyba normalną reakcją, a błędy „Solidarności” dyskutowane są *ad infinitum* także i w Polsce, dla zrozumienia powodów przegranej i w nadziei uniknięcia podobnych błędów w przyszłości. Bez względu na to, jak realna jest taka nadzieja w ogóle, a w przypadku Polski w szczególności. Przeważająca na Zachodzie opinia (tak opinia kół politycznych czy sfer intelektualnych, jak i szeroka opinia publiczna) widzi jednak wyraźnie porażkę „Solidarności” jako następstwo sąsiedztwa Wielkiego Brata. Jak nigdy przedtem cieszyła się Polska od sierpnia 1980 roku powszechną sympatią całego świata. Jak nigdy przedtem wypadki w Polsce nie schodziły z ekranów telewizji i z lam prasy, śledzone były przez kilkanaście miesięcy dosłownie z dnia na dzień. Nie wynikało to z ludzkiego zainteresowania dla sensacji. Poparcie dla Polski nie ograniczało się do deklaracji. Pomoc materialna, polityczna i moralna okazana została Polsce na skalę przedtem w ogóle niespotykaną. Jakie przykłady podobnie powszechnego zaangażowania związków zawodowych na świecie można by wskazać w przeszłości? Czy kiedykolwiek przedtem popłynęły do Polski, dosłownie ze wszystkich stron, dziesiątki milionów dolarów pomocy w postaci pieniędzy, żywności, odzieży i lekarstw? Niedobre daje Barańczak świadectwo obiektywizmowi swego spojrzenia, gdy tę wielką demonstrację solidarności ludzi dobrej woli kwituje metaforą, iż (zamiast stanąć w obronie Polski) zdecydował się świat posłać „ofierze pare paczek żywnościowych”. Nie legitymuje się także Barańczak choćby próbą

bardziej obiektywnego spojrzenia, gdy pisze dalej: „Nie chce się wierzyć własnym oczom, widząc, z jaką gorliwością demokracje zachodnie gotowe były zawsze dyskredytować, potępiać, odmawiać jakiegokolwiek prawdziwej pomocy i w ostatecznym rozrachunku poświęcać kraj, który przez stulecia stał całym sercem po stronie zachodnich ideałów wolności i demokracji”. Nie wchodząc w to, w jakim stopniu przytoczona ocena odnosi się konkretnie do pewnych faktów czy okresów historycznych w przeszłości, w zamyśleniu Barańczaka ma ona reprezentować także treść obecnej postawy Zachodu wobec Polski. Jeśli tak – to nie widzę w postępowaniu Zachodniego świata żadnej gorliwości, z jaką odmawiałby on Polsce jakiegokolwiek prawdziwej pomocy i decydował się poświęcać nasz kraj na pożarcie Dużego Złego Wilka. A jak właściwie – zdaniem Barańczaka – powinny być postąpić w sprawie polskiej rządy krajów zachodnich, uwzględniając realia sytuacji międzynarodowej *Anno Domini* 1982, nawet jeśli były jej współtwórcami? Bynajmniej nie bronię bezkrytycznie postępowania Zachodu. Chodzi mi jednak o jakiś podstawowy realizm w ocenie naszej własnej sprawy. Czy osobiste zaangażowanie w tragedię Polski naprawdę nie pozwala na większy dystans i obiektywizm spojrzenia?

Mówi dalej Barańczak (nie podając konkretnych przykładów), iż „niepokoi-przeciętnego Polaka postawa niektórych zachodnich intelektualistów”, którzy „wierzą czasami, że Polska zasługuje na swój obecny los”. Szczerze mówiąc, nie zetknąłem się z taką postawą intelektualistów na Zachodzie, a jeśli gdzieś-niegdzie widać jej przejawy – z pewnością nie są one wyrazem opinii większości.

Ze spojrzenia Barańczaka wynikają dwa imperatywy, dla których zachodni świat powinien zaangażować się całkowicie w sprawę zwycięstwa demokracji w Polsce. Pierwszy to dobrze pojęty własny interes. „Zachód – pisze Barańczak – winien myśleć o Polsce dlatego, że zwycięstwo demokracji w jakiegokolwiek części totalitarnego imperium leży w najlepszym interesie samego Zachodu”. Powyższe stwierdzenie zakłada oczywiście przekonanie, że zwycięstwo demokracji w jednym tylko kraju bloku sowieckiego jest w ogóle możliwe. Historia ostatnich dziesięcioleci



wcale na to nie wskazuje – wprost przeciwnie – *vide* Węgry 1956, Czechosłowacja 1968 i tak dalej. Zachód ma oczywiście swój udział i ponosi odpowiedzialność za taki rozwój wypadków. *Like it or not*, ugruntowały one jednak na Zachodzie niewiarę w możliwość pęknięcia kajdanów bloku sowieckiego w pojedynczym ogniu. Pozostaje jeszcze analiza genezy ducha kapitulacji panującej na Zachodzie, ale to już osobne i bardziej złożone zagadnienie\*.

Drugi imperatyw, nakazujący zaangażowanie Zachodu w sprawę Polski, ma jakoby wynikać z pobudek moralnych. Ten imperatyw odnosi się bardziej do opinii publicznej aniżeli do rządów krajów zachodnich, jako że moralność z polityką – przepaszam za truizm – niewiele mają wspólnego. Polska, jak pisze Barańczak, jest w sytuacji gorszej aniżeli inne narody, „którym się bardzo i poszczęściło”. Tak więc te pobłogosławione lepszym losem narody mają wobec Polski określone zobowiązania. Osobiście zgadzam się całkowicie z tego rodzaju nakazem moralnym, bez względu na to, jaką w prawdziwym życiu narodów odgrywa on rolę. Jednocześnie jednak trzeba przyznać, iż Polska znajduje się (także) w sytuacji *l e p s z e j* aniżeli wiele narodów, „którym się *m n i e j* poszczęściło”. Nie wiem, czy Stanisław Barańczak zetknął się osobiście z sytuacją w Indiach, gdzie codziennie na ulicach wielkich miast i na oczach wszystkich tyśiące ludzi żyją i umierają z głodu na chodniku, w rynsztoku czy pod murem domu. Czy znany mu jest z bezpośredniego zetknięcia los mas biedaków, którzy (wszak przez przypadek czy zrządzenie Boga, a nie z własnego wyboru!) urodzili się i umierają z głodu w pustyniach Afryki? Los tych narodów musi być powszechnie znany z telewizji i z prasy również w Polsce. Wynikałoby więc z tego moralne zobowiązanie Polaków do zaangażowania się w los tych ludów, którym się „mniej poszczęściło”. Czy jednak przeciętny mieszkaniec Polski odczuwa tego rodzaju zobowiązanie?

Nie chodziło mi tylko o wykazanie, iż problemy, których jesteśmy elementem są bardzo skomplikowane. Istotą niniejszych

\* Temat ten był przedmiotem mojego artykułu w *Kulturze* nr 12/399, Paryż 1980 r.

uwag są rozważania o zaangażowaniu i dystansie. Czy będąc głęboko zaangażowany w sprawę Polski (lub w jakąkolwiek inną sprawę) nie można jej jednocześnie omawiać w sposób stosunkowo obiektywny, z pewnej dalszej perspektywy? Czyni to z powodzeniem Adam Michnik w swym „Liście z więzienia” \*. Jakiż to wspaniały przykład zrównoważenia i obiektywizmu w warunkach – wydawałoby się – najnunciej do tego predestynujących. Byłoby smutne, gdybyśmy znajdując się w o tyle lepszej osobistej sytuacji nie umieli, tu, poza krajem, zdobyć się na równy dystans i obiektywizm w naszych wypowiedziach.

**Jerzy Boniecki**

### ODPOWIEDŹ BONIECKIEMU

Jerzy Boniecki zrobił ze mnie zaciekłego nacjonalistę, co przydarzyło mi się, dalibóg, po raz pierwszy w życiu. Oskarżenie tego rodzaju nie padło nawet – co byłoby znacznie bardziej naturalne – ze strony amerykańskich czytelników pisma *The New Republic*, w którym drukowana była anglojęzyczna wersja mojej recenzji z książki Daviesa. Jakoś żaden z nich nie miał trudności w zrozumieniu, że nie domagam się dla swojego narodu żadnych szczególnych przywilejów – niczego poza tym, co gwarantują mu jego własne oraz międzynarodowe prawa...

Rozumiem jednak dobrze uwrażliwienie mojego oponenta na nacjonalistyczne przerosły myślenia o historii Polski i nie chciałbym zbywać jego przestróg żartem ani bagatelizacją. Przeciwnie, uważam, że w swojej polemice porusza on szereg ważnych problemów, o których każdy, nie wyłączając niżej podpisanego, powinien pamiętać.

I jeszcze jedno. Byłoby mi szczególnie przykro, gdyby moja wzmiankę o „paczkach żywnościowych” czytelnicy zrozumieli tak, jak uczynił to mój polemista – jako ośmieszenie wysiłku i dobrej woli tysięcy ofiarodawców, dzięki którym pomocy lu-

\* A. Michnik: „Analiza i Perspektywy”, *Kultura* nr 7/430 – 8/431, Paryż 1983 r.

dziom w Polsce udaje się przeżyć. Od takiej intencji byłem jak najdalej. Kontekst wskazuje wyraźnie, że w mojej wypowiedzi „paczki” pełnią rolę skrótowego symbolu hipokryzji tych, którzy dla Polski mogliby uczynić więcej – a więc raczej rządów i grup nacisku niż prywatnych jednostek. Jeśli jednak, przez niezręczne użycie wyrażenia, kogokolwiek niesprawiedliwie uraziłem – przepraszam.

Stanisław Barańczak

## Niezależna Fundacja Popierania Kultury Polskiej

### POLCUL FOUNDATION

Istniejąca zaledwie od trzech lat POLCUL FOUNDATION może się poszczycić dużymi osiągnięciami. W roku 1981 Fundacja wyróżniła 32 osoby. W roku 1982, ze względu na specyficzne warunki wywołane ogłoszeniem w Polsce stanu wojennego, zrezygnowano z przyznawania wyróżnień indywidualnych. Zamiast tego dotacja Fundacji przeznaczona została na wydanie książek autorów krajowych (pisarzy i uczonych), które nie mogły ukazać się w kraju. W roku 1983 powrócono do zasady wyróżnień indywidualnych; zostały one przyznane 40 osobom.

Wśród wyróżnionych przez POLCUL znaleźli się pisarze: Anka Kowalska, Piotr Wierzbicki; poeci: Janusz Szpotański, Lech Dymarski; historycy: Jerzy Łojek, Adam Michnik i wiele innych osób zasłużonych dla rozwoju niezależnej kultury polskiej. Dotacja Fundacji przyczyniła się także do wydania szeregu książek.

Oto istotne informacje dotyczące POLCUL-u:

1. Fundacja założona została w Sydney, Australia i zgodnie z prawem obowiązującym w Nowej Południowej Walli (New South Wales) zarejestrowana jako „company limited by guarantee” pod nazwą POLCUL FOUNDATION LIMITED, pod No. 265495-19.

Dyrektorami Fundacji są: Jerzy Boniecki – specjalista w dziedzinie urządzeń przemysłowych, Krzysztof Nadolski – adwokat w Sydney oraz Jan Pakulski – wyładowca na Uniwersytecie w Hobart, Tasmmania.

2. Celem Fundacji jest wyróżnianie indywidualnych osób w Polsce czynnie zaangażowanych w rozwoju niezależnej kultury polskiej (w dziedzinie nauki, literatury, sztuki czy innej) lub w ruchu praw człowieka i obywatela (niezależnych związków zawodowych, chłopskich czy innych).

Jednocześnie, dla zaakcentowania przyjaźni i współpracy, wyróżniane są z krajów sąsiadujących z Polską lub związanych z nią wspólnym losem, osoby szczególnie zasłużone dla rozwoju niezależnej kultury polskiej.

3. Dochody Fundacji składają się z: (a) odsetków od zainwestowanego kapitału; (b) rocznych składek-dotacji; oraz (c) ewentualnych darów czy zeznań.

Od chwili założenia Fundacji przystąpiło do niej kilkanaście osób z Australii, USA oraz innych krajów. Indywidualne roczne składki-dotacje (\$25) oraz drobne wpłaty pozwalają pokryć bieżące koszty operacyjne (opłaty urzędowe, porta itp.). Wszelkie funkcje Fundacji sprawowane są na zasadzie honorowej; POLCUI nie zatrudnia żadnego personelu.

4. O wyróżnieniach Fundacji decyduje jury, w skład którego wchodzi, obok dwóch dyrektorów Fundacji (J. Boniecki i J. Pakulski) następujące osoby z różnych krajów:

Stanisław BARAŃCZAK — Boston, USA,  
 Mirosław CHOJECKI — Paryż, Francja,  
 Jerzy GIEDROYC — Maisons-Laffitte, Francja,  
 Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI — Neapol, Włochy,  
 Jan NOWAK — Waszyngton, USA,  
 Eugeniusz SMOLAR — Londyn, W. Brytania,  
 Bolesław SULIK — Londyn, W. Brytania,  
 Jakub ŚWIĘCICKI — Sztokholm, Szwecja.

Kandydatury do wyróżnień nadsyłane są z kraju przez osoby indywidualne lub instytucje. Mogą one także pochodzić od członków jury. Wyróżnienia przyznawane są raz do roku, drogą tajnego głosowania.

5. Jednorozowe świadczenie Fundacji wynosić może minimum \$500, a maksimum \$1000. Chodzi o to, aby wyróżnienie takie nie było jedynie symboliczne, lecz stanowiło konkretną i znaczną pomoc finansową. W warunkach polskich wspomniana wysokość wyróżnienia spełnia ten warunek. Warto przytoczyć wyjątek z listu otrzymanego przez POLCUI od jednego z wyróżnionych, w październiku 1983 roku:

„Tak więc natychmiast spieszę na Pana ręce przekazać dla POLCUI-u potwierdzenie otrzymania przyznanej mi nagrody, a jednocześnie gorąco za nią podziękować. Nie tylko dlatego, że w naszych krajowych warunkach jest to ogromna finansowa pomoc, ale szczególnie dlatego, że niemalą sprawiło mi radość to, że uznano mnie jej godnym”.

Obecnie Fundacja jest w stanie wyróżnić co roku od 20 do 40 osób. Grono kilkunastu osób, które przystąpiły do Fundacji i wpłacają po \$25 pozwala na pokrycie niewielkich bieżących wydatków operacyj-

nych. Zwiększenie tego grona do kilkudziesięciu osób pozwoli na ufundowanie co roku jednego lub kilku dodatkowych wyróżnień.

Znaczne zwiększenie działalności Fundacji możliwe będzie w wypadku otrzymania większych darów lub zapisów (np. zapisów testamentowych). Wiele osób po kilkunastu czy kilkudziesięciu latach życia na emigracji posiada majątek, który składa się przynajmniej z własnego domku czy działki. Przy obecnych cenach wyraża się to wartością kilkudziesięciu tysięcy dolarów lub nawet więcej. Wiadomo jest, iż dla osób nie posiadających rodziny w Polsce lub kraju swego osiedlenia powstaje problem zapisu testamentowego. Jakże pięknym i trwałym gestem będzie przeznaczenie życiowego dorobku na pomoc tym ludziom w Polsce, którzy przyczyniają się do utrzymania i rozwoju niezależnej kultury narodowej. POLCUL FOUNDATION stanowi instytucję gwarantującą tego rodzaju działalność.

Informacje na temat działalności Fundacji oraz form jej poparcia otrzymać można pisząc na adres:

**POLCUL FOUNDATION**

P.O. Box 193, Rose Bay, N.S.W. 2029, Australia.

Wpłaty na rzecz Fundacji mogą być dokonywane czekiem przesłanym na adres Fundacji lub też przekazem na konto No. 75 1989 w Westpac Banking Corporation, Rose Bay, 2029, Australia.

**nakładem «aneksu»**

**ALEKSANDER ŚCIBOR-RYLSKI**

**Człowiek z marmuru  
Człowiek z żelaza**

**Przedtem słynne filmy w reżyserii A. Wajdy  
Obecnie porywająca powieść autora scenariusza**

**Budowa Nowej Huty i procesy polityczne  
Odnowa i od nowa Zwycięstwa i klęski  
Grudzień 1970 i Sierpień 1980**

**STR. 224**

**CENA £4.80 (\$10.50)**

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysłać na adres  
**«Aneks» 61 Dorset Road, London W5 4HX, United Kingdom**

## o autorach

RAYMOND ARON (1905-1983) – filozof, socjolog, publicysta. Autor m. in. książek: *Introduction à la Philosophie de l'Histoire. Essai sur les limites de l'objectivité historique* (1938), *L'Opium des Intellectuels* (1955), *Dix-huit leçons sur la société industrielle* (1962), *La lutte de classes* (1964), *Démocratie et totalitarisme* (1966), *Penser la guerre, Clausewitz* (1976), *Le Spectateur engagé* (1981), *Mémoires* (1983).

STANISŁAW BARAŃCZAK – ur. w 1946 r. Poeta, eseista, tłumacz, teoretyk literatury. Członek KOR-u i redakcji *Zapisu*. Od 1981 kieruje katedrą polonistyki na uniwersytecie w Harvardzie w Stanach Zjednoczonych. Opublikował w *Aneksie* m. in. „Norwid nie chce podpisać volkslisty” (nr 29-30), „Imponderabilia Zbigniewa Herberta” (nr 32).

JERZY BONIECKI – ur. w 1929 r. Ukończył wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego oraz studia w Centre for Environmental Studies na Uniwersytecie Macquarie w Sydney. Autor szeregu artykułów m. in. w paryskiej *Kulturze*. Założyciel i jeden z dyrektorów POLCUI FOUNDATION.

FRANCISZEK M. DRAUS – ur. w 1953 r. Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doktorat w Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales na podstawie pracy o myśli Raymonda Arona. W *Aneksie* nr 29-30 opublikował szkic pt. „Raymond Aron”.

PIERRE HASSNER – ur. w 1933 r. Filozof, politolog, profesor w Fondation Nationale des Sciences Politiques w Paryżu. Autor wielu prac na temat stosunków Wschód-Zachód, problemów strategicznych i kontroli zbrojeń. Opublikował w *Aneksie*: „Odprężenie i Europa Wschodnia” (nr 3) oraz „Żaloba przystoi Europie” (nr 27).

ADAM MICHNIK – ur. w 1946 r. Historyk, eseista. Działacz opozycji demokratycznej, członek-założyciel KOR-u. Autor książek: *Kościół, te-wica, dialog* (Instytut Literacki, 1977), *Szanse polskiej demokracji* («Aneks», 1984). Obecnie w więzieniu śledczym w Warszawie.

LESZEK NOWAK – ur. w 1943 r. Filozof, profesor Uniwersytetu Poznańskiego. Autor m. in. *U podstaw marksistowskiej metodologii nauk* (1971), *Model ekonomiczny* (1972), *Property and Power. Towards a Non-Marxian Historical Materialism* (1983). Działacz „Solidarności”, po 13 grudnia 1981 internowany.

JAN PAKULSKI – ur. w 1950 r. Socjolog, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, doktorat w Australian National University. Autor szeregu artykułów z dziedziny tworzenia się elit oraz adaptacji polskich imigrantów w Australii. Jeden z dyrektorów POLCUL FOUNDATION.

VACLAV RACEK – pseudonim czeskiego historyka.

JACEK ROSTOWSKI – ur. w 1951 r. Ekonomista, absolwent London School of Economics. Obecnie wykłada w Politechnice w Kingston, Anglia. W *Aneksie* nr 28 ogłosił artykuł pt. „Perspektywy stabilizacji gospodarki polskiej”.

JACQUES RUPNIK – ur. w 1950 r. Historyk, politolog. Prowadzi w Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu seminarium na temat kultury politycznej w krajach Europy środkowo-wschodniej. Autor książki *Histoire du Parti Communiste Tchecoslovaque* (Paryż 1981).

EDWARD P. THOMPSON – Historyk brytyjski. Autor wielu prac, m. in. *The Making of the English Working Class*. Jeden z czołowych działaczy ruchu pacyfistycznego o nazwie „European Nuclear Disarmament”. Wystąpił z partii komunistycznej w 1956 r. po zdławieniu rewolucji węgierskiej przez ZSRR. W 1973 r. w *Socialist Register* ukazał się jego 100-stronicowy „List otwarty do Leszka Kołakowskiego”. Odpowiedź Leszka Kołakowskiego opublikowaliśmy w *Aneksie* nr 18.

ANDRZEJ ZWANIECKI – ur. w 1950 r. Z wykształcenia inżynier energetyk. Jako dziennikarz współpracował z *Tygodnikiem Kulturalnym*, *Odrą* i *Przeglądem Technicznym*. Po 13 grudnia 1981 publikował często w warszawskiej prasie podziemnej, m. in. w *Krytyce* (nr 12: „Spiszek przeciwko prawdzie czyli techniki przemocy propagandowej”). Obecnie na emigracji w Szwecji.

# «Aneks»

## 1973 — 1983

### Indeks autorów

- A. K., M. K.: „Badania opinii publicznej w Czechosłowacji”, 3.  
A. M.: „List z Białoleki”, 28.  
AMALRIK Andriej: „Czy wujcio Dżek jest konformistą?”, 7-8.  
ANDRZEJEWSKI Jerzy: „List otwarty do prześladowanych uczestników robotniczego protestu”, 12.  
„List to marszałka Sejmu PRL zawiadamiający o powstaniu KOR-u”, 13-14.  
ANONIM: „Naród-religia-misja-odpowiedzialność”, 22.  
ARENDRT Hannah: „Władza rewolucyjna i jej wrogowie”, 5.  
„Myśli o polityce i rewolucji”, 15.  
ARON Raymond: „Przyczynek do dyskusji” (Europa Wschodnia: Szanse na rewolucję), 4.  
„Machiavelli i Marks”, 10  
Wywiad *Aneksu*, 21.  
a. s.: „Chrześcijaństwo i «Solidarność»” (*Noty i refleksje*), 28.  
A. S.: Wstęp (*Słowianofile*), 21.  
Wstęp (*Słowianofile*), 22.  
„Zrozumieć sowietyzm” (*Noty i refleksje*), 24-25.  
„Zachód i Polska” (*Noty i refleksje*), 24-25.  
Wstęp (*Nomenklatura*), 26.  
BACZAN Tadeusz: „Quo vadis, git człowieku?”, 9.  
„Religia a ludzie marginesu”, 12.  
BARAŃCZAK Stanisław: „Dlaczego *Zapis?*”, 15.  
„Moje niecenzuralne dziesięciolecie”, 26.  
„Norwid nie chce podpisać volkslisty”, 29-30.  
„Jak leczyć migrenę świata” (O książce Normana Daviesa *God's Playground. A History of Poland*), 31.  
„Imponderabilia Zbigniewa Herberta”, 32.  
BAUMAN Zygmunt: „Socjalizm drugiego pokolenia”, 2.  
„Konflikty społeczne we wschodnioeuropejskim systemie politycznym”, 4.  
„Stalin i rewolucja chłopstwa. Studium dialektyki pana i niewolnika”, 15.  
„Bez precedensu”, 32.  
BELL Daniel: „Powrót sacrum”, 29-30.  
BERGER Peter L.: „Mit socjalistyczny”, 23.



BESANÇON Alain: „Wielki terror” (O książce Roberta Conquesta *The Great Terror*). 1.

„Solżenicyn i Zachód”, 22.

„Sowiecka teraźniejszość i rosyjska przeszłość”, 23.

BEYLIŃ Paweł: „Idee i ludzie. Nauka i doktryna”. 10.

„Centrum i jego złudzenia”, 10.

„Rewolucja i intelektualści”. 10.

BIELINKOW Arkadij: „Kraj niewolników, kraj panów”, 7-8.

BIEŃKOWSKA Ewa: (patrz również E. B.): „Szukając trudnego środka” (o książce Leszka Kołakowskiego *Czy diabeł może być zbawiony*). 28.

„Sztuka eseju czyli o darze rozmowy” (o książce Konstantego Jeleńskiego *Zbiegi okoliczności*). 31.

BIEŃKOWSKI Władysław: „List otwarty do władz Polski Ludowej w sprawie normalizacji stosunków ze Związkiem Radzieckim”, 11.

BIULETYN INFORMACYJNY: Nr 1 z września 1976, Nr 2 z października 1976. 13-14.

BIURO POLITYCZNE KC PZPR: „Wytyczne w sprawie nomenklatury kadr instancji partyjnych wraz z wykazem stanowisk objętych nomenklaturą”, 26.

„Postanowienia dotyczące zakresu kompetencji w podejmowaniu decyzji kadrowych na stanowiskach objętych nomenklaturą KC PZPR”. 26.

BLUMSZTAJN Seweryn: „Gajka”, 29-30.

BOD Ładisław: „Język i polityka. Rozważania o stalinizmie”, 21.

BODNAR Paweł: „Styl politycznego myślenia” (O książce Marcina Króla *Styl politycznego myślenia*). 23.

BRUS Włodzimierz: „W związku z wydarzeniami czerwcowymi”, 12.

„Na marginesie «Uwag o sytuacji gospodarczej kraju»”, 20.

„Gospodarka krajów Europy Wschodniej u progu lat osiemdziesiątych”, 27.

„Perspektywy «normalizacji» w Polsce”, 31.

BRZEZIŃ Jakub: „Paradoksy liberalizacji i rewolucja”, 28.

„U źródeł kłęski grudniowej”, 31.

BRZEZIŃSKI Zbigniew: „Polityka radziecka od przyszłości do przeszłości”. 9.

„Stosunki międzynarodowe – kryzys i przemiany”, 11.

„Stosunki Wschód-Zachód a Polska”, 27.

B. T.: „Francuscy intelektualści podczas okupacji” (*Noty i refleksje*). 26.

„Niepokoje amerykańskich konserwatystów” (*Noty i refleksje*). 28.

BURGESS Anthony: „Dzieci Bakunina”. 24-25.

CARILLO Santiago: „Blok wschodni musi się zmieniç”, 16-17.

- CASTORIADIS Cornelius: Wywiad *Aneksu*, 23.
- CHMIELEWSKA Anna: „List do przyjaciół”, 12.
- CZARNECKI Andrzej: „Nieład w wizji badanych czy nieład w badaniu wizji”, 27.
- Deklaracja w sprawie ukraińskiej, 15.
- DEMBIŃSKI Ludwik: „Prawo i władza”, 28.
- „Totalizm i prawo do sprzeciwu” (O książce Andrzeja Micewskiego *Współrzędzić czy nie klamać*), 21.
- DĘBICKI Bogdan: „O Antonim Słonimskim”, 12.
- „Sztuka i rewolucja”, 22.
- D. F.: „Susan Sontag o istocie komunizmu” (*Noty i refleksje*), 27.
- Dokumenty*: Listy w sprawie projektu ustawy o zmianie Konstytucji PRL, 11.
- Oświadczenie 14-u (czerwiec 1976), 12.
- Apel do światowej opinii publicznej, 12.
- Apel 65-u robotników, 13-14.
- Apel 28-u profesorów, 13-14.
- Apel 172-óch, 13-14.
- DOROSZ Krzysztof (patrz również K. D., GAWIŃSKI Grzegorz): „Faust współczesny czyli de pacto hominis politici cum diabolo”, 18.
- „Wędrowki ziemią Ulro”, 20.
- „Śladami Kolumba”, 23.
- „Dylematy neomanichejskie czyli spór o gnidy i anioły”, 24-25.
- „Konserwatywny socjalizm Paula Tillicha”, 26.
- „Krew i los”, 27.
- „Wprowadzenie” (*Powrót sacrum*), 29-30.
- „Ziemia jałowa i poszukiwanie Graala”, 29-30.
- DRAUS Franciszek M. (patrz również D. F., MISIEK Mikołaj i M. M.): „Raymond Aron”, 29-30.
- DREWNOWSKI Jan: „Trafna diagnoza, ale wątpliwa terapia”, 20.
- DRUCKI Andrzej K.: Wstęp (*George Orwell*), 6.
- DZIAŁACZ OPOZYCJI DEMOKRATYCZNEJ. CZŁONEK „SOLIDARNOŚCI”: „Wojny mogło nie być” (Wywiad *Aneksu*), 31.
- „Dziennik stanu wojny”, 27.
- DŽILAS Milovan: „Komunizm a klasa robotnicza”, 1.
- „Czyżby ta sama mieszkanka?”, 31.
- E. B.: „W oczach sąsiada” (*Noty i refleksje*), 28.
- EBERSTADT Nick: „Kryzys zdrowotny i kryzys systemu w ZSRR”, 27.
- ELIADE Mircea: „Sacrum i profanum w świecie współczesnym”, 29-30.
- „Prawdziwe sny ludzkości” (rozmowa z M. ELIADE), 29-30.
- ELLENSTEIN Jean: „Nie chciałbym żyć w Związku Radzieckim”, 16-17.
- ELIUL Jacques: „Religia polityczna”, 29-30.

- E. S.: Wprowadzenie (*W obronie robotników. Dokumenty*), 13-14.
- ETKIND Jefim: „Polityka i prawda”, 21.
- FEDER Paweł: „O spółdzielczości inaczej”, 18.
- FERRERO Guglielmo: „A pewnego dnia nareszcie światło”, 11.
- QARLICZ Jan: „W kilku punktach”, 12.
- GARTON ASH Timothy: „Zachód wobec Polski”, 28.
- OAWIŃSKI Grzegorz: „Niebo w płomieniach”, 13-14.
- GIEDROYĆ Michał: „Małe przesiębiorstwa – przeszłość czy przyszłość”, 32.
- GLUCKSMANN André: „Między czerwienią a śmiercią”, 32.
- GŁOGOCZOWSKI Marek: „Inwazja kastratów”, 10.
- GLUZMAN S.F.: „List do rodziców”, 10.
- GOMUŁKA Stanisław: „VII Zjazd PZPR: Uwagi do planu 1970-80”, 11.
- „Ekonomiczne motywy czerwcowego buntu”, 12.
- „O czynnikach ekonomicznych w demokratyzacji socjalizmu i socjalizacji kapitalizmu”, 15.
- „Propozycje zmian doraźnych i długofalowych”, 20.
- „Sytuacja gospodarcza Polski”, 21.
- „Zachód zwleka z decyzją”, 24-25.
- „Patologie i reakcje obronne systemu radzieckiego”, 27.
- GORBANIEWSKA Natalia: „Samizdat szkołą wońności”, 18.
- O. P.: „Mówi Dżitas”, 23.
- GRASS Gunter: „Siedem tez o demokratycznym socjalizmie”, 5.
- GROSS Jan Tomasz: „W 20 lat później”, 13-14.
- „Opozycja polityczna w Polsce”, 15.
- „W zaborze sowieckim”, 22.
- „W zaborze sowieckim”, cz. II, 28.
- GROSSMAN Wasyli: „Judasz i ofiary”, 4.
- „Wszystko płynie”, 7-8.
- GRUDZIŃSKA-GROSS Irena (patrz również I. G.-G): „Autoportret fałszywy” (O książce Władysława Machejka *Czekam na słowo ostatnie*), 16-17.
- „Świat zaatesztowanych słów”, 21.
- Rozmowa z Tomaszem Venclową (Wywiad *Aneksu*), 28.
- „Manipulacje pod płaszczykiem”, 29-30.
- HARASIUK Tomasz: „Semantyka zbrodni”, 6.
- HASSNER Pierre: „Odprężenie i Europa Wschodnia”, 3.
- „Żaloba przystoi Europie”, 27.
- Hat REEVE Karel, van: „Nieoficjalna Rosja”, 7-8.
- HAYEK Friedrich, von: „O wolności i wolnościach”, 32.
- HEILBRONER Robert L.: „U źródeł dylematu socjalistycznego”, 1.

- „Historia jednego uwolnienia”, 21.
- HIRSZOWICZ Maria: „O granicach racjonalności społeczeństwa planującego”, 7-8.
- „Socializm jako ideologia robotników umysłowych”, 9.
- „Uwagi na temat książki Brusa *Uspołecznienie a ustroj polityczny*”, 15.
- HLEBOWICZ Henryk, ks.: „Na Trzeci Maj 1941 roku”, 16-17.
- HOLLANDER Paul: „Ideologiczny pielgrzym”, 9.
- HOUOH Jerry F.: „System sowiecki: petryfikacja czy pluralizm”, 5.
- HOWE Irving: „Socializm a liberalizm -- warunki pojednania”, 23.
- HUTINGTON Samuel P.: „Społeczna i instytucjonalna dynamika rozwoju systemów jednopartyjnych”. I.
- I. G.: „Czy równowaga rynkowa w socjalizmie jest możliwa?” (*Noty i refleksje*), 23.
- „Sukcesja władzy” (*Noty i refleksje*), 24-25.
- I. G.-G.: „Porcja wolności” (*Noty i refleksje*), 24-25.
- „Pofak potrafi” (*Noty i refleksje*), 26.
- I. L.: „Lewa, lewa, kto tam rusza prawą?” (*Noty i refleksje*), 23.
- JAKUBOWSKI Andrzej: „Okolice Buntu Młodych” (O książce Marcjuna Króla *Style politycznego myślenia*), 23.
- JANOW Aleksander: „Państwo idealne Gennadija Szymunowa”, 22.
- JASIEWICZ Krzysztof: „Sytuacja kryzysu a percepcja zagrożenia”, 27.
- „Przemiany świadomości społecznej Polaków 1979-1983”, 32.
- J. D.: „Nauka i polityka w Hamburgu” (*Noty i refleksje*), 23.
- JEDLICKI Jerzy: „Forma i treść «umowy społecznej»”, 24-25.
- JELEŃSKI Konstanty A.: „Kultura: Polska na wygnaniu”, 24-25.
- KALM Adam: „Zamiast wstępu” (*Lewica i utopia*), 2.
- „Zamiast wstępu” (*Nadzieje i gorycz: w piątą rocznicę czechosłowackiego eksperymentu*), 3.
- KAMAR J.: „Wprowadzenie” (*Ekonomia wyżysku. Dokumenty*), 19.
- KAROL S.: „Dzień dzisiejszy i jutro polskiej gospodarki”, 20.
- KARWOWSKI Antoni: „Relacja robotników gdańskich”, 12.
- KASTOR Werner: „Reakcja wschodnioniemiecka na wydarzenia w Polsce”, 24-25.
- KC PZPR: „Analiza głównych założeń programowych NSZZ «Solidarność»”, 24-25.
- K. D.: „Paryż w Trzeciej Rzeszy” (*Noty i refleksje*), 26.
- Wstęp do tekstu Friedricha Hayeka „O wolności i wolnościach”, 32.
- KENDE Peter: „Zarys alternatywy ekonomicznej dla Europy Wschodniej”, 9.
- „Normalizacja na Węgrzech po roku 1956”, 31.
- KIS János: „Przyszłość opozycji węgierskiej”, 31.
- KISIELEWSKI Stefan: „Czy teoria jest niewinna”, 29-30.

- KOESTLER Arthur: „Anatomia mitu”, 2.
- KOHAK Erasm V.: „Rosja – następnym razem pożar? O wewnętrznym kryzysie komunistycznego społeczeństwa?”, 2.
- KOHOUT Pavel: „Zasłużony pogrzeb”, 21.
- KOLARSKA Lena. RYCHARD Andrzej: „Wizje ładu społecznego”, 27.
- KOŁAKOWSKA Tamara: „Psychiatria sowiecka i dysydenci”, 19.
- KOŁAKOWSKI Leszek: „Sens ideowy pojęcia lewica”, 2.  
 „O duchu rewolucyjnym”, 4.  
 „Dlaczego potrzeba nam pieniędzy?”, 5.  
 O zmianach konstytucyjnych, 11.  
 „Słowo wstępne” (*Głosy z kraju o chrześcijaństwie, socjalizmie, kościele i polityce*), 12.  
 „Euro- i Azjokomunizm: jedno czy dwoje?”, 16-17.  
 „Moje słuszne poglądy na wszystko”, 18.  
 „Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą?”, 20.  
 „Rewolucja jako piękna choroba”, 22.  
 „Ludobójstwo i ideologia”, 24-25.  
 „Próba zrozumienia”, 26.  
 „Ja będę łagodniejszym katem”, 27.  
 „Języki sacrum”, 29-30.
- KOR: Apel z 23.09.1976, Oświadczenie z 4.11.1976, Oświadczenie z 5.11.1976, Wniosek do Sejmu PRL z 15.11.1976, Oświadczenie z 3.01.1977, List otwarty do Sejmu PRL z 7.01.1977, Komunikat nr 5, z 21.12.1976, 13-14.
- KORASZEWSKI Andrzej: „Państwo jako organizator społecznego ładu”, 10.
- KORYBUT Marian: „Refleksje o opozycji”, 12.
- KOTT Jan: „Góra i dół albo o wieloznacznościach Prometeusza”, 24-25.
- KUBIAK Zygmunt: „Natura i obłęd”, 13-14.
- KUCZYŃSKI Waldemar: „Solidarni i niepokonani”, 29-30.  
 „Reportaż spod klucza”, 29-30.  
 „Droga do stoczni gdańskiej”, 31.  
 Wprowadzenie (*Walka i obrachunki*), 31.
- KUROŃ Jacek: „List otwarty do E. Berlinguera”, 12.  
 „Myśli o programie działania”, 13-14.  
 „Tezy o wyjściu z sytuacji bez wyjścia”, 27.
- KUZNIECOW Edward: „Z dziennika więziennego”, 7-8.
- LANE David: „Niezadowolone i aprobaty w krajach państwowego socjalizmu”, 4.
- LANGE Oskar: „Jak pojmuję socjalizm”, 18.
- LASKY Melvin J.: „Hańba i sława Maksyma Gorkiego”, 1.
- LEOPOLITA: List, 24-25.

- LEWANDOWSKI Józef: „Internacjonalizm i rusyfikacja”, 11.  
 „O potrzebie dyskusji”, 18.  
 „Wokół biografii Krzysztofa Kamila Baczyńskiego”, 22.  
 „Stosunki polsko-ukraińskie”, 28.
- LEVEŠQUE Jacques: „Chiny wobec wydarzeń październikowych 1956 roku”, 18.
- LEWICKYJ Borys: „Lewicowa opozycja w Związku Radzieckim”, 7-8.
- LIEBERT Georges: „W oczekiwaniu Apokalipsy”, 10.
- LIEDER Andrzej: „Szansa Zapisu”, 19.
- LIEHM Antonin J.: „Od kultury do polityki”, 3.  
 „Nowa umowa społeczna”, 10.
- LIPIŃSKI Edward: „List otwarty do Edwarda Gierka”, 12.  
 Słowo wstępne („Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju”), 20.
- LIPSKI Jan Józef: „Etos Komitetu Obrony Robotników”, 29-30.
- LOWENTHAL Richard: „Nie-rozum i rewolucja”, 5.
- LUSTIGER Jean Marie arc. bp.: „Skoro już trzeba”. (rozmowa), 31.
- ŁABOWSKI Piotr: „Modlitwa o wolną Polskę”, 12.
- MAJOREK Marek: „Nauka współczesna a sacrum”, 29-30.
- MAŁKOWSKI Stanisław ks.: „Msza święta w intencji ś.p. Jana Wolskiego”, 12.
- MANDEL Ernest: „Społeczne, ekonomiczne i polityczne tło kryzysu w Czechosłowacji”, 3.
- MANDELSZTAM Nadieżda: „Po tamtej stronie”, 3.
- MARZAK Tadeusz: „Poczucie rzeczywistości jako opium”, 21.
- MARER Paul: „Stosunki gospodarcze między ZSRR a Europą Wschodnią”, 19.
- MATEJKO Aleksander: „Czy socjalizm jest konieczny?”, 15.  
 „Czy komunizm może przetrwać?”, 19.
- MAZUR Adam: „Podcinanie najzdrowszej gałęzi”, 24-25.
- MICHAJŁOW Michajło: „Jugosławia – nadchodząca burza”, 7-8.
- MICHNIK Adam (patrz również A. M. i ZAGOZDA Andrzej):  
 „Nowy ewolucjonizm”, 13-14.  
 „Zapis dwóch rozmów” (*Chiny-Polska-Związek Radziecki*), 18.  
 „Polska wojna”, 27.
- MIEDWIEDIEW Roy: „O książce Solżenicyna *Archipelag Gulag*”, 7-8.
- MIEDWIEDIEW Żores: „Międzynarodowa współpraca uczonych i czarny urząd”, 3.  
 „Dziesięć lat po *Jednym dniu Iwana Denisowicza*”, 7-8.
- MIŁOŚZ Czesław: „O podboju” 29-30.
- MISIEK Mikołaj: „Niemcy wobec staru wojennego w Polsce”, 27.
- M. K. A. K.: „Badania opinii publicznej w Czechosłowacji”, 3.
- MLYNAŘ Zdenek: „Mróz idzie od Kremła”, 24-25.

- M. M.: „Odpowiedzialni za Polskę?” (*Noty i refleksje*), 28.  
 „Kościoły w służbie komunizmu” (*Noty i refleksje*), 28.
- MODZELEWSKI Karol: „List otwarty do Edwarda Gierku”, 13-14
- MOLDAU George: „O zachowanie morale narodu”, 9.
- MOORE Stanley: „Wątki utopijne w myśli Marksa i Mao”, 2.
- MORAVUS: „Odmienny Dubczek”, 3.
- MORAWSKI Stefan: „Cenzura wobec sztuki”, 11.
- MUELLER Klaus: „Komunikacja sterowana”, 21.
- NAOCZNY ŚWIĄDEK: „Bunt robotników Radomia”, 12.
- NIEDBAŁ Walenty, GSTANIEC Krzysztof, SKRZĘTNY Andrzej:  
 „Diagnoza i program – dyskusja”, 20.
- NIEDOLSKI Feliks: „Dlaczego nie całkiem jestem chrześcijaninem”,  
 13-14.
- NUTI Domenico M.: „Wybór społeczny i polski konsument”, 1.
- ORWELL George: „Uwagi o nacjonalizmie”, 6.  
 „Gradualizm katastroficzny”, 6.  
 „Refleksje nad Burnhamem”, 6.  
 „Ty i bomba atomowa”, 6.  
 Fragmenty z „As I Please”, 6.  
 „Pisarze i Lewiatan”, 6.  
 „Zabójcy słowa”, 6.
- OŚIPOW Władimir: „Trzy postawy wobec ojczyzny”, 7-8.
- OSTANIEC Krzysztof, NIEDBAŁ Walenty, SKRZĘTNY Andrzej:  
 „Diagnoza i program – dyskusja”, 20.
- OTAVA Jiri: „Czechosłowacja: Dyskryminacja wierzących”, 12.
- PARKIN Frank: „Sprzeczność systemowa i przemiany polityczne”, 4.
- PARYSKI Henryk: „Możliwości poprawy sytuacji żywnościowej w  
 Polsce”, 16-17.
- PAZ Octavio: „Zmierzch rewolucji”, 6.
- POMERANC Grigorij: „Człowiek znikąd”, 7-8.
- POMIAN Grażyna (patrz SZADEK Jadwiga).
- PORTES Richard: „Polski kryzys – alternatywy polityki gospodarczej  
 Zachodu”, 24-25.
- POSPIESZAŁSKI Antoni: „Myśli o opozycji”, 13-14.  
 „Jak korzystać z marginesów wolności” (O książce Andrzeja Micew-  
 skiego *Współrzędzić czy nie klamać*), 21.  
 „Sacrum i sanctum”, 29-30.  
 „Kościół katolicki w krajach Europy Wschodniej” (O książce Bohda-  
 na Cywińskiego *Ogniem próbowane. Korzenie tożsamości*), 32.
- Problem rekompensaty za polski węgiel w negocjacjach polsko-radzie-  
 ckich w 1956 roku*, 19.
- RADICE Lombardo: „Komunizm z ludzką twarzą”, (rozmowa), 16-17.

- ROSSANDA Rossana: „Samotny człowiek”, 5.
- ROSIŃSKI Jacek: „Perspektywy stabilizacji gospodarki polskiej”, 28.  
*Rozmowy delegacji polskiej z delegacją Chińskiej Republiki Ludowej, Moskwa, 1960, 18.*
- RUPNIK Jacques: „Polityka a historia w Czechosłowacji” (*Noty i refleksje*), 26.
- RYCHARD Andrzej, KOLARSKA Lena: „Wizje ładu społecznego”, 27.
- SACHAROW Andrzej: „O liście Aleksandra Solżenicyna do przywódców Związku Radzieckiego”, 7-8.
- SADOWSKI Jeremi: „Demokracja a współczesne idee emancypacji”, 24-25.
- SHABAD Goldie: „Strajki w Jugosławii”, 26.
- SINIAWSKI Andriej: Wywiad *Aneksu*, 22.
- SKRZĘTNY Andrzej, NIEBĄŁ Walenty, OSTANIEC Krzysztof: „Diagnoza i program – dyskusja”, 20.
- SLADCEK Józef: „Komuniści i inni”, 27.
- ŚLONIMSKI Antoni: Rozmowa, 12.
- SMITH Hedrick: „Klasa uprzywilejowana”, 26.
- SMOLAR Aleksander (patrz również a.s. A. S. KALM Adam):  
„Przeciwko legalizacji bezprawia”, 11.  
„Komentarz do wydarzeń czerwcowych”, 12.  
„Nowy etap kryzysu”, 15.  
„Paradoksy liberalizacji i rewolucja”, 24-25.  
„Dystrybucja dóbr społecznych i rozkład systemu”, 26.  
„Między ugodą a powstaniem”, 28.
- SMRKOWSKI Józef: Rozmowa, 11.
- SOLŻENICYN Aleksander: „Życie bez kłamstwa”, 4.  
„List do przywódców Związku Radzieckiego”, 7-8.  
„Źródła”, 11.  
„Solżenicyn w telewizji francuskiej”, 9.  
Stosunki polsko-żydowskie – oświadczenie, 32.
- STIŻEWSKI Tomasz: Rozmowa, 16-17.  
„Zamiast postłowa do *Czarnej księgi cenzury PRL*”, 21.
- SVITAK Ivan: „Głowami w mur”, 3.
- SZADEK Jadwiga (patrz POMIAN Grażyna).  
„1968 – dziesięć lat później”, 20.  
„Zjazd funkcjonariuszy”, 23.
- SZALAMOW Warjam: „Oddzielny pomiar”, 19.
- SZCZEPAŃSKI Maciej: „Zadania radia i telewizji”, 16-17.
- ŚWIDLICKI Andrzej: „Pożegnanie uniwersytetu”, 10.
- TELESIN Juliusz: „Samizdat od wewnątrz”, 2.
- TEREN Jan: „Nocne rozmowy z Josefem Smrkowskim”, 11.



- TERN Adam: „Marksizm w działaniu: filozofia i nauki społeczne a marksizm w Polsce”, 2.
- TIBBAUD Paul: „Polskie dylematy”, 32.
- TKN: Dokumenty, 32.
- TOPIŃSKI Piotr: „Ekolog w Polsce Ludowej”, 31.
- TORUŃCZYK Barbara (patrz również B. T.): Rozmowa z Aleksandrem Zinowiewem (Wywiad *Aneksu*), 24-25.
- TURBACZ Marek: „Możliwości działania opozycji w Polsce”, 16-17.
- ULAM Adam: „Socjalizm i utopia”, 2.
- URBAN George: Rozmowa z Lombardo Radice, 16-17.
- VENCLOVA Tomas: Wywiad *Aneksu*, 28.
- VINCENZ Andrzej: List (*Noty i refleksje*), 23.
- WALECKI Jerzy: „O niebezpieczeństwie politycznej neutralizacji dewocyjnych katolików w Polsce”, 12.
- WARECKI Stanisław: „Krajobraz po bitwie”, 29-30.
- WAT Aleksander: „Semantyka języka stalinowskiego”, 21.
- WATSON George: „Czy intelektualiści dali się nabrać?”, 19.
- WAŻYK Adam: „Co to było?”, 13-14.
- W. D.: „Duszpasterz bez kościoła”, (*Noty i refleksje*), 23.
- „Przewodnik dla zagubionych” (*Noty i refleksje*), 24-25.
- „Rosjanie w Anglii – widmo przyszłości” (*Noty i refleksje*), 27.
- WINOWSKA Maria: „Ksiądz Henryk Hlebowicz”, 16-17.
- WIŚNIEWSKI Ludwik Marian, ks.: „List otwarty do E. Gierka”, 13-14.
- „Włoska lewica i opozycja w krajach Europy Wschodniej”, 16-17.
- WOJTASZEK Jan: „Patologia społeczna w Polsce”, 19.
- WOROSZYLSKI Wiktor: „Dziennik węgierski”, 13-14.
- WOSLENSKI Michał: „Jeden dzień w życiu Denisa Iwanowicza”, 26.
- W. Z.: „Zachodni Europejczycy w USA, ZSRR i rozbrojeniu” (*Noty i refleksje*), 27.
- ZAGOZDA Andrzej (patrz MICHNIK Adam): „List z Białolek”, 27.
- ZINOWIEW Aleksander: Wywiad *Aneksu*, 24-25.
- ŻABIŃSKI Andrzej: „Od-nowa członka Biura Politycznego”, 24-25.

### Zaprenumeruj «Aneks»

#### Powiększ fundusz wydawniczy pisma

zapewni to dalsze regularne ukazywanie się «Aneksu»  
oraz jego docieranie do krajowych czytelników

CENA:200 Zł